KRZYŻYK NIESPODZIANY

CZAS GORALENVOLK

BARTŁOMIEJ KURAŚ
PAWEŁ SMOLEŃSKI

Już w księgarniach:
Maciej Krupa *Kroniki zakopiańskie*
Maciej Krupa, Piotr Mazik, Kuba Szpilka *Nieobecne miasto. Przewodnik po nieznanym Zakopanem*

Następna książka w serii ZAKOPIAŃSKIEJ:
Lechosław Herz *Świsty i pomruki. Sceny tatrzańskie*

Bartłomiej Kuraś, Paweł Smoleński

Krzyżyk niespodziany

Czas Goralenvolk

wydawnictwo czarne

Wołowiec 2017

Wszelkie powielanie lub wykorzystanie niniejszego pliku elektronicznego inne niż autoryzowane pobranie w zakresie własnego użytku stanowi naruszenie praw autorskich i podlega odpowiedzialności cywilnej oraz karnej.

Projekt okładki Łukasz Piskorek / Fajne Chłopaki

Projekt typograficzny Robert Oleś / d2d.pl

Fotografia na okładce – Gubernator Hans Frank podczas rozmowy z Wacławem Krzeptowskim / Narodowe Archiwum Cyfrowe

Copyright © by Bartłomiej Kuraś i Paweł Smoleński, 2017

Opieka redakcyjna Konrad Nowacki

Redakcja Tomasz Zając

Konsultacja merytoryczna Maciej Krupa

Korekta Anna Brynkus-Weber i Sandra Trela / d2d.pl

Redakcja techniczna Robert Oleś / d2d.pl

Skład Agnieszka Frysztak / d2d.pl

Skład wersji elektronicznej d2d.pl

ISBN 978-83-8049-490-9

Spis treści

Seria *2*
Strona tytułowa *3*
Strona redakcyjna *4*
Wisielec na Krzeptówkach 6
Lud to po prostu genialny 16
Meine lieben Kameraden 39
Skład rasowy a kultura 55
Legion Góralski 62
Goralenfürst, Ostrogota, agent Abwehry... 69
Zupełnie inny Krzeptowski 76
Tatra Bergwacht 86
Przeciw „krzeptowszczyźnie” 96
Winni i niewinni 105
Na tropie 121
Kto jest dobrym góralem 130
Pochówek 140
Bibliografia *142*
Źródła fotografii *144*
Przypisy *145*
Kolofon *146*

Wisielec na Krzeptówkach

Być może o całej historii wiedzielibyśmy o wiele więcej, gdyby nie zimno; styczeń 1945 roku był w Tatrach i w Zakopanem śnieżny i mroźny. Ale znajdą się tacy, którzy wspominają, że zima była jak zwykle: minus dziesięć, może piętnaście. Grunt, że w takich warunkach trudno ukrywać się w górskich szałasach, ze strachu nie rozpalać ognia, bez przerwy mylić tropy, ratować życie za pomocą łapówek i egipskich papierosów.

Póki Wacław Krzeptowski przebywał na Słowacji między sowieckimi partyzantami i powstańcami walczącymi z tamtejszym podporządkowanym hitlerowcom rządem, czuł się względnie spokojny; najpewniej nikt z jego nowych sojuszników nie wiedział, kim dla Podhala był ten człowiek jeszcze kilka–kilkanaście miesięcy temu. A był głową Komitetu Góralskiego – fasadowego tworu powołanego przez Niemców pod Tatrami, największej zorganizowanej polskiej kolaboracji z III Rzeszą podczas II wojny światowej. Sojusz góralsko-niemiecki nie wypalił, buńczuczne plany ideologów akcji separatystycznej nazywanej Goralenvolk okazały się niewarte funta kłaków, a Krzeptowski z niemieckiego sojusznika stał się człowiekiem nieprzydatnym i niepożądanym, po ucieczce w góry i na Słowację zaś – poszukiwanym przez władze okupacyjne.

Lecz pod koniec października 1944 roku słowackie powstanie przeciwko Niemcom i kolaboracyjnemu rządowi księdza Jozefa Tiso upadło, a Krzeptowski postanowił wrócić przez góry do Polski. Może ktoś gwarantował mu bezpieczeństwo, choć ciążył na nim wyrok śmierci wydany przez sąd Polskiego Państwa Podziemnego.

Prowadzili go polscy konspiratorzy walczący w słowackim zrywie, między innymi Józef Uznański, żołnierz Związku Walki Zbrojnej i Armii Krajowej, bohater antyhitlerowskiego ruchu oporu, uczestnik wielu akcji partyzanckich na Podhalu. Znał Wacusia od dziecka. Uważał, że Krzeptowski skrywał tajemnicę, której nie dane mu było wyjaśnić.

Zrazu Wacuś zamieszkał w szałasie pod Kominiarskim Wierchem na Hali Stoły, a może pod Iwaniacką Przełęczą. W górach wnet jednak zrobiło się bardzo zimno i ktoś najpewniej namówił Krzeptowskiego, by wrócił między ludzi. Zszedł na Gronik w Kościelisku tuż koło Zakopanego, gdzie siedział jak mysz pod miotłą, pewien, że w końcu spotka się z sowiecką partyzantką działającą po polskiej stronie Tatr.

I rzeczywiście – do chałupy dotarło kilku ludzi wyglądających na partyzantów. Nie mówili po rosyjsku, tylko najczystszą polszczyzną, wolną od podhalańskiej gwary. Powiedzieli, że zabierają go na Krzeptówki.

*

Wieczór i noc 20 stycznia 1945 roku lśniły rozgwieżdżonym niebem. Droga prowadziła w dół, ku ciemnym, zalesionym stokom regli, horyzont zamykał ośnieżony Giewont.

Pomiędzy nieznajomymi zwróciłem uwagę na jednego – pisał porucznik Tadeusz Studziński, dowódca oddziału AK „Kurniawa", który po Krzeptowskiego szedł na Podhale aż z Żywiecczyzny. – Wzrost sto siedemdziesiąt pięć centymetrów, tęgawy, łysawy, twarz dość pełna z ryżawą szczeciną. Ubrany w słowacki mundur bez odznak […] [niektórzy wspominają, że Krzeptowski miał cywilne ubranie]. Gdy przyglądałem mu się milcząco, podbiegł do progu, uścisnął mi rękę obiema swoimi i rzekł pierwszy:

– Czołem, panie poruczniku! Czekam właśnie na Rudka Samardaka. To mój przyjaciel. Jest teraz przewodnikiem rosyjskich partyzantów. Od jesieni razem żeśmy się ukrywali przed Niemcami. Jak zobaczyłem pana partyzantów, trochę się zdziwiłem. Bo mam dziś odwiedzić towarzyszy radzieckich. Chciałem im przekazać sporo broni. Mówił mi Rudek, że broni i nabojów bardzo potrzebują. […]

– Rosjanie dziś nie przyjdą – skłamałem ze względu na kobiety i dzieci. – Wyloty Strążyskiej, Małej Łąki, a nawet Staników Źleb są obserwowane[1].

Krzeptowski narzucił kurtkę, wyszli przed chatę.

Bolesław Dobrzyński, żołnierz „Kurniawy", po wojnie mieszkaniec Zakopanego, wspominał, że Wacław Krzeptowski niczego się nie domyślał, póki partyzanci nie zaczęli mu dogadywać: „Będzie z niego dobra karma dla lisów".

Poszli tam, gdzie stały trzy samotne świerki.

Z notatek Tadeusza Studzińskiego:

Tuż za progiem domu Krzeptowski chwycił mnie oburącz za ramię i spytał cicho:

– Panie poruczniku, chyba nie będziecie ze mną robić takich tam różnych badań, co? Ja jestem inwalidą z pierwszej wojny i starym ludowcem. Prawda, że nie będziecie mnie tam-tego, badać, co? […] Bo widzi pan […] ludzie źle o mnie mówią, ale to nieprawda. Ja mam dokumenty, jak wiele dobrego zrobiłem […].

[…] co chwila szeptał do mego ucha ze wzruszeniem. […] Uważa się za człowieka wielkich zasług. […] opowiadał o swojej półrocznej służbie w wojsku austriackim. Był ranny na ruskim froncie. Mówił o listach, jakie przez cztery lata otrzymywał od ludzi z podziękowaniami.

Słuchając go, zastanawiałem się, czy powiesić go w Zakopanem, czy gdzieś bliżej, w łatwo dostępnym miejscu. […]

– Jest pan aresztowany przez Armię Krajową – powiedziałem. […]

– Wiem za co. Ale to nie moja wina. Wszystko przez tego Andrzeja…

Chodziło o Andrzeja Krzeptowskiego, stryjecznego brata Wacława. […]

Rozmawialiśmy godzinę […]. Chciałem wyjaśnić Krzeptowskiemu – a jeszcze więcej przysłuchującym się chłopcom – jak wielką popełnił zbrodnię. […] Wkrótce stanęliśmy na drodze łączącej wieś Kościelisko z Krzeptówkami. Po wschodniej stronie szosy, za rowem rosły trzy smreki. […] Kiedy partyzant zakładał mu powróz, prosił:

– Kulę mi dajcie, panie poruczniku, kulę…

– Kula to śmierć honorowa. Zdrajcy na nią nie zasługują.

Zmuszono Krzeptowskiego do sporządzenia testamentu, w którym oddawał „z własnej, nieprzymuszonej woli” cały majątek na rzecz oddziału partyzanckiego „Kurniawa” jako „jedyne zadośćuczynienie dla Narodu Polskiego”. Skrępowano mu ręce na plecach. Do kapoty przypięto kartkę, na której zapisano krzywym pismem, że taki będzie koniec każdego zdrajcy Polski.

Skonał około jedenastej wieczorem. Wisiał na smreku cały następny dzień, póki nie odcięła i nie pochowała go rodzina.

A obiecywano mu śmierć publiczną, na świerkowej bramie powitalnej zbudowanej nad zakopiańską ulicą Kościuszki na początku 1939 roku dla uczczenia narciarskich mistrzostw świata. Ludzie opowiadali potem, że wisiał za nogi, zabił go zaś mróz, nie stryczek. Że napisał testament własną krwią. Że chciał wiele powiedzieć i wytłumaczyć, lecz mu nie pozwolono.

Jakkolwiek było, sprawdziły się góralskie przyśpiewki nucone za okupacji ukradkiem na weselach i chrzcinach.

„Wacuś, bedzies wisioł za cosik” albo – żeby było do rymu i łatwiej się śpiewało – „Hej, pockoj, Wacuś, bees wisioł za cóś”.

No i dowcipy:

– Słyseliście, Wacek mo basedowa…

– Kaz go ułapieł?

– To nie człek, ba choroba.

– Ze jako?

– Wicie, tako, co ocy wypuco.

– Jacy ocy, jacy. My mu wypucymy.

*

Niedługo po wojnie z najważniejszych postaci Goralenvolku śmierci doczekali się nie tylko Wacław Krzeptowski, który uwielbiał, gdy tytułowano go „góralskim księciem” (lub po niemiecku „Goralenfürst”), bo tak się nosił, tak się czuł i takich hołdów oczekiwał, ale też jego bliscy kuzyni Stefan (zmarł w sowieckim łagrze) oraz Andrzej (najprawdopodobniej połknął truciznę w krakowskim więzieniu), obaj wykształceni góralscy inteligenci – pierwszy był prawnikiem, drugi oficerem Wojska Polskiego i znanym przed wojną sportowcem, podobno przekonanym jeszcze w latach trzydziestych do konieczności kolaboracji z Niemcami. Kilku współpracujących z Niemcami wójtów podhalańskich wsi zabili partyzanci z Armii Krajowej i sławnego na całe Podhale zgrupowania „Błyskawica” majora Józefa Kurasia „Ognia”. Józefa Cukra, szefa Komitetu Góralskiego, skazano na piętnaście lat więzienia za kolaborację z okupantem. Niektóre procesy zakończyły się uniewinnieniem, a nawet odstąpiono od śledztwa.

O dwóch bodaj najważniejszych sprawcach góralskiej kolaboracji słuch zaginął, choć tuż po wojnie wydano za nimi listy gończe i oskarżano ich o zbrodnie wojenne, zdecydowanie na wyrost. Uciekli z Zakopanego razem z Niemcami, ukryli się gdzieś w Europie, być może pod przybranymi nazwiskami, zerwali wszelki kontakt z rodzinami i przyjaciółmi.

Pierwszy to Henryk Szatkowski, inteligent żonaty z góralką, żołnierz legionów Piłsudskiego, człowiek wielu talentów, poliglota (znał siedem języków), kształcony na uniwersytetach we Wrocławiu i w Berlinie. Tam nasiąknął zachwytem nad niemieckim porządkiem, organizacją i państwową sprawnością, ale też filozofią, literaturą i muzyką.

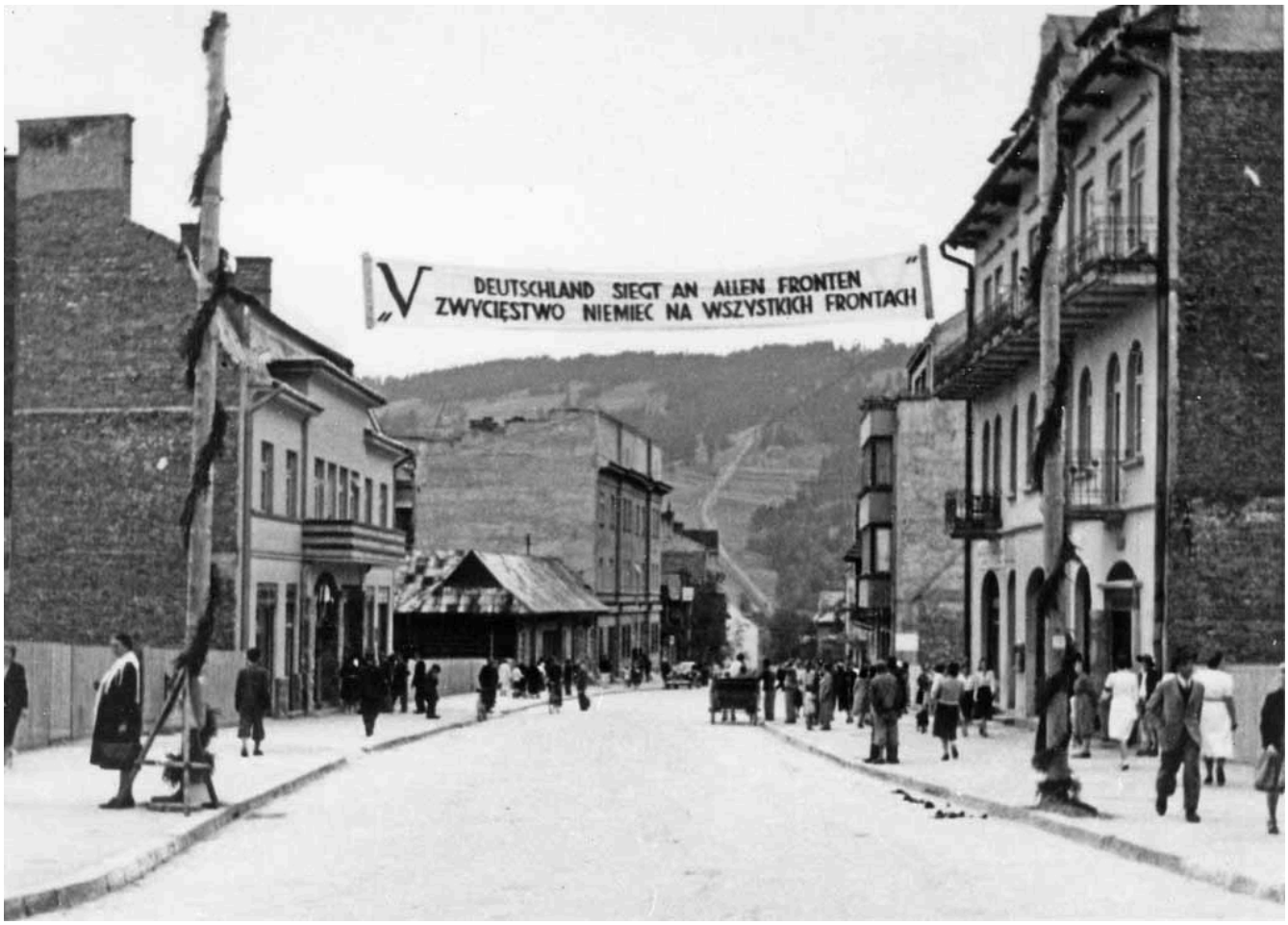

[^] Niemiecko-polski transparent na Krupówkach (fot. Henryk Jost)

Drugim był Witalis Wieder, przedwojenny oficer oraz najpewniej agent Abwehry. Nie wiadomo nawet do końca, jak wyglądał, bo na jedynej zachowanej fotografii jest przedstawiony od tyłu: widać byczy kark i plecy ubranego w prochowiec postawnego mężczyzny.

*

Bolesław Dobrzyński, w styczniu 1945 roku zwyczajny, młodziutki żołnierz oddziału „Kurniawa" był obecny przy egzekucji Krzeptowskiego; prowadził go od chaty na Krzeptówkach pod trzy osamotnione smreki, a może nawet asystował w wiązaniu mu rąk. Studziński przygotował państwowotwórczą i patriotyczną przemowę o zdradzie i narodowym zaprzaństwie szefa Goralenvolku między innymi po to, by uświadomić ideologicznie Dobrzyńskiego.

Dobrzyński nie miał wątpliwości – przyszli na Podhale spod Babiej Góry, by czyścić kolaboracyjną szumowinę i likwidować konfidentów. Musiał to zrobić ktoś spoza Tatr, ponieważ miejscowi bali się, byli związani z twórcami Goralenvolku lokalnymi

zależnościami, a Polskie Państwo Podziemne wymagało, by za zdradę wymierzać karę główną.

Po wojnie Dobrzyński niechętnie wracał do przeszłości. Gdy o niej z nami rozmawiał, mieliśmy wrażenie, że coś go dręczy, gryzie, uwiera. Porucznik Studziński nawet po wielu latach nie miał żadnych wątpliwości: Wacusiowi Krzeptowskiemu należał się sznur. Dobrzyński nie był tego taki pewien.

Opowiadał, że asystowanie przy wyroku śmierci to nie jest coś, co chce się pamiętać. Detale egzekucji zmilczał (musiały być okrutne), lecz rzekł, że nigdy nie wiadomo, czy śmierć z wyroku sądu podziemnego jest zasłużona. Czasy były paskudne – wojna zniszczyła poczucie sensu i moralności, Niemcy uciekli z Zakopanego, Rosjanie jeszcze nie stali na rogatkach miasta, choć sowiecka partyzantka siedziała w tatrzańskich dolinach. Pojawiło się szczególne napięcie – stare znikło, nowego nie było. Pierwsze dni stycznia 1945 roku to rozedrganie, radość pomieszana z niepewnością. I w taki czas przyszło im wykonać wyrok Polskiego Państwa Podziemnego.

– Nie wiem – mówił nam Bolesław Dobrzyński – czy ta śmierć na smreku była zasłużona. Najpewniej tak, lecz dzisiaj rodzi się wątpliwość. Człowiek starszy nie jest tak pewny siebie jak za młodu. Z partyzantki wziąłem życiowe doświadczenie, wojskową przygodę, no i odwagę, umiałem się zachować nawet wtedy, gdy było bardzo trudno. Lecz partyzanckie życie nie jest dla wszystkich. Umie popsuć, wypaczyć, zostają tylko gorzkie wspomnienia. Może należał się Krzeptowskiemu prawdziwy sąd, może by co rzekł, może byłoby bardziej sprawiedliwie?

*

W sprawie działalności Wacława Krzeptowskiego – i powieszenia go bez prawdziwego sądu – nie ma zgody nawet między tymi, którzy w czasie, gdy istniał Goralenvolk, stali po jednej, przeciwnej kolaboracji, stronie barykady.

Niektórzy uważają, że stryczek natychmiast po schwytaniu był zasłużony, bo tylko Pan Bóg wie, co stałoby się później; Wacuś potrafił zmieniać skórę jak mało kto. Ale opowiadano nam też w Kościelisku, że Wacuś nie był zbrodniarzem, tylko (aż?) zdrajcą – fakt, że pierwszej wody. Nawet najgorszemu należy się jednak proces, choćby po to, żeby ludzie posłuchali i zobaczyli.

[^] Poczta w Zakopanem

Zdaniem jednych trzeba było wykorzystać czas kilkudniowego bezkrólewia. Tak mówił nam między innymi Jan Krupski, w czasie wojny pracownik kolei w Zakopanem, przewodnik tatrzański:

– Wacław Krzeptowski to był kawał złego człowieka. Zreflektował się, dopiero jak miał być powieszony. Wtedy się do wszystkiego przyznał. Nie wierzę, że pomagał komukolwiek. Nie wierzę w to, bo gestapo było bardzo bezwzględne. Między sobą nawet mordowali ludzi. Zaraz by go złapali.

Inni chcieli się dowiedzieć czegoś więcej, nawet biorąc po uwagę, że przed stalinowskim trybunałem usłyszeliby więcej ideologii niż prawdy. Na przykład Józef Uznański, żołnierz akowskiego podziemia, opowiadał:

– Wiele rzeczy nie jest wyjaśnione i postawione tak, jak powinno. Sprawa Goralenvolku nie została załatwiona. Można było oprzeć się na prawdzie, na dokumentach, wcześniej trzeba było to zrobić, póki żyli ludzie wiarygodni. I wtedy albo robimy pomnik, albo go przekreślamy. Wielu górali zginęło, i w willi Palace, gdzie gestapo urządziło sobie katownię, i na froncie wschodnim, i zachodnim. Nie ma

prawdy napisanej o tym, kim faktycznie był Wacek Krzeptowski. Jako młody chłopak znałem Wacka osobiście. Absolutnie nie wierzę, żeby on miał przekonanie, że Niemcy wojnę wygrają. Przecież rozmawiałem z nim. Każdy powinien mieć prawo do obrony, trzeba było go wysłuchać. Nikogo nie wsypał, nikogo nie sprzedał Niemcom, a są na to dowody, kiedy i kogo wyciągnął z gestapo. No bo przecież jak popił z gestapowcami, to pewnie, że mógł różne rzeczy załatwić. Wacek przyszedł ze mną i z moimi kolegami z powstania słowackiego, potem siedział spokojnie, bo to koniec wojny. Niemcy już wtedy rozszyfrowali Wacka i musiał uciekać przed nimi. Z jednej strony ścigali go Niemcy, z drugiej państwo podziemne, a do tego władza ludowa…

Józef Krzeptowski-Jasinek, kronikarz rodów góralskich, opowiadał nam:

– Wacuś był zdrajcą, ale trzeba o niego pytać również tych, którym pomagał. A takich było wielu.

Marian Woyna-Orlewicz, olimpijczyk z 1936 roku, narciarz, działacz Polskiego Związku Narciarskiego, organizował przerzut oficerów polskiego wywiadu z Generalnego Gubernatorstwa przez Tatry na Węgry:

– Niemcy kazali sobie stworzyć z ludności góralskiej jakąś taką niepolską ludność. Górale dostawali kenkarty, mieli swoje sklepy, które Niemcy lepiej zaopatrywali. Niemcy starali się wszędzie stworzyć takie grupy, które mogłyby – jeśli tylko dać im władzę – dla nich działać. Byli na tyle zorganizowani, że w Zakopanem mieli już ludzi przygotowanych, zanim tu weszli. Tu mieszkał taki Wieder, prowadził wielki pensjonat, a jego brat był oficerem wojska. I on się okazał volksdeutschem. Jak ktoś miał w papierach, że któryś z jego przodków był Niemcem, to uważano go za pół-Niemca. I dawano mu różne stanowiska. Gdy Niemcy wchodzili, to już ludność cywilna była zaangażowana, to wszystko – gestapo, policja – nie tworzyło się dopiero, ale już było przygotowane. *Ordnung*, jak to Niemcy mówią. Nie wszyscy górale w to weszli, niektórzy byli przeciwni. Dlaczego? Tak to zwykle u ludzi bywa. Ci, co się dorwali i byli bardziej aktywni, mieli większe przywileje: przydział wódki, materiału, żywności. A ci inni, zwyczajni, to byli zwykli górale; taki góral pracował, żadną polityką się nie zajmował. I nagle widzi, że jego sąsiad ma to i tamto. Była więc taka grupa wśród Goralenvolku, która była zaangażowana i starała się to wykorzystywać, ale większość była niezaangażowana; niby był taki człowiek volksdeutschem, ale wcale nie działał przeciw Polsce. Inaczej Krzeptowski. On był ze stronnictwa przeciwnego poprzedniej partii rządzącej i dlatego kolaborował. Tak to było zawsze, że Niemcy wykorzystywali, że była grupa ludzi przeciwnych panującym rządom i tych właśnie werbowali do pomocy. Niemcy wykorzystywali wszelkie jakieś „antyprądy”

działalności ludzkiej. Tak powstali volksdeutsche. W Słowacji widzieli, że Słowacy źle żyli z Czechami, to Słowaków przyjęli elegancko i w ten sposób pobili Czechów.

Ksiądz Mieczysław Zoń:

– Goralenvolk to była ewidentna zdrada, a zdradę trzeba potępić. Lecz trzeba pamiętać, że na świecie jest niewiele spraw, które są tylko białe albo tylko czarne. Jeśli ktoś zdradzał dla pieniędzy, przywilejów, nawet mizernych, dla świętego spokoju, rzecz jest oczywista. Jeśli ze strachu albo żeby coś ocalić, robi się trudniej, choć strach też musi mieć swoje granice. Wierzę, że ktoś komuś wówczas pomagał, o coś dbał, nad czymś się pochylił. Nie wierzę, że dobre uczynki ludzi zaangażowanych w Komitet Góralski mogą zmazać zło, które czynili. Ocalili wielu przed przymusowymi robotami w Rzeszy, wyciągnęli kogoś z więzienia, uchronili przed Auschwitz. Ale wiedzmy, że nie wystarczy ratować kumotrowe dziecko, lecz trzeba zadbać również o inksze. No i gdzie był wówczas twój rozum, góralu, gdzie był twój honor?

Ksiądz Mieczysław zafrasował się na chwilę, po czym dodał:

– Najważniejsze, żeby pamiętać, że wtedy nic nie było proste. Nie ma jednej miary, nawet dla tych samych uczynków. Nie ma jednej odpowiedzialności.

Pytaliśmy w Zakopanem i okolicach, dlaczego tak trudno na Podhalu znaleźć jednoznaczną opinię o Goralenvolku i – zwłaszcza – o jego ideologach i przywódcach.

Henryk Krzeptowski-Bohac, członek Związku Podhalan, odrzekł:

– Tego, co niemiłe w domu, ku gościom się nie wynosi. Rachunek sumienia został już dawno przeprowadzony. Więcej – pod pretekstem Goralenvolku wielu skrzywdziło górali, wykorzystało, przypięło nam gębę. A wszystkiego i wszystkich do jednego worka nie da się wrzucić.

Kenkarty z literą „G” – dowód „przynależności” do germańskiego narodu góralskiego – przyjęło dwadzieścia siedem tysięcy Podhalan. Do dzisiaj trwa spór: czy było to raptem dwadzieścia siedem tysięcy, czy aż?

Odpowiedź na to pytanie nijak nie rozjaśnia obrazu.

Wśród tych dwudziestu siedmiu tysięcy byli tacy jak Stanisław Gąsienica-Mracielnik, który bił w twarz, gdy odmawiano przyjęcia kenkarty „G”. I za to bicie zastrzelili go ludzie „Ognia”.

Ale już inny Gąsienica, akurat Władysław, nie przyjął kenkarty „G”. Działacze Goralenvolku tłumaczyli mu, że skoro nosi bukowe portki z parzenicą, ubiera się po góralsku i mówi gwarą, to niechybnie jest góralem. „Portki góralskie – miał rzec Władek – ale to, co w portkach, polskie”.

Niektórym góralska kenkarta nie przeszkadzała w aktywności konspiracyjnej: chowali tatrzańskich kurierów (a nawet przechowywali Żydów, o czym opowiadał ksiądz Józef Tischner), nosili bibułę, chodzili z meldunkami na słowacką stronę. Podobno po powrocie ze Słowacji Wacław Krzeptowski ukrywał się w tym samym szałasie pod Kominiarskim Wierchem, w którym mieli kryjówkę tatrzańscy kurierzy. Podobno pewnego razu wpadł tam na swojego kuzyna Józefa Krzeptowskiego, króla kurierów, legendarnego „Ujka", człowieka, który za służbę Polsce trafił do syberyjskich łagrów. Nawet jeśli to prawda, i tak nie wiemy, o czym rozmawiali, jak i o co się wadzili. Wiemy za to, że po wojnie Józef Krzeptowski lubił powtarzać, że został kurierem, by ludzie za nazwisko nie pluli mu w twarz.

Tak wszystko było splątane. I takie pozostało w ludzkiej pamięci.

Lud to po prostu genialny

Polacy od wieków widzieli w góralach nadludzi.

– Owocem tego poglądu było rozpowszechnienie przez romantyków legendarnej postaci Janosika – tłumaczył nam Antoni Kroh, etnograf, literat, znawca Podhala, były pracownik Muzeum Tatrzańskiego. – Potem był Janosik neoromantyczny, młodopolski, ekspresjonistyczny. Łączył się ściśle z mitem górala jako super-Polaka. Heroicznych rozbójników mieli Włosi, Szkoci, Francuzi, Węgrzy, Huculi, lecz Polacy spoili mit zbójnika z walką o niepodległość. Wierzono wtedy, że w górach uchowała się prawdziwa polskość, nieskażona przez zaborców, pielęgnująca rodzimą kulturę. Wzięło się to z marzenia, że gdzieś w Polsce żyje lud wolny. A wolny znaczy szlachetny.

Nikomu w Polsce nie przeszkadzało, że przecież Janosik urodził się i zbójował po słowackiej stronie Tatr. Historyczna postać Słowaka Janosika stała się kanwą polskiej legendy świarnego górala. Kazimierz Przerwa-Tetmajer nadał Janosikowi narodowość polską. W dwutomowej *Legendzie Tatr* umieścił rodzinne gniazdo Janosika w Kościelisku koło Zakopanego.

Zanim legenda o Janosiku na dobre rozpaliła wyobraźnię Polaków, w Tatry wybrał się Stanisław Staszic i tak opisał mieszkańców Podhala: „[…] lud rosły, żywy, wesoły. […] władze umysłowe dobrze udolne […]”.

I jeszcze: „Uderzyła mię tych ludzi zręczna i zwinna postawa; Joaś, góral Tatrów, ma wzrost wielki, cała postawa mierzona w dobrym stosunku. Powszechnie włos czarny, naturalnie opuszczony; oko żywe i czarne, twarz podłużna”.

O Janoszu zbójniku pisał też Seweryn Goszczyński, autor *Dziennika podróży do Tatrów*, jednego z najważniejszych dzieł w historii literatury tatrzańskiej, które na lata określiło pozytywny stosunek Polaków do górali.

Słów „zbójnik” i „Janosik” używano wtedy zamiennie. Goszczyński pisał w poemacie *Sobótka*: „Janoszu, dzielny góralu, skąd ty wziął się na Podhalu. […] Nie kobieta, ale skała zrodzić nam ciebie musiała”.

Potem byli neoromantycy tacy jak Stanisław Witkiewicz, którzy wierzyli, że z Tatr wyjdzie polskie odrodzenie. Jaskinia w Giewoncie się otworzy, woje Chrobrego wyjdą i przegnają zaborców.

*

W październiku 1918 roku wielu mieszkańców Podhala uznało, że przepowiednia o odrodzeniu polskości w Tatrach właśnie się spełnia. Stefan Żeromski został

prezydentem Rzeczpospolitej Zakopiańskiej – na dwa tygodnie przed powrotem Józefa Piłsudskiego do Polski. Podległa Żeromskiemu formacja wojskowa rozbroiła austriackich żołnierzy, a następnie ruszyła walczyć o polskość orawskich miejscowości. Zastępcami Żeromskiego byli: endek i zarządca zakopiańskich dóbr hrabiego Zamoyskiego Wincenty Szymborski (ojciec noblistki Wisławy), twórca TOPR-u Mariusz Zaruski, któremu przypisywano lewicowe sympatie, i przewodniczący Związku Górali Franciszek Pawlica.

Pięciusetosobowe zakopiańskie zgromadzenie uchwaliło rezolucję:

> Wobec przyjęcia zasad pokojowych prezydenta Stanów Zjednoczonych Wilsona przez państwa rozbiorowe uważamy się odtąd za obywateli wolnej, niepodległej i zjednoczonej Polski. Tej Polsce winniśmy wierność i posłuszeństwo, mienie i krew naszą, nie uznajemy żadnych więzów tym najświętszym obowiązkom przeciwnych. Przejęci ważnością godziny dziejowej dla wspólnego gorliwego pełnienia obowiązków wobec państwa polskiego postanawiamy stworzyć Organizację Narodową w Zakopanem i w tym celu wybieramy jej zarząd, złożony z 32 osób, polecając mu ułożenie programu i sposobu działalności.

30 października Zakopane ogłosiło niepodległość. Dzień później zarząd Organizacji Narodowej przekształcił się w Radę Narodową ze Stefanem Żeromskim na czele, w której dominowali endecy. Założony rok wcześniej tajny oddział Stronnictwa Narodowo-Demokratycznego był w 1918 roku czołową siłą polityczną Zakopanego, jednak z czasem stracił poparcie większości mieszkańców kurortu.

16 listopada 1918 roku – po przejęciu władzy w Galicji przez Polską Komisję Likwidacyjną – Rada Narodowa w Zakopanem rozwiązała się i Rzeczpospolita Zakopiańska przestała istnieć.

Rafał Malczewski tak zapamiętał i utrwalił ten okres w *Pępku świata*:

> W Zakopanem wrzało w kawiarniach. Rodziły się różne projekty przy gorzałce. Orkan z autorem tych bajań rozważał możliwości utworzenia osobnego kraiku pod opieką przyszłej Ligi Narodów, kraiku składającego się z Podtatrza z Nowym Targiem i Słowackich Tatr z Popradem i Rużomberkiem. Jakaś taka Rzeczpospolita Tatrzańska. Powstałoby coś na kształt Monte Carlo plus St. Moritz plus Montmartre i Czerniaków plus puszcze kanadyjskie. Wyścigi konne na torach w Łomnicy Tatrzańskiej, ruletka i bakarat w kasynach, kabarety, dansingi, music-halle, oberże, góralszczyzna do potęgi, polowania […], narciarstwo i turystyka, […] stumetrowe skoki na deskach, bobsleje, ślizgawki. Ponadto hulanka na dołach i na wierchach. […] Mówiło się o tym bez końca. […] Chcieliśmy gwizdnąć na dwie Rzeczypospolite, skaczące sobie już do oczu [chodzi o Polskę i Czechosłowację], i uwolnić się od starych zapleśniałych kompleksów. […] lecz w roku 1939 bylibyśmy równie bezsilni jak Polska i Czechosłowacja.

Sam Żeromski tak wspominał swoje rządy:

> Powierzono mi niemal dyktaturę nad Zakopanem i przyległymi dolinkami. Sprawowałem ten niezapomniany, śmieszny i wzniosły urząd przez jedenaście dni, gdy się mama Austria waliła w gruzy. Zaprzysiągłem uroczyście wojsko, policję, szpiclów, gminę, pocztę i telegraf na wierność nowemu Państwu, a nawet prowadziłem wojnę o odzyskanie wsi Głodówka i Sucha Góra od inwazji czeskiej. Mile wspominam te moje przewagi wojenne i dyktatorskie, gdyż zawierają morze wesela.

*

Większa część Tatr, z masywem Gerlacha, Polskim Grzebieniem czy Lodowym Szczytem, znajduje się dzisiaj po słowackiej stronie. Ale nie zawsze tak było.

W średniowieczu w trudno dostępne góry mało kto się zapuszczał. Jeśli już, to głównie zbójcy lub banici ukrywający się przed władzą monarszą. Z niżej położonych tatrzańskich hal i polan korzystali wywodzący się z Bałkanów osadnicy wołoscy – wypasali tam owce. Na nieurodzajnej ziemi nie zależało dworom królewskim – te skupiały się na wioskach, z których mogły pobierać podatki. Dlatego w czasach I Rzeczpospolitej biegnąca przez Tatry granica z Królestwem Węgierskim – obejmującym dzisiejszą Słowację, nazywaną wtedy Górnymi Węgrami – nie była dokładnie wyznaczona.

Sytuację polityczną w Tatrach zmieniły dopiero zabory. Jeszcze przed formalnym przyłączeniem polskich ziem do ościennych mocarstw, w 1770 roku – dwa lata przed pierwszym rozbiorem – na Podhale, Spisz i Sądecczyznę wkroczyła armia austriacka, formalnie tworząc na tym terenie kordon sanitarny przed epidemią dżumy, a w praktyce podporządkowując te ziemie Wiedniowi. Prawie sto lat później – w 1867 roku – na mapie Europy pojawiły się Austro-Węgry. Tatry uznano za wewnętrzną granicę monarchii – pomiędzy Galicją a Królestwem Węgier – ale jej dokładnego przebiegu nadal nie wyznaczono. To doprowadziło do pierwszych poważnych konfliktów granicznych w Tatrach.

Hrabia Władysław Zamoyski, który kupił dobra zakopiańskie, oraz pruski książę Christian Hohenlohe, właściciel dóbr po węgierskiej stronie, toczyli spór o rejon Morskiego Oka. Dochodziło do potyczek pomiędzy podhalańskimi góralami, wśród których nie brakowało bitnych zbójników tatrzańskich, a hajdukami Hohenlohego. W potyczkach o Morskie Oko brał też udział słynny podhalański muzykant Bartuś Obrochta, który od 1890 roku przez pięć lat gazdował w pobliskim schronisku w Starej Roztoce.

W 1897 roku sprawa trafiła przed arbitraż międzynarodowy. W końcu 13 września 1902 roku sąd w Grazu uznał argumenty adwokata Oswalda Balzera (dzisiaj jego imię nosi droga prowadząca z Zakopanego w stronę Morskiego Oka), który reprezentował polską stronę w sporze granicznym, i wytyczył szczegółową granicę w tym rejonie Tatr, pozostawiając Morskie Oko po stronie Galicji. Na wieść o ogłoszeniu wyroku aktor i reżyser teatralny Ludwik Solski na czele rozradowanego tłumu wykrzykiwał na Krupówkach: „Jeszcze Polska nie zginęła, wiwat plemię lasze! Słuszna sprawa górę wzięła, Morskie Oko nasze!”.

Problem przebiegu tatrzańskiej granicy powrócił po zakończeniu I wojny światowej i odzyskaniu przez Polskę niepodległości w listopadzie 1918 roku. Z Czechosłowacją – która również pojawiła się na mapie Europy po upadku monarchii Habsburgów – II Rzeczpospolita toczyła spór nie tylko o rejon Śląska Cieszyńskiego i Zaolzia, ale także o Spisz, Orawę i przyległe do nich pasmo Tatr.

Już jesienią 1918 roku było wiadomo, że Budapeszt nie będzie w stanie nadal kontrolować ziem po południowej stronie Tatr. Wtedy wojsko podległe Żeromskiemu pod komendą rotmistrza Mariusza Zaruskiego ruszyło na Orawę. Polska armia przekroczyła granicę przy Łysej Polanie, zajęła Jaworzynę Tatrzańską i dotarła aż do Kieżmarku, gdzie stoczyła bitwę z dopiero co uformowanymi siłami zbrojnymi Czechosłowacji. Dowódcy czescy i słowaccy wobec przewagi militarnej Polaków byli skłonni pozostawić te tereny II Rzeczpospolitej – z fragmentem głównej grani Tatr Wysokich, Zadnim Gerlachem, Polskim Grzebieniem czy Lodowym Szczytem. Ale dyplomacja czechosłowacka nie dała za wygraną i przekonała państwa sojuszniczej ententy, że Polska chce zbyt daleko przesunąć swoją południową granicę w rejonie Tatr. W styczniu 1919 roku do polskiego dowództwa został przekazany rozkaz aliantów nakazujący wycofanie się z terenów na południe od polsko-słowackiej granicy. Polacy otrzymali informację, że decyzję taką podjął francuski marszałek Ferdinand Foch – wódz naczelny wszystkich sił sprzymierzonych podczas I wojny światowej na froncie zachodnim, którego Józef Piłsudski uważał za przyjaciela Polski (po wojnie polsko-bolszewickiej Foch został nawet mianowany marszałkiem Polski). Dowództwo postanowiło więc czym prędzej wykonać rozkaz. Po późniejszej weryfikacji alianckiego rozkazu okazało się, że postanowienie takie wydał Ferdinand… Vix – pułkownik, szef misji ententy w Budapeszcie, który sprzyjał Czechosłowacji. Na protesty polskiego dowództwa było już jednak za późno, żołnierze zdążyli wrócić na północną stronę Tatr.

Polacy przekroczyli granicę w rejonie Łysej Polany jeszcze raz – w 1919 roku, kiedy w Budapeszcie powołano Węgierską Republikę Rad (istniała od marca do sierpnia

1919 roku). Madziarska rewolucja komunistyczna wprowadziła zamęt także na Słowacji. Wojsko polskie skorzystało z okazji i ponownie zajęło te tereny. Ale na wieść o maszerującej w stronę Tatr węgierskiej Armii Czerwonej i z powodu wybuchu wojny polsko-bolszewickiej znów wycofało się za Białkę.

Państwa ententy uzgodniły, że na tym terenie zostanie przeprowadzony plebiscyt, by górale spiscy i orawscy mogli się wypowiedzieć, czy bardziej czują się Polakami, czy też obywatelami Czechosłowacji. Po obu stronach spornego terenu ruszyły przygotowania do głosowania, podczas których dochodziło do potyczek na tle narodowościowym. Były nawet ofiary śmiertelne – jeden z działaczy plebiscytowych utonął w wodach Dunajca.

W tym czasie polski rząd miał dużo większe zmartwienia niż sprawa uregulowania granicy w rejonie Tatr. Wojna polsko-bolszewicka zagroziła dopiero co odzyskanej niepodległości – latem 1920 roku ofensywa prowadzona przez Michaiła Tuchaczewskiego parła na Warszawę. Rząd liczył się z możliwością przegrania bitwy o stolicę, miał nadzieję, że w takim wypadku z pomocą przyjdzie Zachód. Mocarstwa zachodnie postawiły jednak warunek – Polska zgodzi się na uregulowanie południowej granicy według postulatów Czechosłowacji. Na konferencji w Spa zdecydowano o rezygnacji z plebiscytów na Spiszu i Orawie. Większość tych terenów podporządkowano Pradze.

Armia marszałka Józefa Piłsudskiego pokonała Rosjan w bitwie warszawskiej, ale większa część Orawy i Spiszu, większa część Tatr, masyw Gerlacha, Polski Grzebień czy Lodowy Szczyt pozostały już po czechosłowackiej stronie granicy.

*

Rok 1938. Już po konferencji w Monachium, podczas której zachodnie państwa zgodziły się na ustępstwa wobec III Rzeszy. Niemcy zajęły Kraj Sudecki i utworzono federacyjną Czecho-Słowację. Przy tej okazji Warszawa przypominała sobie o Jaworzynie Tatrzańskiej. 27 listopada Wojsko Polskie przekroczyło granicę. Naprzeciw Słowakom wysłano najlepsze oddziały pancerne II RP dowodzone przez Stanisława Maczka i Franciszka Skibińskiego, wówczas pułkownika i majora.

> Na przejęcie Jaworzyny szczególnie cieszył się i wyczekiwał radosnej chwili Jurgów, który jest życiowo złączony z halami i polanami jaworzyńskimi – pisała „Gazeta Podhalańska”. – Przybycie pierwszych oddziałów wywołało entuzjazm. Żołnierz polski wśród szpaleru Związku Strzeleckiego, przez powitalną bramę z napisem „U stóp Jaworzyny serdecznie witamy”, wkroczył na ziemię spiską i zagościł w Jurgowie, by nazajutrz przekroczyć od 18 lat niesłusznie istniejącą granicę rozdzielającą serca

polskich górali spiskich. Tłumy jurgowian w oryginalnych strojach staroświeckich oraz okoliczna ludność z Czarnej Góry, Rzepisk, Bukowiny, Brzegów i Białki na dotychczasowej granicy polsko-czechosłowackiej na „Wojtasiej" przy bramie udekorowanej portretami Prezydenta Mościckiego, Marszałka Piłsudskiego i Marszałka Śmigłego-Rydza, przy dźwiękach orkiestry dętej z Jurgowa, powitały kwiatami pierwsze oddziały przybyłego wojska polskiego.

W strzelaninie ze słowacką żandarmerią padł polski oficer Stefan Rago, a jego kompan kapral Henryk Oleksowicz umarł od ran. Akcja skończyła się po kilku godzinach.

Śmierć Stefana Ragi stała się okazją do zamanifestowania patriotyzmu na Podhalu i w stolicy. Generał Franciszek Skibiński, ówczesny szef sztabu 10. Brygady Kawalerii, zapisał w swoich wspomnieniach:

29 listopada odbyła się uroczysta eksportacja zwłok na stację w Nowym Targu, z pochodniami, trębaczami, salwami, wszelkimi innymi honorami wojskowymi i tłumem górali, tym razem naprawdę spontanicznym. 1 grudnia w Warszawie nastąpił jeszcze paradniejszy pogrzeb na koszt państwa.

Polska zdobyła sto dziesięć kilometrów kwadratowych skał, piargów i nieużytków. Najwyższą górą należącą do Rzeczypospolitej stał się Lodowy Szczyt (2628 m n.p.m.), granicę przesunięto na południowy wschód od Rysów – główną granią przez Ganek, Zadni Gerlach, Małą Wysoką, Jaworowy Szczyt, Lodowy Szczyt, Baranie Rogi, Jagnięcy Szczyt, Płaczliwą Skałę do Zdziaru.

Rzeczypospolitej przybyło kilkuset obywateli, prezydent Mościcki mógł zaś spędzić sylwestra 1938 roku w zameczku myśliwskim wystawionym przez księcia Hohenlohego. Majątek polski wzbogacił się też o knajpę w dawnej strażnicy granicznej nazwaną na cześć wojaków Towarzysz Pancerny.

Polska niedługo cieszyła się z łupów. 1 września wojska słowackie zajęły Jaworzynę i razem z Niemcami weszły do Zakopanego. Słowacy dostali polskie części Spiszu i Orawy.

Po II wojnie światowej przywrócono stan sprzed listopada 1938 roku. Najwyższym polskim szczytem pozostają graniczne Rysy (2499 m n.p.m.). Po przystąpieniu Polski i Słowacji do Unii Europejskiej otwarto wszystkie przejścia graniczne pomiędzy obydwoma państwami, także to na Łysej Polanie.

*

Książką, która odegrała bodaj największą rolę w rozpowszechnieniu mitu góralszczyzny, była *Na przełęczy* (1891) Stanisława Witkiewicza. Najlepsze cechy góralskie uosabia w niej legendarny dziś gawędziarz, muzyk i przewodnik Jan Krzeptowski-Sabała, nieodległy przodek Wacława Krzeptowskiego.

> Wygląda to jak początek bajki: Za górami, za lasami był taki jeden baca… I rzeczywiście, w stosunku do naszego życia miejskiego, życie na tej polance zielonej, słonecznej, życie tak pierwotne i proste, wydaje się kartką z jakichś bajecznych opowiadań o szczęśliwym wieku ludzkości

– napisał Witkiewicz.

A w innym fragmencie:

> – To jest tak piękne jak balet! – zawołał pewien turysta, patrząc na grupę młodych górali, smukłych, zgrabnych, ubranych w białe, wiszące na ramionach cuhy i białe obcisłe spodnie, znaczone granatowym i czerwonym sznurkiem. Zdanie to, tak pochlebne dla baletu, zawiera w sobie o tyle prawdy, o ile człowiekowi, przywykłemu widzieć zręczne ruchy i piękne pozy tylko w teatrze, musi z konieczności teatr służyć za miarę piękna.

– Ta ogromnie sugestywna, chwytająca za serce proza Witkiewicza narzuciła Polakom wizję Tatr i Podhala jako arkadii, resztek zanikłego świata, idealnie pięknego zakątka, zamieszkałego przez ludzi pełnych pierwotnej szlachetności – tłumaczył Antoni Kroh. – Wtórował mu Kazimierz Przerwa-Tetmajer. Tysiące jego wielbicieli w trzech zaborach i diasporze, czytając *Bajeczny świat Tatr*, wierzyło, że na skutek współżycia z pierwotną przyrodą wyrosło pod Tatrami plemię „dzieci natury”, nietkniętych przez cywilizację, obdarzonych wielkimi namiętnościami i nadludzką siłą fizyczną, zbliżonych bardziej do starożytnej Hellady niż do rzeczywistości XX wieku.

Nie tylko Polacy dopatrywali się u podhalańskich górali wyjątkowych cech. Francuski doktor Gustave Le Bon między innymi tak opisał swoją tatrzańską „wycieczkę antropologiczną” w 1879 roku:

> Różne psychologiczne właściwości wykazane przez nas u górali tatrzańskich, a mianowicie ich przedsiębiorczość, energia, wrażliwość, inteligencya i nader żywa wyobraźnia, ich artystyczne i przemysłowe zdolności, jak również ich pragnienie nabywania wiedzy wyróżniają ich nadzwyczajnie z pomiędzy otaczających plemion.

Snuto domysły, skąd też góralskie plemię wzięło się na Podhalu. Byli tacy, którzy uważali, że to szczep pradawnych Arian, wypartych przed wiekami z Europy do Indii. Z kolei niemieccy etnografowie (ale też niektórzy polscy), co później skwapliwie wykorzystała hitlerowska propaganda, widzieli w nich potomków Gotów. Szukający w Tatrach kolebki polskości przyjęli, że górale wywodzą się z rodu Piastów.

W 1928 roku profesor Włodzimierz Antoniewicz nakładem Polskiej Akademii Umiejętności w Krakowie wydał pracę *Metalowe spinki góralskie*, z której ponad dekadę później garściami czerpali hitlerowscy propagandziści. Według tego polskiego etnografa podobieństwo charakterystycznych spinek podhalańskich do spinek Gotów może świadczyć o silnym wpływie „elementu niemieckiego" pod Tatrami. Antoniewicz uważał, że plemię Gotów miało tu dotrzeć, chroniąc się przed najazdem Hunów.

Równocześnie w Polsce trwał mit świarnego górala. Literatom wtórowali plastycy. Zwłaszcza Władysław Skoczylas, popularny w latach dwudziestych i trzydziestych minionego wieku, przedstawiał górali jako obdarzonych najlepszymi cechami.

– Podobnie jak w *Legendzie Tatr* Tetmajera, również na drzeworycie Skoczylasa idą zbójnicy, gibcy, piękni, zdecydowani, zgrabni – mówił etnograf Kroh.

W całej Polsce utrwalała się miłość do góralszczyzny. Witkiewicz, Chałubiński, Zaruski, Kossak – oni wbili Polakom do głów, że góralszczyzna to coś wspaniałego, że górale to polski wolny lud.

– I chwała Bogu, bez tego pod zaborami byłoby o wiele smutniej – uważa Kroh. – To, że później niektórzy, choćby Żeromski, pisali o zbójnictwie zupełnie co innego, nie zostało w pamięci zbiorowej. W *Popiołach* ohydni zbójnicy tatrzańscy dokonują gwałtu zbiorowego na ukochanej bohatera i ona skacze ze skały, bo nie może znieść tej hańby. Nie pamięta się dzisiaj także XIX-wiecznych klęsk głodu czy epidemii cholery na Podhalu. Tym bardziej poszły w niepamięć incydenty wywołane przez tatrzańskie bandy rabunkowe sprzed dwustu–trzystu lat.

Góral według XIX-wiecznych „panów" odwiedzających Zakopane był silny, odważny, muzykalny, inteligentny.

– „Panowie" wynajmowali przewodników, a przewodnik górski nie może być słabowity, nie może być mrukiem. Dla kogoś, kto pierwszy raz szedł na halę Ornak, to była wielka wyprawa. Przewodnik, który go tam prowadził, był w jego oczach niebywale odważnym człowiekiem. I był potrzebny, bez niego „pan" nie dałby sobie rady. A jeszcze opowiadał po drodze bajdy. O czym? O zbójach oczywiście. Zbój z opowieści miał wzruszać, pobudzać wyobraźnię, a nie przerażać – tłumaczył nam Kroh.

Jeśli z czasem dostrzeżono negatywne cechy górali, to uważano, że zepsuli ich „panowie".

Sami górale wiedzieli, jaka jest prawda. Przedstawiciele pierwszego pokolenia inteligencji podhalańskiej – ci pierwsi górale, którzy zaczęli się kształcić w XIX wieku, zostawili po sobie pamiętniki; pisali, że w tradycji podhalańskiej dobrych zbójników

nie było. Zbójnicy z dokumentów sądowych, ci istniejący, XVIII-wieczni, żyli nędznie. W tamtych czasach – a i później – chłopi nie myśleli kategoriami państwa, politykę uważali za zabawkę możnych, która tylko sprowadza nieszczęścia. Dowiodły tego powstanie styczniowe i rabacja galicyjska. Poczucie narodowe w niższych warstwach społecznych narastało dopiero w XIX wieku. A myślenie kategoriami: „zginął za Polskę" czy „kochał swój naród" lub „nienawidził zaborców Austriaków" to myślenie rodem z XX wieku. Zbójnicy nie wiedli życia szczęśliwych i wolnych dzieci natury, jak się ich później i dzisiaj przedstawia. Wieszano ich za kradzież kilku oscypków albo jagnięcia. Jeśli mimo to kradli, to zwykle z głodu.

– Jeśli bacowie na halach i właściciele owiec we wsiach podziwiali ich, to tak jak sklepikarze podziwiają mafię, której trzeba się opłacać – uważa Kroh.

W latach dwudziestych ubiegłego wieku o Polskę szarpali się zwolennicy różnych ideologii. Na przykład Stanisław Ryszard Dobrowolski napisał poemat *Janosik z Tarchowej*, z którego wynika, że gdyby ten zbójnik żył w XX wieku, z pewnością stanąłby po właściwej stronie, skoro zabierał bogatym i dawał biednym.

Góralskie czy zbójnickie motywy wykorzystywano też w propagandzie PRL-owskiej. „Nie chodź na zbój, Wojtek, Maciek. Lepiej robić w kombinacie" – śpiewał zespół Nowotarskich Zakładów Przemysłu Skórzanego „Podhale".

– Pamiętam fotografię przedstawiającą górali przed pomnikiem Lenina w Poroninie. Włodzimierz Iljicz z wieńcami i wiązankami u stóp, w tle panorama Tatr, a po obu stronach cokołu warta honorowa: dwóch zbójników w charakterystycznych wysokich czapach, szerokich czerwonych koszulach, z pistolcami za pasem, trzyma ciupagi w pozycji „prezentuj broń" – wspominał Kroh.

Choć Lenin mieszkał w Białym Dunajcu, to na siedzibę muzeum jego imienia wybrano Poronin. Mogło być tak, że się socjalistycznym propagandzistom zrymowało: Lenin – Poronin, do Lenina – do Poronina. I stwierdzili, że historia o Leninie w Poroninie będzie łatwiej wpadała w ucho niż o Leninie w Białym Dunajcu. Górale przystosowali się do nowych czasów.

Pomnik Lenina w Poroninie stanął przed dawnym góralskim zajazdem w 1948 roku, odsłonięty z wielką pompą przy akompaniamencie kapeli góralskiej. Odlana z brązu figura ważyła trzy tony. Lenin przetrwał w Poroninie czterdzieści dwa lata, tłumnie odwiedzany przez wycieczki pracownicze, młodzież z całej Polski i bratnich krajów demokracji ludowej.

Pobyt Lenina na Podhalu miał dowodzić świadomości klasowej górali.

> My, górale, możemy się szczycić tym, że stosowaliśmy i stosujemy wspólność socjalistyczną w wypasie dużych stad owiec różnych właścicieli, współżycie chłopów w górach i na halach – możemy się szczycić tym, że Lenin, żyjąc wśród nas, brał żywy przykład z naszej wspólnoty do tworzenia socjalizmu i komunizmu. A teraz jakiś nierozsądny karierowicz chciałby widzieć góry bez górali, bez bydła i owiec – a tylko z wycieczkami i urzędnikami Parku Narodowego

– pisali w 1963 roku do towarzysza Władysława Gomułki górale, oburzeni zakazem wypasu owiec w Tatrach.

I dzisiaj producenci różnych towarów nie stronią od wykorzystywania pozytywnego wizerunku górali w reklamie. Podobnie czynią politycy – przed każdymi wyborami lider znaczącej partii przyjeżdża na Podhale, pokazuje się przed kamerami na tle ubranych w stroje regionalne postawnych chłopów i świarnych dziewcząt.

*

Niemcy, a przede wszystkim dyżurni naukowcy czasów Hitlera (antropologowie, historycy, kulturoznawcy), też uważali, że podtatrzański lud to coś nadzwyczajnego. Pomysł, że podhalańscy górale to w istocie Germanie rozpuszczeni w słowiańskim żywiole, był popularny wśród niemieckich naukowców przed II wojną światową. Pisano na przykład, że u „plemion Łemków, górali zamieszkujących południową Polskę, jeszcze do dzisiaj widać szczególnie mało miłości do Polski”, a wynika to z faktu, iż właśnie resztki germańskiego ludu Kwadów dały początek tamtejszej społeczności, więc w naturalny sposób orientują się na niemieckość: „Nad dolną Wisłą rozwija się od 1800 r. przed Chrystusem wschodniogermańska kultura przez osiadłe tu szczepy Germanów wschodnich”. Kiedy zaś Podhale było we władaniu III Rzeszy, Instytut Niemieckiej Pracy na Wschodzie (Institut für Deutsche Ostarbeit) założony przez gubernatora Hansa Franka i usytuowany w Krakowie ogłaszał rozprawy jakoby dowodzące, że góralszczyzna równa się germańskości zgłuszonej przez słowiański żywioł. W pseudobadaniach meldowano, że wpływy germańskie są na Podhalu silne, gdyż góry i związana z tym izolacja od reszty Polski sprzyjały utrwaleniu tego, co najdawniejsze. Doktor Anton Plügel pisał o głębokich różnicach występujących między Polakami a góralami, o polskim nacjonalizmie i postawach propaństwowych:

> Górale byli przez Polaków bez ceremonii traktowani jako szczep polski, a cechy ich etniczne podane jako polskie […]. Tylko przesadna gorliwość, z jaką to czyniono, pozwala przyjąć, że polska polityka bynajmniej nie była przekonana o słuszności tezy, z taką dogmatyczną pewnością głoszonej, lecz starała się usilnie przeszkodzić w obudzeniu

poczucia narodowego u górali i na skutek długiej przynależności do prowincji polskiej oraz w wyniku starań Kościoła, szkoły i polskiej propagandy.

Doktor E. Riemann podawał, że pierwszy etap kolonizacji niemieckiej to XII wiek. „Powstało wtedy około stu niemieckich miast".

Dlatego – to znów Plügel – górale różnią się od Polaków w zasadniczy sposób. Wśród ludności góralskiej przeważa dynarski typ urody – mężczyźni wysocy o cerze ciemnobrunatnej, o włosach jasnych lub ciemnych. Można wśród górali spotkać także przedstawicieli rasy nordyckiej. Ludowe wzornictwo jest typowo germańskie – na przykład spinki podobne do gockich i przede wszystkim swastyka występująca w góralskich ozdobach.

Pisano o góralskiej „mniejszości narodowej uciskanej przez rząd polski".

[Góralskie] poczucie plemienne i regionalne jest rozwinięte bardzo silnie i przewyższa o wiele świadomość przynależenia do narodu polskiego. Siła tego poczucia […] bez wątpienia upoważnia do wyróżniania górali jako osobnego szczepu.

Albo:

[…] górale odróżniają się od Polaków swym wzrostem, swymi obyczajami i w ogóle swą wybitnie odrębną tradycją. Noszą oni swój odrębny strój, okazują od budowy domów aż do rzemieślniczych wyrobów swój osobliwy styl i własną sztukę ludową, której nie można porównać z polskimi formami twórczości.

O góralskiej naturze twierdzono:

[…] najbardziej charakterystyczny jest tu koniunkturalny oportunizm. Ten sam przywódca górali, który fotografował się z polskim prezydentem, publicznie wypowiadał się za programowymi hasłami rządu i torował drogę dla polskiej propagandy w górach, jest zawsze gotowy pozostawać do dyspozycji innych władz.

Wynika to z chłopskiej chytrości:

Zachwycano się dawniej uformowanymi specjalnie przez Warszawę pułkami podhalańskimi i czyniono ogromne starania dla podniesienia kultury regionalnej […], a tymczasem góral rodzi się dzisiaj jako wrogi Polsce, uciskany przez Warszawę i Kraków element.

W książce *Das wahre Gesicht Polens* [Prawdziwa twarz Polski] – wydanej w Berlinie w 1939 roku przez Wehrmacht – Walther Blachetta (oficer SS i pisarz) tak przedstawił Polaków i górali: „Wyżyny karpackie zamieszkują górale, dzielny bohaterski naród […] pogardliwie spoglądający na Polaków z nizin".

Tak zapamiętał ten czas Juliusz Zborowski, ówczesny dyrektor Muzeum Tatrzańskiego:

> Koncepcja „góralskiej narodowości” (Goralenvolk) powstała w Niemczech, najprawdopodobniej jeszcze przed najazdem na Polskę. […] Najeźdźcy przyszli z zasadniczym planem oderwania górali od polskiego społeczeństwa. Już w pierwszych dniach po zajęciu Podhala, gdy kilkunastu żandarmów dokonało rewizji Muzeum Tatrzańskiego, dowiedziałem się od ich komendanta, że górale nie są Polakami. Pamiętam, że już podczas pierwszej wojny światowej czytałem niemieckie wywody o narodach dawnej Polski: Polakach, Mazurach, Ślązakach, Góralach itd. Początkowe zachowanie się władz niemieckich wskazywało, że plan wyodrębnienia górali nie był jeszcze sprecyzowany. Ale rychło miejscowi renegaci, znający tubylczą ludność i stosunki na Podhalu, podali dokładniejszy program separatystycznej akcji.

Być może twórcy Goralenvolku dali się złapać na propagandę ubraną w szatki nauki. Z pewnością w podobnym tonie wypowiadał się Henryk Szatkowski.

*

W grudniu 2011 roku w Zakopanem przygotowano sesję naukową „Antropologia, Pamięć, Historia. Wokół projektu »Zakopiańczycy – w poszukiwaniu tożsamości«”. Organizatorami byli: Muzeum Tatrzańskie, Instytut Etnologii i Antropologii Kulturowej UJ, pismo „Konteksty. Polska Sztuka Ludowa”, Instytut Sztuki PAN.

Konferencję zainaugurowano w grudniowe popołudnie w Galerii Sztuki imienia Kulczyckich na Kozińcu, należącej do Muzeum Tatrzańskiego, gdzie zaprezentowano wystawę autorstwa Kuby Szpilki, Macieja Krupy i Piotra Mazika „Zakopiańczycy – w poszukiwaniu tożsamości”. Na ścianach zawisły portrety kilkudziesięciu postaci, których życie – choć sami już odeszli – według autorów wystawy charakteryzuje współczesne Zakopane. Wśród nich znaleźli się między innymi Józef Oppenheim – przedwojenny naczelnik TOPR-u żydowskiego pochodzenia, zastrzelony, jak relacjonowała Wanda Gentil-Tippenhauer, 29 stycznia 1946 roku, a ponadto: Kornel Makuszyński, Jan Sztaudynger, Maria Kasprowiczowa, Stanisław Marusarz, Józef Krzeptowski.

Mogliby wiele powiedzieć o powojennych reakcjach na Goralenvolk.

W takiej scenerii prelegenci jęli roztrząsać, jakie właściwie było Zakopane.

Jan Gondowicz, pisarz i krytyk literacki, odczytem „Demonizm Zakopanego. Mit i fakt” przypomniał, jak postrzegano to miasto w czasach Stanisława Witkiewicza i jego syna Witkacego.

Zacytował słowa Witkiewicza seniora, uważane za zakopiańskie credo:

> Ludzie […], którzy przyszli do Zakopanego […], przypuszczali, że na tym gruncie, w warunkach tak wyjątkowych, da się wytworzyć wyższy, doskonalszy typ ludzkich stosunków […]: środowisko wyższych dążeń i form życia, promieniejące na resztę społeczeństwa. Zakopane miało rzeczywiście wyjątkowe warunki po temu. Otacza je […] ocean czystego powietrza, niewyczerpane źródła żywych wód górskich i ziemia czysta […]. Górale są jedną z najwyborniejszych odmian polskiej rasy. Lud to po prostu genialny […]. Nadzwyczajna inteligencja, połączona z wielką rozwagą, nie zabijającą jednak ani lotności pojmowania, ani wrażliwości na zjawiska i wpływy zewnętrzne; wrodzona wytworność obyczajów i stosunków, dzielność, energia i sprawność czynów […]. Otóż do tej doliny zakopiańskiej, otoczonej bajecznym światem Tatr, przyszli „goście" […] naprawdę liczący w swoim tłumie to wszystko, co stanowi wyższą klasę inteligencji i charakterów polskiego społeczeństwa.

Ujawniła się w całej pełni zakopiańska utopia. Stał się mit, zauważył Gondowicz i przypomniał, że Witkacy mianował Zakopane światowym centrum dziwności, jednym z pępków metafizycznych globu, pisząc o tym między innymi w felietonie *Demonizm Zakopanego*, opublikowanym w 1919 roku w „Echu Tatrzańskim". Już w wolnej Polsce. W nowej rzeczywistości, która miała trwać ledwie dwie dekady.

Z kolei Maciej Krupa – etnograf, jeden z autorów wystawy – przedstawił początki infrastruktury turystycznej pod Tatrami:

> Kiedyś Zakopane to była niewątpliwa prowincja, więcej – prawdziwe zadupie. Kilkadziesiąt drewnianych chałup gdzieś hen za lasami, w podgórskiej dolinie, w krainie deszczowców. Pierwsi przybysze, na przełomie XVIII i XIX stulecia, zatrzymywali się w kuźnickim dworze lub tamtejszej karczmie, a pół wieku później na plebanii ks. Stolarczyka i w góralskich chałupach na Nawsiu. Pierwszym znanym z nazwiska letnikiem, który spędził kilka miesięcy pod Giewontem, był w 1856 roku profesor UJ Jan Kanty Steczkowski. Około 1870 roku Jan Krzeptowski zbudował nieopodal kościoła dom z mieszkalnym piętrem – mieszczący nieco później istniejącą do dziś restaurację U Wnuka – pierwszy w Zakopanem dom piętrowy zaprojektowany w celu przyjmowania turystów. W 1882 roku powstaje Dworzec Tatrzański zbudowany przez Towarzystwo Tatrzańskie jako jego siedziba i dla obsługi rosnącego ruchu turystycznego. Kolejne lata to czas żywiołowego rozwoju wsi pod Giewontem – powstaje wiele hoteli, pensjonatów, sanatoriów i domów na wynajem, budowanych specjalnie z myślą o letnikach.

Turystyka nabrała rozmachu w dwudziestoleciu międzywojennym. Zakopane zmienia się, rozwija żywiołowo, „miastowieje" – opowiadał o tym okresie Krupa. I cytował Rafała Malczewskiego:

Zakopane rozrzucone po równiach i wzniesieniach, przeplatane chatami góralskiemi, to znów wielkomiejskiemi gmachami tętni życiem stolicy i nędznej wiosczyzny równocześnie. Pokrajane zaledwie kilkoma ulicami, niesfornie zabudowane, oddycha kryształowem powietrzem gór i smrodem samochodowej benzyny, tarza się w bagnach, to wspina na zbocza Antałówki i Gubałówki, zasypia w upalne dnie i znów drży pod batem halnego wiatru. Huczące autobusy rozganiają kierdele owiec redykające do domu, wozy wyładowane plonem łąk i roli ciągną popod okna barów, kawiarń i dancingów zawodzących najmodniejszem tangiem. Nocami płoną elektryczne lampy, ponad niemi księżyc zielonem światłem rzeźbi grań Tatr. Rozlegają się dzikie wycia góralskie w obejściach paradnych hoteli, otoczonych szopami, w których pobekują owce. Wykwint i elegancja przelewa się chodnikami; obok zaś gazdowie rozrzucają gnój na ojcowskiej grzędzie. Wielkie jak wrota lustrzane szyby magazynów łowią męt i ruch uliczny: samochody, narciarzy, wolowatych sietniaków, seledynowe zachody słońca, nędze i wspaniałości ludzi i świata.

Maciej Krupa mówi dalej:

Z jednej strony mamy to Zakopane kosmopolityczne, światowe. Rzeźbiarz, automobilista i cyklista August Zamoyski biegający po Skibówkach w łowickich portkach, z żoną, włoską tancerką Ritą Sacchetto, prowadzącą w Zakopanem szkołę tańca. Jan Gwalbert Henryk Pawlikowski z żoną Marią primo voto Bzowską, tertio voto Jasnorzewską i drugą żoną Valerie Konchinsky – austriacką tancerką. Holenderski pianista Egon Petri z niemiecką żoną Mittą, Witkacy otoczony swoimi licznymi muzami: Jadwigą Janczewską, Ireną Solską, Neną Stachurską, Czesławą Oknińską, nie wspominając już o żonie Jadwidze. Karol Szymanowski ze służącym Felkiem. Angielka Winifred Cooper, podpora Teatru Formistycznego, sprzedająca swój dom na Harendzie Janowi Kasprowiczowi i urodzona w Port-au-Prince na Haiti malarka Wanda Gentil-Tippenhauer z Józefem Oppenheimem, komunizującym Żydem, królem życia, narciarzem i ratownikiem górskim. Jak na prowincję – egzotyczne to związki. Rok 1939 zamyka tę barwną epokę. Odbywają się jeszcze narciarskie Mistrzostwa Świata FIS, wystawa malarstwa *Góry polskie* oraz Dni Tatr i Zakopanego.

*

W lutym 1939 roku, niespełna siedem miesięcy przed wybuchem wojny, pod Wielką Krokwią zebrali się narciarze z różnych krajów, by walczyć na Podhalu o medale mistrzostw świata. Po dziesięciu latach Zakopane już po raz drugi gościło najlepszych narciarzy. Przez tę dekadę miasto się zmieniło. Z myślą o mistrzostwach zbudowano kolejki na Kasprowy Wierch i na Gubałówkę, a także górski hotel na Kalatówkach. Wyremontowano jezdnię prowadzącą pod Tatry i szlak kolejowy, który spalinowa lukstorpeda pokonywała z Krakowa w dwie godziny i osiemnaście minut (w 2017 roku

taka podróż z PKP trwa o ponad godzinę dłużej). Wszystko po to, by Zakopane nie ustępowało alpejskim ośrodkom. Na czele komitetu organizacyjnego stanął Aleksander Bobkowski – szef Polskiego Związku Narciarskiego, były minister komunikacji i zięć prezydenta Ignacego Mościckiego. Bobkowskiemu sen z powiek spędzała pogoda. W lutym 1939 roku w Zakopanem zamiast śniegu padał deszcz. Z ogromnymi trudnościami zawody udało się jednak rozegrać, zwożąc śnieg na obiekty sportowe z Tatr furmankami.

Na trybunie honorowej podczas ceremonii otwarcia mistrzostw pod Wielką Krokwią prezydent Ignacy Mościcki zasiadł w towarzystwie prezydenta Międzynarodowej Federacji Narciarskiej majora Nikolaia Ramma Østgaarda. Przy dźwiękach polskiego hymnu narodowego obaj – mimo zacinającego deszczu – przeszli obok kompanii podhalańskiej, pocztu sztandarowego i szpaleru górali. Do mistrzostw oprócz Polaków zgłosiło się dwanaście ekip: Niemcy, Brytyjczycy, Finowie, Francuzi, Węgrzy, Włosi, Kanadyjczycy, Norwegowie, Rumuni, Szwedzi, Szwajcarzy i Jugosłowianie. Na skutek niemieckiej aneksji Austrii i zajęcia części Czechosłowacji – także przy udziale Polski: na Zaolziu, Spiszu i Orawie – nie było reprezentacji tych krajów. Austriacy startowali w barwach hitlerowskich Niemiec.

„Przegląd Sportowy” donosił: „Słabe oklaski dla Niemców, ciepłe przyjęcie Francuzów i burzliwie brawa dla Polaków”. To nie były jednak udane mistrzostwa dla Polaków. Polska reprezentacja nie zdobyła żadnego medalu, nie licząc brązu w biegu patrolowym – przemianowanym później na biathlon – ale była to wtedy konkurencja poza oficjalnym programem zawodów.

W zjeździe – na trasie z Kasprowego Wierchu do Kalatówek, w trudnych warunkach z powodu małej ilości śniegu – wygrał Hellmut Lantschner, Austriak w barwach Niemiec. Bronisław Czech był dwudziesty. Wśród alpejek również zwycięstwo Niemiec – Christl Cranz była najlepsza w zjeździe, slalomie i kombinacji alpejskiej. Zabrakło najlepszej polskiej narciarki, młodszej siostry skoczka Stanisława Marusarza – Heleny, która na treningu złamała rękę. W slalomie na Kalatówkach najlepszy był Szwajcar Rudolf Rominger. Kobiety nie wystartowały z powodu złych warunków. Pięćdziesięciokilometrowy maraton biegowy wygrał Norweg Lars Bergendahl, Józef Zubek był jedenasty. W biegu na osiemnaście kilometrów najlepiej spisał się Fin Jussi Kurikkala, który razem z kolegami z drużyny triumfował także w sztafecie. Kapitan polskich biegaczy Marian Woyna-Orlewicz w biegu na osiemnaście kilometrów był dopiero sześćdziesiąty trzeci.

Polscy kibice musieli się zadowolić czwartą lokatą Andrzeja Marusarza, kuzyna Stanisława, w biegu złożonym. Na skoczni triumfowała kadra hitlerowskich Niemiec. Jej reprezentant, Austriak Sepp Bradl, wygrał konkurs skoków na Wielkiej Krokwi, ku rozczarowaniu dwudziestu pięciu tysięcy polskich kibiców, którzy przyszli dopingować swojego faworyta Stanisława Marusarza. Ten z powodu kontuzji był dopiero piąty. W lutym 1939 roku na Wielkiej Krokwi powiewała hitlerowska flaga. Nieco ponad pół roku później swastyki zawisły na Krupówkach.

*

Jacek Woźniakowski, jak przypomniał Maciej Krupa, zanotował:

> Tragicznie przerwane zostały te bogate inicjatywy. A przecież trudno się oprzeć wrażeniu, że na owej prężnej epoce – epoce kolejki na Kasprowy Wierch, FIS-u, Święta Gór i Tygodnia Gór, nowoczesności pod postacią „Bajadery" (później „Tytana"!) czy „Złotego Rogu", epoce zięciów i szwagrów, Wacków i Dzidków, hotelu na Kalatówkach i pociągu „Narty-Dansing-Brydż" – kładzie się niepokojący, tępy cień. Dawno już dostrzegano na Podhalu głębokie mroki, przede wszystkim te, które rozciągały się między witkiewiczowską przełęczą a bagnem. Ale teraz chodzi o coś więcej: o nowy styl. […] Pod koniec dwudziestolecia jak gdyby sięgnął naszych gór cień Nikodema Dyzmy.

„Wacek" w tekście Woźniakowskiego to Wacław Krzeptowski, a „Dzidkiem" nazywano w Zakopanem Henryka Szatkowskiego – uznawanego za mózg Goralenvolku.

> Tę dwoistość Zakopanego znakomicie ujął Jerzy Mieczysław Rytard, człowiek z centrum, zakorzeniony jednak – nie tylko przez małżeństwo z góralką Heleną Rojówną, pod Tatrami

– mówił na konferencji Maciej Krupa.

Helena Roj to krewna Karoliny o tym samym nazwisku, która w 1939 roku w karczmie przy ulicy Kościeliskiej powiesi na belce pod powałą między malowanymi na szkle obrazami świętych portret Hitlera. I złoży wawelski hołd Hansowi Frankowi.

Ale wojny jeszcze nie ma i Jerzy Mieczysław Rytard może opisywać podtatrzańskie kontrasty:

> Europeizuje się Zakopane. Dla jednych sto razy za wolno, dla drugich tyleż razy za szybko. Piętno sprzeczności wyryte na jego dniu dzisiejszym. Lecz dopóty przecież trwa życie, dopóki przeznaczenie podrzuca nami w wielkiej sieci kontrastów. Sprzecznościami żyje Zakopane. Lecz tu, w tym środowisku współczesności zmieszanej z prymitywem, są one znacznie silniejsze niż gdzie indziej. Tutaj właśnie przyjeżdżają ludzie rzucać tysiącami dla bezmyślnej uciechy, a o miedzę dalej gazda chudobny zbiera drogocenne źdźbła potrawu. Z dziesięć ich furek potrzeba, żeby postawić za nie jedną butelkę szampana, którą

w „ocymgnieniu” pochłoną rozwrzeszczane gardła. Na tysiącach leżaków suchotnicze ciała oczekują radosnego powrotu sił lub odejścia w śmierć, a przed ich oczami, tuż obok, drogą, ulicą, polem śmiga falanga tętniących życiem narciarzy. Sunie po Krupówkach stuprocentowy elegant, w którego ruchach śpiewa skubizowana w prostotę brył i linii współczesność cała, a obok na ławce grzeje w słońcu swe „członki”, wyschnięte i pokurczone jak „chraść”, jeden z nielicznych już hyrnych gazdów, starych chłopów, „polowacy”, orłów tatrzańskich. Spoziera po sobie mglistym ze starości wzrokiem i przysłaniając drżącą ręką wyblakłe oczy, pyta sam siebie: – Ka ja się podział?

Po wojnie wszystko się zmienia – opowiadał Maciej Krupa:

Dawne pensjonaty, często pożydowskie, znacjonalizowane, w większości wchodzą w skład FWP, Funduszu Wczasów Pracowniczych. Starzy zakopiańscy przewodnicy, obserwując styl wypoczynku nowych robotniczo-chłopskich elit, rozwijali ten skrót w formie: „Frajerze Wypoczniesz Później”. Notabene w latach 50. i 60. na bazie domów wczasowych FWP działała w Zakopanem nieformalna organizacja miejscowych kawalerów, legitymująca się skrótem WOP – czyli „Wakacyjna Obsługa Pań”.

Tworzyła się nowa rzeczywistość, o Goralenvolku nikt już nie chciał tu pamiętać.

*

Wojna zdecydowała o dalszych losach uczestników zakopiańskich mistrzostw z lutego 1939 roku.

Stanisław Marusarz chodził z konspiracyjnymi materiałami przez góry jako tatrzański kurier. Został schwytany przez słowacką straż graniczną i przekazany Niemcom, uciekł z więzienia w Krakowie. Zmarł w 1993 roku na pogrzebie swojego kolegi, przełożonego z konspiracji i organizatora tatrzańskich kurierów – Wacława Felczaka. Dzisiaj jego imię nosi zakopiańska skocznia na Wielkiej Krokwi.

Kurierem tatrzańskim był Bronisław Czech. Aresztowany przez Niemców zmarł w Auschwitz w 1944 roku.

Młodsza siostra Stanisława Helena również działała w konspiracji. Została rozstrzelana przez hitlerowców w 1941 roku w wieku dwudziestu trzech lat. Od 1946 roku jest rozgrywany w Zakopanem Memoriał Bronisława Czecha i Heleny Marusarzówny.

Wojnę przeżyli Jan Kula i Marian Woyna-Orlewicz. Kula walczył na froncie zachodnim. Później startował na igrzyskach w Sankt Moritz w 1948 roku. Zmarł w 1995 roku. Woyna-Orlewicz należał do ruchu oporu. Po wojnie był trenerem i sędzią narciarskim. Zmarł w 2011 roku.

Aleksander Bobkowski w 1939 roku ewakuował się z rządem i osiadł w Szwajcarii. Zmarł w 1966 roku w Genewie.

Nikolai Ramm Østgaard podczas inwazji niemieckiej pomagał norweskiej rodzinie królewskiej w ewakuacji do Wielkiej Brytanii. Prezydentem FIS był do 1951 roku. Zmarł w 1958 roku.

Lars Bergendahl w specjalnej jednostce narciarskiej walczył przeciwko Niemcom w kampanii norweskiej w 1940 roku. Zmarł w 1997 roku.

Josef Bradl służył w niemieckiej armii. W 1953 roku został pierwszym zwycięzcą Turnieju Czterech Skoczni. Zmarł w 1982 roku.

Christl Cranz po wojnie została oskarżona o współpracę z nazistami i trafiła do obozu pracy. Po odzyskaniu wolności założyła szkołę narciarską. Zmarła w 2004 roku.

*

Już wiemy, że niemieccy etnografowie w podhalańskich góralach widzieli potomków Gotów. Hitlerowscy żołnierze byli o tym przekonani, gdy wkraczając w 1939 roku do Zakopanego, dostrzegli tu i ówdzie, między innymi na głównym gmachu Muzeum Tatrzańskiego przy Krupówkach, pięknie wyryte swastyki. Od członków Goralenvolku usłyszeli, że hakenkreuz to stara podhalańska tradycja. To akurat była prawda.

Skąd się wzięła swastyka na Podhalu na początku XX wieku? Zofia i Witold Paryscy tak napisali o swastyce w *Wielkiej Encyklopedii Tatrzańskiej*:

> Jako znak niewątpliwie symboliczny (magiczny?) krzyżyk pojawia się od dawna na Podhalu jako tzw. krzyżyk niespodziany, w nierzucających się w oczy miejscach danego przedmiotu (od spodu, od tyłu) […]. Według starych górali krzyżyk niespodziany (zwykle w postaci prostych lub bardziej ozdobnych nacięć w drewnie), umieszczony w niepokaźnym miejscu, chroni od złego budynek lub sprzęt i jego właściciela. […] Na przełomie XIX i XX w. […] swastykę zaczęto w ówczesnej literaturze coraz bardziej łączyć z góralszczyzną podhalańską. Ok. 1922 r. stała się oficjalną odznaką pułków podhalańskich gen. Andrzeja Galicy; w latach międzywojennych znalazła się też swastyka na pieczęci Zarządu Głównego Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego i jako ornament na balustradzie schodów w Murowańcu na Gąsienicowej Hali. Nieco wcześniej sam Witkiewicz dał wyryć swastykę nad wejściem do budynku Muzeum Tatrzańskiego […].

Już jako Goralenfürst właśnie pod takim szyldem chętnie pozował do zdjęć Wacław Krzeptowski.

Na Podhalu krzyżyk nazywano niespodzianym, bo pierwotnie umieszczano znak gdzieś w ukryciu, tak że jego odkrycie zaskakiwało. Przetrwał pod Tatrami w swej

starożytnej roli talizmanu – by płoszyć zło chcące się zagnieździć w chałupie. Etnografowie nie do końca wiedzą, skąd krzyżyk wziął się na Podhalu. Może przywędrował jeszcze w okresie osadnictwa wołoskiego? Z czasem zaczął się pojawiać w bardziej widocznych ornamentach. Wtedy nikt na Podhalu nie spodziewał się, jakiego znaczenia nabierze hakenkreuz po 1939 roku i jak zostanie wykorzystany przez hitlerowców.

Pod niemieckim panowaniem swastyka w polskich górach nie kojarzyła się już z niczym dobrym. Nie wierzono, że uchroni od złego. Prędzej sprowadzi nieszczęście.

W 1941 roku hitlerowcy na charakterystycznej strzelistej ścianie Mnicha w Tatrach umocowali ogromną drewnianą swastykę. Tak, by dobrze ją było widać znad Morskiego Oka. Długo nie powisiała. Polscy taternicy nocą poluzowali umocnienia. Przy pierwszym porządniejszym halnym nazistowski symbol oberwał się z hukiem.

Swastyka od ponad wieku jest dobrze widoczna w innym rejonie polskich gór.

Do dzisiaj turystom idącym tatrzańskim szlakiem przez Dolinę Gąsienicową w stronę Czarnego Stawu Gąsienicowego, skąd można się wspiąć na Orlą Perć, rzuca się w oczy wyraźny znak swastyki wyryty na sporym głazie upamiętniającym śmierć Mieczysława Karłowicza.

Karłowicz był wybitnym kompozytorem, taternikiem, narciarzem, fotografem. Zginął 8 lutego 1909 roku w lawinie, podczas samotnej wycieczki narciarskiej na zboczach Małego Kościelca. Właśnie w tym miejscu postawiono później granitowy głaz zwany Kamieniem Karłowicza, a na nim wyryto napis: „*Non omnis moriar*” i swastykę.

Dlaczego akurat swastykę? Bo był to ulubiony symbol kompozytora. Na początku XX wieku podczas wędrówek po Tatrach często znaczył nowe szlaki, malując na skałach właśnie niewielkie swastyki.

Dzisiaj w Tatrach można spotkać turystów wykazujących się kompletną ignorancją, uważających, że Karłowicz popierał Goralenvolk.

[^] Goralenfürst Wacław Krzeptowski na tle gmachu głównego Muzeum Tatrzańskiego

– Nieraz, przechodząc szlakiem w pobliżu Kamienia Karłowicza, słyszeliśmy od przygodnych turystów komentarze w stylu: „Patrzcie, tu zginął jakiś nazista, bo swastykę mu wyryli na grobie” albo: „Czy ten Karłowicz to był jakiś hitlerowiec?” – opowiadał nam Aleksander Woronicki, pianista, założyciel Stowarzyszenia imienia Paderewskiego w Paryżu.

– Na własne uszy słyszeliśmy, jak niektórzy przewodnicy tatrzańscy nie potrafili wyjaśnić turystom pochodzenia znaku swastyki na Kamieniu Karłowicza. Może woleli nic nie mówić o swastyce? A przecież minęło tyle lat od II wojny światowej, że wyjaśnienie symboliki znaku swastyki nie powinno w Polsce budzić już takich emocji – stwierdziła z kolei Nina Woronicka, żona Aleksandra, filolog języka francuskiego.

Woroniccy zauważyli też, że w czasach PRL-u autorzy książkowych przewodników mieli problem z objaśnieniem znaku na Kamieniu Karłowicza. W przewodniku *Tatry Polskie* autorstwa Józefa Nyki (Wydawnictwo Sport i Turystyka, Warszawa 1973) napisano: „Znak rodła u dołu pomnika był jego ulubionym symbolem”. Cenzorom nie mieściło się w głowie, że ktoś mógł lubić symbol swastyki, choćby nawet na długo przed powstaniem III Rzeszy. Dlatego podali, że znak Karłowicza to rodło – symbol stylizowanego biegu rzeki Wisły z zaznaczonym Krakowem jako kolebką polskiej kultury.

Tyle że rodło zostało zaprojektowane w 1933 roku w Niemczech przez tamtejszy Związek Polaków, po dojściu Hitlera do władzy. Gdy swastyka stała się niemieckim godłem państwowym, miały jej używać wszystkie organizacje i instytucje. Związkowi Polaków w Niemczech zakazano posługiwania się znakiem białego orła i polecono wprowadzić hakenkreuz. Wtedy polscy działacze zaprojektowali znak przypominający hitlerowski symbol, ale odnoszący się do polskości. W ten sposób rodłem oszukali hitlerowską administrację.

Władzom PRL-u taki znak bardziej pasował do Karłowicza.

Woroniccy postanowili zainteresować sprawą polskich muzyków, by bronić czci Mieczysława Karłowicza.

– Chcielibyśmy postawić w Tatrach tablicę informującą o pochodzeniu tego znaku, przywrócić jego dawne podhalańskie znaczenie. Niemówienie o tym, że swastyka była przed wojną na Podhalu odbierana jako pozytywny znak, to zniekształcanie rzeczywistości – uważa Jacek Wiktor Ajdinović, prezes Stowarzyszenia Artystów Polskich.

Ale jego inicjatywa spotkała się z mocnym sprzeciwem. Górale nie są skorzy do przywracania tego ornamentu. Boją się, że przez to znów zacznie się im wypominać Goralenvolk.

– Moja rodzina od lat zajmowała się na Podhalu wytwarzaniem ozdobnych okuć. Prawda, że motyw krzyżyka niespodzianego pojawiał się w tatrzańskiej symbolice. Ale ja bym dzisiaj nie próbował na siłę przywracać dawnego znaczenia tego znaku na Podhalu – powiedział nam w 2009 roku Andrzej Gąsienica-Makowski, wtedy starosta tatrzański, któremu nie podobał się pomysł artystów. – Bo wiadomo, że po doświadczeniu hitleryzmu swastyka z niczym dobrym już się w Polsce nie może kojarzyć. Gdybyśmy chcieli dzisiaj przywoływać ten znak w zdobnictwie Podhala, to jestem pewien, że od razu pojawiłyby się skojarzenia z III Rzeszą, z akcją Goralenvolk. Lepiej zostawić swastykę w spokoju. Mamy na Podhalu wiele innych piękniejszych ornamentów. A krzyżyk niespodziany po wojnie już prawie całkowicie znikł z Podhala i nikt tu za nim nie tęskni – zapewniał.

– Na Podhalu każdy wie, że znak na Kamieniu Karłowicza nie ma nic wspólnego z faszyzmem – argumentował Zbigniew Krzan, wicedyrektor Tatrzańskiego Parku Narodowego. – Ignorancja nie jest dostatecznym powodem dla postawienia tablicy poświęconej temu symbolowi. Poza tym w Parku Narodowym staramy się stawiać jak najmniej jakichkolwiek tablic.

Wątpliwości miał też Dariusz Libionka, historyk specjalizujący się w badaniach nad zagładą Żydów i w historii Polski XX wieku.

– Wydaje mi się wiedzą powszechną to, że w żaden sposób nie da się połączyć kompozytora Mieczysława Karłowicza z ideologią faszystowskich Niemiec. Jeśli jednak ignorancja w polskim społeczeństwie jest aż tak wielka, jak twierdzą artyści, to należałoby poważnie zastanowić się, co dokładnie umieścić na takiej tablicy, by podkreślić, jak symbolika swastyki jest odbierana po doświadczeniach nazizmu – mówił Libionka.

Dla profesora Władysława Bartoszewskiego – więźnia Auschwitz, żołnierza Armii Krajowej, działacza Polskiego Państwa Podziemnego, uczestnika powstania warszawskiego – symbolika swastyki od czasów Hitlera była jednoznaczna.

– Znak swastyki jest związany z zagładą ludzi zamordowanych przez hitlerowców. To wciąż straszny symbol dla osób, które przeżyły II wojnę światową, i dla sierot po ofiarach nazizmu. Należy uszanować ich uczucia. Wiem, że swastyki nie wymyślili hitlerowcy i że ten symbol od wieków jest powszechny choćby w Indiach. Ale żyjemy w Polsce i mamy takie, a nie inne doświadczenia historyczne. Dlatego byłbym bardzo

ostrożny w przywracaniu tego znaku w przestrzeni publicznej, bo to może różnym ludziom mieszać w głowach. Moim zdaniem pamięć o nazistowskich zbrodniach, których swastyka była symbolem, jest jeszcze w Polsce zbyt świeża. Może za jakieś dwieście lat te emocje nie będą już tak silne i wtedy w Polsce będzie można przywracać symbolowi swastyki jego pierwotne znaczenie – oceniał profesor Bartoszewski w 2009 roku.

[^] Odznaka krzyżyka niespodzianego z chorągwi Pułku Strzelców Podhalańskich

Ostatecznie Nina i Aleksander Woroniccy ufundowali tablicę wyjaśniającą symbolikę Kamienia Karłowicza z krzyżykiem niespodzianym, którą latem 2011 roku odsłonięto w schronisku Murowaniec na Hali Gąsienicowej. Tu akurat nie było to nic nowego, bo takim ornamentem przyozdobiono wcześniej balustradę na klatce schodowej schroniska.

Meine lieben Kameraden

Jeszcze kampania wrześniowa nie skończyła się na dobre, a już zakopiański rezydent Abwehry Witalis Wieder organizuje góralską pielgrzymkę na Jasną Górę. Jadą tam w połowie października 1939 roku między innymi Wacław Krzeptowski i Józef Cukier – za darmo, specjalnie podstawionym przez Niemców pociągiem, w strojach ludowych, by zobaczyć, że jasnogórski klasztor nie ucierpiał w wyniku wojny, a Niemcy troszczą się o sanktuarium. Niemieckie gazety pełne są zdjęć górali modlących się przed wizerunkiem Czarnej Madonny. Na Jasnej Górze towarzyszą im Niemcy. Taki wyjazd integracyjny na potrzeby hitlerowskiej propagandy.

Henryk Jost – zakopiański inżynier, który z pasji badał dzieje regionu – wspominał w rozmowie z nami, jak Podhale cieszyło się, że wojna nie skrzywdziła Jasnogórskiej Panienki.

Mija kilka dni, a Wieder organizuje w Zakopanem spotkanie góralskiej elity z przedstawicielami władz niemieckich i wojska. Są okolicznościowe przemówienia, lecz za rzucone publicznie słowa: „Wacuś za wcześnie stawia Niemcom herbatę i wódkę” kilku uczestników zebrania trafia na gestapo. Co się z nimi dalej dzieje – nie wiadomo.

Mija kilka tygodni i niemiecki komisarz Zakopanego Hans Malsfey zaprasza przedstawicieli „narodu góralskiego” na Wawel. 7 listopada 1939 roku, w dniu oficjalnej inauguracji urzędowania generalnego gubernatora Hansa Franka i dzień po akcji aresztowania i wywiezienia do obozu koncentracyjnego profesorów Uniwersytetu Jagiellońskiego, delegacja Goralenvolku – Wacław Krzeptowski, jego kuzynka Karolina Roj, Stefan Krzeptowski, Józef Cukier, Maria Siuty-Szwab – ubrana paradnie w stroje ludowe, ofiarowuje Frankowi złotą podhalańską ciupagę i składa deklarację: jesteśmy gotowi do współpracy. Relacje z hołdu obiegają prasę całej Europy, czytają o nich w Niemczech, we Francji i w Anglii.

[^] Przewodniczący Komitetu Góralskiego Wacław Krzeptowski (z lewej) wita gubernatora Hansa Franka po przybyciu do Zakopanego

„Krakauer Zeitung” odnotowuje:

> W związku z podjęciem swego urzędu generalny gubernator pozdrawia na zamku w Krakowie również delegację górali, grupy narodowościowej zamieszkującej okolice Zakopanego, która podobnie jak inne mniejszości państwa polskiego była uciskana przez władców z Warszawy.

Zamieszcza też zdjęcie, na którym fotograf uwiecznił uścisk dłoni zadowolonego Krzeptowskiego i Hansa Franka.

Siedzący w obozie koncentracyjnym w Stutthof krewny Krzeptowskich Włodzimierz Wnuk opowiadał po wojnie, że zobaczył fotografię Wacława prężącego się przed gubernatorem Frankiem na jakimś wymiętym skrawku niemieckiej gazety. Nie umiał znaleźć słów, by opisać swoją wściekłość i upokorzenie.

Henryka Szatkowskiego na Wawelu nie było. Pewnie dlatego, że nie był góralem. A to delegacja górali składała hołd hitlerowskiej władzy.

Pięć dni później Hans Frank rewizytuje Zakopane. Przy świerkowej bramie na ulicy Kościuszki, przemianowanej na Bahnhofstrasse, czeka na niego „góralski książę”

w otoczeniu swojej świty. Uściski rąk, pamiątkowe zdjęcia; Krzeptowski nie mówi po niemiecku, od tego jest Henryk Szatkowski.

W piwnicach willi Palace gestapo torturuje pierwszych aresztowanych. W Dolinie Chochołowskiej obeschła już krew po pierwszych rozstrzelanych, przestały dymić spalone przez Niemców chałupy. Przez góry idą pierwsi kurierzy. Niebawem zawiąże się Konfederacja Tatrzańska – liczący około czterystu członków podhalański ruch oporu, związany ideowo z przedwojennymi ludowcami. Jej przywódca Augustyn Suski napisze: „honor nakazuje, by Goralenvolk został zdławiony przez samych Podhalan". Powstają też pierwsze komórki Związku Walki Zbrojnej.

Tymczasem pod FIS-owską świerkową bramą Wacław Krzeptowski mówi do gubernatora Hansa Franka: „*Meine lieben Kameraden*, dwadzieścia lat jęczeliśmy pod polskim panowaniem, a teraz wracamy pod skrzydła wielkiego narodu niemieckiego".

„Goniec Krakowski" w artykule zatytułowanym *Gubernator generalny dr Frank w Zakopanem* donosi:

> Gubernator generalny odwiedził Zakopane. Na powitanie przybyła między innymi delegacja górali. Jeden z nich zapewnił gubernatora, że górale są zadowoleni z obecnego stanu, i opisał cierpienia, jakie musieli znosić dawniej. Gubernator podziękował im za oświadczenie lojalności i zapewnił, że rząd Rzeszy Niemieckiej zawsze dbał o dobro swoich mniejszości. Mówił on, że skończyły się prześladowania górali. Delegacja wręczyła gubernatorowi odznakę honorową górali. Została ona wykonana ręcznie i przedstawia wielką wartość artystyczną.

Obserwujący to wszystko dyrektor Muzeum Tatrzańskiego Juliusz Zborowski jest przekonany, że Goralenvolk to starannie zaplanowana akcja, uknuta na długo przed kampanią wrześniową:

> Fakty świadczą, że koncepcja „góralskiej narodowości" powstała już przed wybuchem wojny, że już w ostatnich tygodniach przed inwazją starano się przygotowywać podatne podłoże dla tej koncepcji wśród zakopiańskiej góralszczyzny. Na parę dni przed najazdem Stanisław Sobczak „Johym", zakopiański rzeźbiarz i ceramik, bardzo zdeprymowany powtórzył mi niedawną rozmowę z Andrzejem Krzeptowskim z ulicy Kościeliskiej. Jak się wkrótce okazało, ten Krzeptowski po inwazji wystąpił w roli jednego z „Führerów" Goralenvolku. Ze wszystkich wodzów był on najsprytniejszy i najinteligentniejszy. Rozmówca Sobczaka ostrożnie i całkiem widocznie, nie ujawniając wszystkiego, co miał na myśli, zaczął utyskiwać i ubolewać, że Polska musi przegrać wobec niemieckiej potęgi, że Hitler zajmie cały kraj, który raz na zawsze pozostanie w niemieckich rękach, polska ludność będzie narażona na groźne następstwa, dlatego górale muszą myśleć o sobie, muszą pogodzić się ze zwycięzcą i żyć pod jego opieką. Sobczak był tak wstrząśnięty i zaskoczony tą wypowiedzią, że tylko wspomniał o zwycięstwie polskiej armii, wstydząc

się, że inteligent góral wystąpił z takim wywodem; dopiero po kilku dniach powtórzył mi treść rozmowy, która zawierała niemal program przyszłego Goralenvolku, program jakby autonomicznego tworu pod niemieckim protektoratem. Było oczywiste, że działa w Zakopanem zakonspirowana niemiecka agitacja.

*

Zakopane jest już miastem zamkniętym, wielkim lazaretem i centrum sportów zimowych, uzdrowiskiem i sanatorium dla niemieckich żołnierzy. Na Wielkiej Krokwi odbywają się zawody, Hans Frank pobiera prywatne lekcje narciarstwa na oślej łączce na Kalatówkach. Powstają niemieckie przewodniki po tatrzańskich szlakach, Niemcy mówią, że w Dolinie Kościeliskiej jest *märchenhaft* – bajecznie, a Tatry to *Skiparadies* – raj dla narciarzy. Dobrze zapamiętają to miejsce na długie lata.

Klaudia Tasz, przewodniczka tatrzańska, instruktorka narciarstwa, mistrzyni Polski i zdobywczyni Pucharu Polski w skialpinizmie, opowiedziała nam, co się mówiło u niej w domu na ten temat:

– W 1943 roku Niemcy panoszyli się w Zakopanem na całego. Mieli sentyment do drewnianych domów z płazów, więc ten należący do moich rodziców był w tym czasie chętnie przez nich wykorzystywany na kwatery. Moja mama miała wtedy dwa lata. Pewnego zimowego dnia spotkała się na balkonie przed wejściem z ośmio-, może dziewięcioletnim Niemcem, który w przypływie uczuć narodowościowych, a może tak dla hecy, podniósł mamę i wyrzucił ją przez barierkę. Spadła na twarz z wysokości pierwszego piętra, jakimś cudem tylko rozcinając sobie brodę. Do dziś ma w tym miejscu wyraźną bliznę. Historia ta, jak cała wojna, nie odstawałaby treścią i klimatem od innych zdarzeń tego okresu, gdyby nie pointa, którą niespodziewanie dopisała mi moja przewodnicka aktywność. W lecie 2011 roku pracowałam w Tatrach z grupą Niemców. Byli to ludzie w sędziwym wieku. Zajeżdżamy pod skocznię narciarską, a jeden z panów wyciąga nagle mocno przez czas nadwerężone zdjęcia. Są dokładnie z zimy 1943 roku. Widać na nich oryginalną kolejkę na Kasprowy Wierch, kopułę szczytową Kasprowego, skocznię narciarską wyzdajaną we flagi z faszystowską swastyką… Zapaliłam się do rozmowy, ale szybko ugięły się pode mną kolana. Mój turystyczny klient był w Zakopanem w 1943 roku „na wakacjach ze swoimi rodzicami”. Miał… dziewięć lat, gdy jego tata robił wspomniane zdjęcia, a mieszkali w „drewnianej willi za lasem, w rejonie Doliny Białego”! Zawrzało we mnie. Moje studia ekonomiczne nie pomogły mi w intensywnym obliczaniu prawdopodobieństwa, że więcej niemieckich dziewięciolatków mogłoby przecież w 1943 roku spędzać „wakacje” w rejonie, gdzie moi rodzice mają dom. Patrzyłam na nobliwie

wyglądającego drobnego staruszka i mówiłam sobie: „To nie może być ten facet!”. Czy był – nie chcę nawet wiedzieć, ale na pewno nigdy nie zapomnę, jak patrzył na naszą Wielką Krokiew. Był niezwykle wzruszony, co przeszywało mnie na wskroś. Z konsternacją obserwowałam, jak walczy z rozedrganymi wspomnieniami. Wiedział, że więcej do Zakopanego nie przyjedzie, i było to jego pożegnanie z tym miejscem. Ucięłam tę chwilę stwierdzeniem, że plan wycieczki nakazuje nam wsiadać już do autokaru. Na koniec dnia archiwalne zdjęcia stały się moją własnością. To najbardziej oryginalny i kontrowersyjny „prezent”, jaki kiedykolwiek dostałam. Obiecał mi dosłać pozostałe zdjęcia, które miał w domu, ale tej przesyłki nigdy nie otrzymałam.

*

Hitlerowcy czuli się tu za okupacji tak dobrze, że już w grudniu 1939 roku zaprosili do Zakopanego na rozmowy funkcjonariuszy sowieckiego NKWD. Do dzisiaj historykom nie udało się do końca wyjaśnić, o czym debatowali pod Tatrami. Czy to może tutaj zrodził się zamysł mordu polskich elit, między innymi w Katyniu? To ciągle bardzo słabo znany wątek historii II wojny światowej. W każdym razie 7 grudnia 1939 roku do okupowanego Zakopanego zjechały delegacje III Rzeszy i Związku Radzieckiego. Była to tak zwana komisja delimitacyjna, która miała ustalić szczegółowe granice pomiędzy zajętymi przez okupantów terenami Polski. Podtatrzański kurort został przystrojony hitlerowskimi i sowieckimi flagami. Część oficjalną konferencji – która odbyła się na Gubałówce i Kalatówkach – relacjonowały niemieckie gazety, a także hitlerowska kronika filmowa, dlatego zachowały się zdjęcia z tego wydarzenia. Spotkanie opisał także Henryk Jost w swojej książce *Zakopane czasu okupacji*. Jost wspomina w niej również o dwóch kolejnych tajnych spotkaniach Niemców i Rosjan w Zakopanem, które miały się odbyć wiosną 1940 roku, między innymi w budynku dzisiejszego pensjonatu Pan Tadeusz, znajdującego się u wylotu Doliny Białego.

W grudniu 1939 roku delegacji radzieckiej przewodził wysoki rangą urzędnik do spraw przesiedleń o nazwisku Litwinow. Polskim historykom nie udało się do dzisiaj ustalić jego imienia, nie wiadomo także, czy był spokrewniony z Maksimem Litwinowem, komisarzem spraw zagranicznych ZSRR. Niemcom przewodził Otto von Wächter, gubernator dystryktu krakowskiego, nieformalnie zastępca generalnego gubernatora Hansa Franka. Von Wächter często bywał na Podhalu, w towarzystwie górali poznawał region, razem z Wacławem Krzeptowskim spływał nawet przełomem Dunajca na tradycyjnych drewnianych tratwach flisackich.

Członkami delegacji niemieckiej byli także funkcjonariusze gestapo, a sowieckiej między innymi Iwan Maslennikow, zastępca szefa NKWD Ławrientija Berii. Udział

w spotkaniu tak wysokiego rangą funkcjonariusza NKWD zastanawia polskich historyków. Zwracają uwagę, że niedługo po zakopiańskim spotkaniu – wiosną 1940 roku – Niemcy rozpoczęli realizację Akcji AB, podczas której zgładzili tysiące wybitnych przedstawicieli polskiej inteligencji. 5 marca 1940 roku Józef Stalin podpisał rozkaz rozstrzelania polskich oficerów w Katyniu.

Sprawę starał się wyjaśnić Andrzej Przewoźnik, były sekretarz generalny Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa, który zginął 10 kwietnia 2010 roku w Smoleńsku w katastrofie samolotu z prezydentem Lechem Kaczyńskim na pokładzie, lecącego na uroczystości siedemdziesiątej rocznicy mordu katyńskiego.

– Chcielibyśmy dowiedzieć się, w jakim celu spotykali się funkcjonariusze NKWD i gestapo. Czy te kontakty mogły mieć jakiś wpływ na podjęte wkrótce potem przez oba totalitarne reżimy decyzje o mordach polskiej inteligencji. Pojawiają się nawet przypuszczenia, że w Zakopanem mógł zrodzić się zamysł likwidacji polskich elit, co dokonało się później między innymi w Katyniu – opowiadał nam Andrzej Przewoźnik ledwie tydzień przed katastrofą smoleńską.

W ciągu dwóch miesięcy zamierzał wtedy przygotować konferencję naukową poświęconą zakopiańskim spotkaniom. Tragiczna śmierć przerwała te plany.

[^] Podejmowana przez Niemców w Zakopanem radziecka delegacja d/s przesiedlenia. Widoczni m.in.: Ludwig Fischer (piąty z prawej w pierwszym rzędzie), Litwinow (czwarty z prawej w pierwszym rzędzie) i Otto von Wächter (trzeci z prawej w pierwszym rzędzie)

– Z dostępnych dokumentów wiemy z całą pewnością o jednej zakopiańskiej konferencji, której uczestnikami byli funkcjonariusze NKWD i gestapo. Czy były dwie kolejne, jak mówi się na Podhalu, tego na razie nie udało się udowodnić. Nie wiemy też, o czym rozmawiali Niemcy i Rosjanie w Zakopanem. To wszystko należałoby dokładnie wyjaśnić – uważa Stanisław M. Jankowski, członek Niezależnego Komitetu Historycznego Badania Zbrodni Katyńskiej, który był konsultantem historycznym filmu *Katyń* Andrzeja Wajdy. – Czy na tym spotkaniu lub spotkaniach omawiano kwestie dotyczące eksterminacji inteligencji polskiej w obu częściach okupowanego kraju? Oczywiście mogło tak być, ale na to nie mamy żadnych dowodów. Żeby wyjaśnić tajemnicę kontaktów Rosjan z Niemcami w Zakopanem, trzeba szukać materiałów w moskiewskich archiwach. Może także Niemcy nie znaleźli wszystkich swoich dokumentów dotyczących tych kontaktów, bo mogli je wywieźć zaraz po wyzwoleniu Amerykanie do swoich archiwów w Waszyngtonie.

Leszek Moczulski – także badający historię II wojny światowej – twierdzi, że w Zakopanem mogło dojść do omówienia działań gestapo i NKWD:

– Funkcjonariusze III Rzeszy i Związku Radzieckiego zapewne chcieli zadać Polakom takie ciosy, po których naszemu narodowi trudno byłoby się już odrodzić. Skoro w Zakopanem na początku wojny spotykały się gestapo i NKWD, to mogły tam toczyć się takie rozmowy. Ale bardziej w sferze ogólnych rozwiązań, filozofii postępowania z polską inteligencją. Bo o konkretnych działaniach decydowały najwyższe władze. Tak jak Józef Stalin w sprawie Katynia. Sprawa zakopiańskich spotkań jest prawie zupełnie nieznana. Najwyższy czas, by polscy historycy zajęli się tym tematem. Trzeba do końca wyjaśnić rolę współpracy gestapo z NKWD na terenie Polski w pierwszych miesiącach wojny.

*

Wacław Krzeptowski ustawia się do fotografii, wita niemieckich gości, przemawia, organizuje wiece po podhalańskich wsiach. A Henryk Szatkowski pisze:

> Dnia 12 listopada 1939 r. polecił Pan Generalny Gubernator, Minister Dr Frank, abyśmy przedstawili prośby i potrzeby ludności góralskiej Podhala. Stosując się do tego polecenia […], pozwalamy sobie złożyć je na ręce Pana Generalnego Gubernatora z prośbą o przychylne i łaskawe potraktowanie […]. Najpierwszym i najważniejszym dla nas życzeniem jest, abyśmy mogli stale i trwale pielęgnować naszą odrębność narodową […]. Pozwalamy sobie zwrócić uwagę, że pojęcie „ludności góralskiej” nie jest pojęciem prawnie ustalonym. Ponieważ w dzisiejszych czasach sami zauważyliśmy, że zdarzają się wypadki, że niektórzy ludzie przyznają się do góralszczyzny, wcale dotychczas z nią nic

nie mając wspólnego, prawdopodobnie dla osiągnięcia różnych korzyści, prosimy, ażeby w wypadkach, w których dla władz nie jest jasnym, czy dana osoba do ludności góralskiej należy, władze zwracały się do naszego Związku [Związku Górali], przy czym jesteśmy w każdym razie w stanie dać wyjaśnienie z odpowiednim uzasadnieniem. Przy objęciu władzy przez Państwo Niemieckie doszło w naszym kraju do przewrotu gospodarczego. Skutecznie został wyłączony element żydowski, ciążący od szeregu lat kamieniem na możliwościach rozwoju ludności miejscowej. W całym szeregu dziedzin życia gospodarczego została ludność wprost odsunięta. Gdy obecnie niesprawiedliwości te mają być wyrównane, prosimy, ażeby przy unarodowieniu handlu i przemysłu była brana pod uwagę ludność miejscowa, góralska.

W takim pisaniu nie przeszkadza Szatkowskiemu żydowskie pochodzenie jego babci – czym Niemcy mieli go szantażować na podstawie rodzinnych dokumentów. Nie przeszkadza mu też to, że jeszcze kilka miesięcy wcześniej w Zakopanem łączyła go dobra znajomość – niektórzy twierdzą, że była to nawet przyjaźń – z Józefem Oppenheimem, który mieszkał po sąsiedzku.

We wrześniu 1939 roku Henryk może liczyć, że retoryka antyżydowska nie tylko spodoba się hitlerowcom, ale i trafi przynajmniej do niektórych zakopiańczyków. Już na przełomie XIX i XX wieku, nabywając zakopiańskie dobra, hrabia Władysław Zamoyski – uważany przez endecję za wzór godny naśladowania – pisał:

Gdybym dziesięć lat temu nie przyszedł do Zakopanego, siedziałby na najwyższych w Polsce górach niemiecki żyd i stamtąd by na Polskę pluł. Może by Zakopane się stało małą Szczawnicą, galicyjską Jerozolimą. Zadłużyłem się po uszy, aby ten jedyny w kraju naszym zakątek z żydowskich szpon wydrzeć. Zapłaciłem tyle, że mnie najbliżsi waryiatem ogłosili. Wszystko zastałem w żydowskich łapach, fabryki, lasy, urzęda w powiecie, handlu, propinacji […]. Na poczcie siedział niemiec z żydem, którzy niemieckie tylko druki trzymali, po niemiecku tylko pisali, a łupili chłopów tak, że ich już dawno nie ma, a całe szeregi przekazów pieniężnych po nich niezapłaconych zostało […].

Ale na hrabiego Zamoyskiego – pamiętanego także w przyłączonej właśnie do III Rzeszy Wielkopolsce z wystąpień przeciw władzom niemieckim jeszcze za czasów zaboru pruskiego – twórcy Goralenvolku wolą się nie powoływać.

Liczą za to, że przedstawicielom Związku Górali uda się dogadać z nową władzą, tak jak się dogadywali za czasów austriackich, kiedy powoływali do życia organizację. Zwolennikiem takiej współpracy – o charakterze gospodarczym – jest Józef Cukier, przedwojenny wiceprezes Związku Górali i za okupacji członek władz Komitetu Góralskiego. Dobrze pamięta, że z Austriakami szło się porozumieć, ma więc nadzieję, że z Niemcami będzie podobnie. Podhalańskim działaczom nie przeszkadza, że na

mocy dekretu prezydenta Ignacego Mościckiego – który przed wojną osobiście podejmował Wacława Krzeptowskiego – działalność wszystkich organizacji, w tym Związku Górali, 1 września 1939 roku jest formalnie zawieszona. Krzeptowski i Cukier zwołują zebranie, by reaktywować organizację pod auspicjami władz niemieckich.

Henryk Walczak – przedwojenny prezes związku – jest temu przeciwny. Po wojnie, podczas procesu przywódców Goralenvolku, zezna:

> Do Zakopanego powróciłem 5 listopada 1939 roku po moim wyjeździe z niego jeszcze w sierpniu. W grudniu, tj. 12 grudnia 1939 roku, wznowiłem działalność Banku Podhalańskiego, gdzie pracowałem. Po powrocie dowiedziałem się, że jeszcze we wrześniu, kiedy w Zakopanem byli Słowacy, Cukier, Krzeptowski Wacław i Rajtarowie założyli Komitet dla zaopatrywania ludności w żywność. Gdy przyszli Niemcy, skasowali tę organizację.
>
> Ponadto dowiedziałem się, że grono osób z inicjatywy Wiedera zorganizowało zebranie zapoznawcze z Niemcami. Miał tam być Krzeptowski Wacław, Cukier i szereg innych osób. Czyn ten motywowali chęcią dobrego usposabiania Niemców przy dostarczaniu żywności dla ludności góralskiej. Z inicjatywą kontynuowania działalności wspomnianego Komitetu zgłosili się do Niemców w tej sprawie Wacław Krzeptowski, Cukier i inni, ale otrzymali odpowiedź, iż w tym celu musi powstać związek.
>
> Wobec tego z początkiem 1940 roku zostało zwołane zebranie organizacyjne, przy czym w wezwaniach na to zebranie było podkreślone, że nieobecność będzie świadczyć o wrogim ustosunkowaniu do Niemców i będą z tego wyciągnięte konsekwencje. Przybyło około 40 osób i został utworzony związek Goralenverein (Związek Górali). Było to wbrew statutowi [przedwojennego] Związku Górali. Walne zebranie bowiem winno być rozplakatowane na 8 dni przedtem. Członków było 200, a przyszło 38, a w tej liczbie nawet nie członkowie.
>
> Zarząd tego Związku ukonstytuował się w składzie: Prezes Wacław Krzeptowski, wiceprezes Józef Cukier oraz prawdopodobnie jako dalsi członkowie zarządu: Andrzej i Stefan Krzeptowscy. Celem tego Związku był rozdział żywności dla ludności góralskiej. Później wysunęli Niemcy koncepcję stworzenia związku gospodarczego i wtedy to w 1942 roku powstał Komitet Góralski.

List-memoriał Szatkowskiego publikują gadzinowe gazety. Jest paskudny, wiernopoddańczy. Ale Szatkowski prosi w nim gubernatora Hansa Franka także o to, by wydając zezwolenia budowlane, Niemcy zwracali szczególną uwagę na projekty domów, które powinny nawiązywać do regionalnego stylu. By rozwijali turystykę, przemysł artystyczny i góralskie szkolnictwo. By ochraniali wysokogórskie pasterstwo, zwiększyli dostawy zbóż siewnych, nawozów sztucznych i cukru, a nawet zwrócili konie zarekwirowane na potrzeby frontu. By wreszcie uwzględnili, że „Podhale nie jest

krajem, z którego można by oczekiwać możliwości wywozu jakichkolwiek produktów rolnych”.

> Pozwalamy sobie zwrócić uwagę – pisze Szatkowski – że lasy na Podhalu są bardzo zniszczone i zbyt gwałtowna eksploatacja może spowodować bardzo przykre skutki, widoczne już zresztą w niektórych częściach Tatr. Rozumiejąc, że zwiększenie eksploatacji lasów da nam również pewien zarobek, prosimy o zwrócenie uwagi, by lasy te, będące największym bogactwem naszej ziemi, nie uległy gwałtownemu zniszczeniu.

Na Podhalu dobrze pamiętano rabunkową gospodarkę Habsburgów za monarchii austro-węgierskiej. Cesarskie huty i kuźnie potrzebowały dużo drewna. Całe połacie karpackich lasów wycinano w pień.

*

Bo choć w Małopolsce – a szczególnie w Krakowie – panuje powszechne przekonanie, że za Galicji dobrze się żyło, nie była to ziemia obiecana polskich chłopów.

Martin Pollack – austriacki pisarz, który rozlicza się z czarnymi kartami historii swego narodu – uważa, że Austriacy traktowali te tereny jak półkolonię. W książce *Cesarz Ameryki. Wielka ucieczka z Galicji* opisuje, dlaczego niektórzy mieszkańcy zaboru austriackiego musieli stąd wyjechać. Często wbrew swej woli.

– My, Austriacy, za czasów Galicji tutejszych mieszkańców nie traktowaliśmy zbyt dobrze – uważa. I wylicza: – Organizowanie handlu żywym towarem, wywożenie młodych wiejskich dziewcząt do burdeli w Ameryce Północnej i Ameryce Południowej, emigracja zarobkowa za ocean z powodu panującej biedy, lichwa, ofiary obozu w Talerhof koło Grazu. Galicja miała także taką twarz. W Austrii bardzo mało mówi się na ten temat, a moim zdaniem trzeba o tym mówić głośno. Ważne, byśmy mówili o tym my, Austriacy, bo to jest nasza niechlubna historia.

Według Pollacka Austriacy ponoszą winę za zacofanie Galicji. Nie inwestowano tu w przemysł, co doprowadziło do ogromnej biedy, która zmuszała mieszkańców tych terenów do emigracji.

– Trudno zbierało mi się materiały na ten temat. Ci biedni mieszkańcy Galicji z tamtych czasów nie zostawili po sobie wielu śladów. Dużo wiadomo o zamożnych, na przykład hrabiach, którym żyło się nie najgorzej. Ale nie jest łatwo trafić na zapiski życia tych najbiedniejszych czy na ich zdjęcia. Dlatego tak ważne jest opisanie ich losów, by przedstawić także ciemną stronę tamtych czasów – stwierdza Martin Pollack.

Według niego chłopska Galicja końca XIX wieku to nędza, głód i beznadzieja. Proceder zabijania zwierząt, kiedy chłopi nie mieli czym ich wykarmić. Z zabijanych

wycieńczonych koni, owiec czy krów ściągano skóry, padlinę przeznaczano na nawóz. W zimie góry zamarzniętego mięsa leżały po polach, przyciągając watahy dzikich psów.

O „nędzy galicyjskiej” niby gdzieś słyszeliśmy na lekcjach historii, ale prędko ten obraz wyblakł we wspomnieniach kolejnych pokoleń. Pozytywny mit Galicji ciągle trwa. Ma to pewnie związek z tym, że sytuacja w zaborze austriackim była dla Polaków politycznie lepsza niż w zaborze pruskim czy rosyjskim. Polacy nie byli tak prześladowani, istniała galicyjska autonomia. Ale ten narodowy punkt widzenia przesłonił tragiczną rzeczywistość społeczną.

Z powodu nędzy wielu biednych mieszkańców Galicji – w tym wielu górali – chciało wyjechać. W większości wypadków emigracja im się powiodła i nawet ciężki żywot za oceanem był lepszy niż wegetacja w ojczyźnie. W Ameryce, nawet jeśli na początku warunki życia często nie różniły się wiele od tych w rodzinnej wsi, można było zarobić gotówkę. W Galicji było to trudne, tu pod koniec XIX wieku rządził handel wymienny. Decyzja o wyjeździe z Galicji okazywała się ostatecznie słuszna, zwłaszcza jeśli spojrzeć na nią z perspektywy drugiej albo trzeciej generacji. Widać to dobrze na Podhalu, na którym trudno dzisiaj znaleźć rodzinę bez wujka w Ameryce.

Działacze Goralenvolku naiwnie myśleli, że polityczne zasady współpracy z nowym najeźdźcą – znowu niemieckojęzycznym – będą takie jak za czasów Galicji. Mieli też nadzieję, że nie wróci wielka bieda, o której dobrze tu pamiętano.

*

Rok 1942. Już dwa lata upłynęły od zakopiańskiej wizyty szefa SS Heinricha Himmlera – witanego w Zakopanem przez Krzeptowskiego i Szatkowskiego.

Jest już po wymyślonym przez działaczy Goralenvolku spisie mieszkańców Podhala (na arkuszach spisowych pytanie: „Jesteś Niemcem, Góralem, Ukraińcem, Polakiem, Żydem, Cyganem?”). Działa szkoła góralska, w której językiem wykładowym jest podhalańska gwara (część nauczycieli opowiada dzieciom o historii Polski), a członkowie utworzonego góralskiego klubu sportowego startują w zawodach razem z członkami klubu funkcjonariuszy gestapo.

Wacek Krzeptowski ma jedyny w Zakopanem sklep tytoniowy, Andrzej Krzeptowski – wielki sklep z artykułami przemysłowymi, a Henryk Szatkowski – manufakturę produkującą dla niemieckich gości Zakopanego góralskie pamiątki, zresztą piękne i znakomitej jakości.

Wyroku śmierci wydanego na Krzeptowskiego i Szatkowskiego przez podziemny sąd po zawiązaniu Goralenvolku nie można wykonać. Niemcy zapowiedzieli, że

w odwecie rozstrzelają kilkuset znamienitych obywateli Zakopanego i przedstawicieli góralskich rodów. W mieście stacjonuje kilkanaście tysięcy żołnierzy, konspiracja jest prawie niemożliwa. Nie ma już Konfederacji Tatrzańskiej, zasypanej przez prowokatora. Tylko w Gorcach chodzą po lasach chłopcy od partyzanta „Ognia”. Tam prawie nikt nie popiera otwarcie Goralenvolku.

Przepadł bez śladu sojusz III Rzeszy i ZSRR. Czołgi niemieckie prą na wschód, na kronikach filmowych żołnierze kąpią się w rosyjskim śniegu, zwycięstwo goni zwycięstwo, wydaje się, że III Rzesza przetrwa więcej niż tysiąc lat. W Zakopanem powstaje Goralisches Komitee – Komitet Góralski, niby-rząd, niby-samorząd, z delegaturami w podhalańskich wsiach.

> W 57 roku panowania Jego Apostolskiego Majestatu Cesarza i Króla Franciszka Józefa I – pisano w akcie ustanawiającym Komitet – został utworzony Związek Górali. […] W 10 roku panowania Führera Adolfa Hitlera, zarządzeniem Gubernatora Dystryktu Krakowskiego SS-Brigadenführera, Dr. Wendlera i komisarza miasta Zakopane, SS-Sturmbannführera Klenerta, utworzono Komitet Góralski.

Treść aktu układa ponoć Henryk Szatkowski. Sam, już volksdeutsch podpisujący się Heinrich Schatkowski, nie jest członkiem Goralisches Komitee. Komitet wydaje niebieskie kenkarty z wielką literą „G” na pierwszej stronie. Władze liczą, że karty „G” przyjmie znakomita większość Podhalan.

Wacław Krzeptowski w liście do zakopiańskiego urzędu parafialnego pisze:

> Rząd Generalnej Guberni kazał wydrukować dla ludności powiatu Nowy Targ, Żywiec, częściowo Nowy Sącz, Limanowa, Myślenice kartę rozpoznawczą z literą „G”. Zgodnie z pismem okólnym i ustnym porozumieniem z Panem Starostą Powiatowym Malsfeyem podczas zebrania Komitetu Góralskiego z 12 sierpnia 1942 roku wszyscy górale i ludność urodzona w wymienionych powiatach muszą się zaopatrzyć w kartę rozpoznawczą góralską z literą „G”. Decydujący głos przy wystawianiu kart rozpoznawczych mają członkowie delegatur Komitetu Góralskiego, którzy kontrolują karty rozpoznawcze i ustalają pochodzenie góralskie. Urząd Gminy powinien pouczyć wszystkich sołtysów i urzędników gminnych o obowiązku podpisywania kart rozpoznawczych „G”. Jeżeli wójtowie, sołtysi i urzędnicy gminy przekroczą te zarządzenia, Komitet Góralski będzie się zwracał w tej sprawie do władz nadzorczych.

Krzeptowski do przydziału kart deleguje swoich zaufanych, którzy naciskają na mieszkańców Podhala, by brali góralskie papiery.

Już po okupacji Jan Pęksa, jeden z zakopiańskich mężów zaufania Komitetu Góralskiego, zeznał:

> Miałem sprawdzać autentyczność górali. Stosownie do tego zalecenia przychodziłem do tego biura przez kilka dni i na pytanie urzędnika stwierdzałem, czy dana osoba jest góralem, czy nie. Potem udałem chorego, w związku z czym Wacław Krzeptowski zwolnił mnie z tej funkcji. Za te czynności otrzymałem jakieś drobne wynagrodzenie w prowiantach […]. Nie jest prawdą, jakobym w związku z tą funkcją miał nie pozwalać któremuś z górali na wybranie polskiej karty rozpoznawczej, wprost przeciwnie, ułatwiałem wydawania polskich kart jak np. M. Galicy z Nowotarskiej. […] i ja złożyłem wniosek o wydanie polskiej karty rozpoznawczej wraz z moją córką, później jednak mi te kenkarty podarto i musiałem wziąć kenkartę góralską, gdyż obawiałem się represji i w razie sprzeciwu Wacław Krzeptowski groził aresztowaniem. Również i czynności „męża zaufania" przy wydawaniu kart pełniłem tylko z obawy przed Wacławem Krzeptowskim. Bojąc się, by nie spowodował mego lub moich synów aresztowania.

Za odmowę przyjęcia góralskiej karty można było dostać nakaz wywózki z Podhala. Karol Zając zeznał:

> Jędrzejczyk za to otrzymał wysiedlenie. Wobec tego proponowałem mu, żeby jednak wziął tę kartę. Wówczas wysiedlenie mu cofnięto. Było dużo opornych, ale tym grożono: „25 kilo do ręki i kij". Grozili Krzeptowski Wacław, Cukier oraz Andrzej i Stefan Krzeptowscy i Mracielnik.

Czasami bito. Miał słynąć z tego Stanisław Gąsienica-Mracielnik. Brał gazda polską kartę, Mracielnik walił w twarz. Aż przymusił do wzięcia góralskiej.

Były wsie, w których góralskie papiery wzięło raptem kilkunastu gazdów. Jak w Rogoźniku czy w Łopusznej. Tam – jak wspominał ksiądz Józef Tischner – kenkartę „G" przyjął dla niepoznaki gospodarz z chaty przytulonej do zbocza Turbacza, który przez całą wojnę ukrywał żydowską rodzinę. Ale były i takie miejscowości jak Szczawnica lub Ciche, gdzie do Goralenvolku przystąpiło więcej niż dziewięćdziesiąt procent mieszkańców.

Wstępowali, by ochronić się przed dodatkowymi kontyngentami (w praktyce kenkarta „G" przed niczym nie chroniła).

By móc kupować w góralskich sklepach albo jeździć po żywność poza Podhale.

By mieć wątłe alibi, gdy ktoś w rodzinie działał w ruchu oporu.

Dlatego, że szwagier nielegalnie ubił krowę (groziła za to kara śmierci) albo ojciec był w więzieniu lub trzeba było wyciągnąć brata ze stalagu.

Albo zwyczajnie – ze strachu.

Góralskie papiery brał mąż, a żona nie, bo raz plotka niosła, że do Niemiec będą wywozić górali, a raz – że Polaków. A tak, czy wywiozą Polaka, czy górala, i tak ktoś zostanie na ziemi. Brały dorosłe dzieci, lecz nie brali rodzice. Brali chłopi, których

pytano: kto ty jesteś, Góral, Żyd, a może Cygan? Brali wreszcie ci, którym podobał się Goralisches Komitee. Byli też tacy, którzy w ogóle nie przychodzili po okupacyjne papiery, tylko posługiwali się przedwojennymi polskimi dowodami osobistymi. Jeśli wiele nie podróżowali – zwłaszcza poza Podhale – mogli w ten sposób przeczekać całą wojnę.

Rodzice Mieczysława Gąsienicy-Samka przyjęli góralskie kenkarty.

– Na początku nie chcieli tego wziąć – opowiadał nam – ale potem chyba nie mieli wyjścia. W 1940 roku pracowałem w urzędzie meldunkowym jako pomocnicza siła biurowa, wysłano mnie w teren, bym przeprowadzał ankiety, przydzielono mi rejon Olczy, gdzie mieszkali sami górale, ani jednego cepra. Jeśli dobrze pamiętam, na formularzach, gdzie wpisywano narodowość, były rubryki: „Polak", „Niemiec", „Ukrainiec", „Góral". Trzeba było wybrać jedną z nich. Nikt z ludzi, z którymi rozmawiałem, nie zaznaczył, że jest tylko góralem. Powiadali do mnie: „Panie, piszcie »Polok« i »Górol«". Wróciłem do urzędu, kazano mi poskreślać „Polak", więc olczanie zostali tylko „Góralami". Kenkarta „G" nie dawała żadnych przywilejów, na przykład kartki żywnościowe były te same. Dobrze żyli ci z Komitetu Góralskiego. I ludzie, którzy mieli do nich dojście.

Stanisław Karpiel:

– Moi rodzice wzięli kenkarty „G". Gdzie indziej w Polsce uznano by ich za kolaborantów. Lecz w Zakopanem było inaczej. Przez nasz dom przechodzili kurierzy tatrzańscy, ukrywał się u nas Stanisław Marusarz, zakopiańska konspiracja miała do mojej rodziny całkowite zaufanie. Tak było też na Śląsku.

Karpiel uważa, że podobnie jak Niemcy przymuszali wielu mieszkańców Śląska czy Pomorza do służby w hitlerowskiej armii – czego nie można uznawać za zdradę – tak wielu góralom wciskali góralskie kenkarty. Według niego na Podhalu wszystko zależało od człowieka. Nie ma problemu z oceną przywództwa Komitetu Góralskiego, ale ze zwykłymi Podhalanami bywało różnie. Kenkarta „G" nie powodowała, że biorących ją ludzi spotykał społeczny ostracyzm. Przekonywano do ich przyjęcia metodą kija i marchewki.

W Kościelisku – sąsiadującej z Zakopanem rodzinnej wsi Wacława Krzeptowskiego – większość sprzeciwiała się przyjęciu góralskich papierów. W Poroninie tym, którzy wzięli kartę „G", obiecywano zwolnienie z obowiązkowego przekazywania mięsa Niemcom, w Białym Dunajcu dawano wódkę i mąkę. W Bukowinie Tatrzańskiej zaplombowano kilkadziesiąt chałup, które otwarto dopiero wówczas, gdy ich właściciele zapisali się jako górale.

Romuald Reichelt – rabczański mąż zaufania Komitetu Góralskiego, którego zeznania zachowały się w aktach IPN – widział wystąpienie Krzeptowskiego:

> […] mówił, że powołuje się na organizację góralską, że armia niemiecka zwycięża, że Niemcy nie potrzebują pomocy, gdyż sami sobie dadzą radę, dziękował Niemcom za wykończenie Żydów i zakończył mowę okrzykiem „Niech żyje armia i naród niemiecki". Mówił jeszcze, że każdy na Podhalu musi mieć kartę góralską, a kto nie będzie jej posiadał, zostanie wysiedlony. Braw nie było, odezwało się zaledwie kilka rąk.

Niedługo przed wiecem w Rabce rozstrzelano dwustu Żydów. Krzeptowski dodał, że tym bez kart „G" będzie groziło to samo.

*

Najchętniej góralskie kenkarty przyjmowali mieszkańcy Szczawnicy – aż dziewięćdziesiąt dwa procent mieszkańców.

Włodzimierz Wnuk w książce *Walka podziemna na szczytach* tłumaczy to tak:

> W Szczawnicy, jako miejscowości przygranicznej i stanowiącej jedną z głównych baz wypadowych dla przekradających się za granicę, urzędowała silna, 12-osobowa placówka Gestapo trzymająca w postrachu maleńką mieścinę. W tej samej Szczawnicy był komisariat straży granicznej oraz przez pewien czas szkoła żandarmerii. Jak na jedną wieś – bo Szczawnica jest właściwie większą wsią zarządzaną przez wójta – była to wyjątkowo silna załoga niemiecka. W dodatku, na nieszczęście ludności tamtejszej, znalazł się w Szczawnicy gorliwy działacz „Goralenvolku", członek Komitetu Góralskiego w Zakopanem, niejaki Tadeusz Kęsek [zastrzelony w 1944 roku przez partyzantów AK], który utrzymywał ścisły kontakt z Gestapo. Człowiek ten dobrał sobie paru pomocników, którzy opanowali Urząd Gminy – brat Kęska został wójtem – i tak pokierowali akcją „kenkartową", że prawie cała ludność Szczawnicy otrzymała karty góralskie. Działacze „góralscy" operowali głównie argumentem wysiedlenia, co w Szczawnicy było specjalnie groźne ze względu na to, że sąsiednie wsie były zamieszkane przez Ukraińców, uprzywilejowanych przez okupanta: obawiano się, że na miejsce wysiedlonych przyjdą do Szczawnicy Ukraińcy.

Romuald Łączkowski w Białym Dunajcu robił zdjęcia do kenkart. Zaraz po wojnie zeznał:

> Z różnych przyczyn politycznych wysiedliły mnie władze niemieckie z Zakopanego, gdzie przed wojną mieszkałem, i dlatego osiadłem we wsi Biały Dunajec, gdzie prócz rzeźbiarstwa, jako mojego głównego zajęcia, wykonywałem amatorskie fotografie. Kiedy stała się aktualna kwestia kart rozpoznawczych, wtenczas poczęli się zgłaszać do mnie ludzie, ażebym im robił fotografie do tychże kart. Niejednokrotnie zbierała się w tym celu większa ilość ludzi przy moim domu, gdzie przed domem – o ile pogoda na to pozwalała,

robiłem zdjęcia fotograficzne. Raz zdarzyło się, że w czasie takiego fotografowania nadjechał samochodem Wacław Krzeptowski, który widząc grupkę ludzi, zatrzymał się, przyszedł do mnie, zażądał wyjaśnienia, co ja tu robię, a kiedy wyjaśniłem mu, że jestem fotografem i robię zdjęcia do kart rozpoznawczych, zagroził mi, ażebym przy tej sposobności nie uprawiał agitacji przeciwgóralskiej. Przy tej sposobności wygłosił on do obecnych przemówienie, wzywające wszystkich ludzi urodzonych na terenie powiatu nowotarskiego, ażeby zgłaszali się na górali, przy czym straszył i groził, że oporni będą wysiedlani i że będą mogli zabrać ze sobą jedynie 25 kg ze swego majątku. Po jego odjeździe ludzie zapytywali mnie, jakie jest [moje] zdanie w tym kierunku. Wtenczas zwróciłem im uwagę na to, że w Komitecie Góralskim nie zasiadają ludzie poważni i ludzie naprawdę poważni, a tylko szumowiny, i dlatego powinni wyciągnąć odpowiedni wniosek dla siebie. Ktoś z obecnych na miejscu zagroził mi, że za tego rodzaju przemówienie mogę być aresztowany, lecz dziś nie umiem zapodać, kto to był.

Do dzisiaj historycy nie potrafią podać szczegółowych danych dotyczących tego, jaki zasięg miała akcja Goralisches Komitee. Na podstawie zachowanych dokumentów przeważa opinia, że karty „G” przyjęło osiemnaście–dwadzieścia procent mieszkańców Podhala, czyli około dwudziestu siedmiu tysięcy osób. Tak właśnie uważa Wojciech Szatkowski – wnuk Henryka, pracownik Muzeum Tatrzańskiego – który postanowił jak najdokładniej zbadać sprawę Goralenvolku, żeby zrozumieć, dlaczego jego dziadek brał udział w kolaboracji.

Skład rasowy a kultura

W ramach Sonderaktion Krakau okupacyjne władze zarządziły, by rektor Uniwersytetu Jagiellońskiego profesor Tadeusz Lehr-Spławiński zwołał na 6 listopada 1939 roku zebranie wszystkich profesorów UJ w sali imienia Mikołaja Kopernika w budynku Collegium Novum. Gdy profesorowie zasiedli w ławach, pojawił się SS-Sturmbannführer Bruno Müller.

> Tutejszy uniwersytet rozpoczął rok akademicki bez wcześniejszego zezwolenia władz niemieckich. Jest to wyraz złej woli. Ponadto jest powszechnie wiadomo, że nauczyciele byli zawsze wrogo nastawieni do nauki niemieckiej. W związku z tym wszyscy, poza trzema kobietami, zostaną wywiezieni do obozu koncentracyjnego. Jakakolwiek dyskusja, a nawet wypowiedzi na ten temat są wykluczone. Kto odważy się na opór wobec wykonania mojego rozkazu, zostanie rozstrzelany

– oznajmił zszokowanym krakowskim profesorom esesman. Zgodnie z zapowiedzią protesty nic nie dały.

W Collegium Novum UJ aresztowano: 142 pracowników uniwersytetu (głównie profesorów, docentów, adiunktów i asystentów), 21 wykładowców Akademii Górniczej, 3 osoby z Akademii Handlowej wykładające na UJ oraz 2 z Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie i KUL-u w Lublinie, jak również przypadkowe osoby przebywające w budynku (wśród nich między innymi nauczycieli i studentów). Po południu Niemcy aresztowali jeszcze prezydenta miasta Stanisława Klimeckiego w jego domu i dołączyli go do grona profesorów. Łącznie zatrzymano 183 osoby.

Gwałt na Uniwersytecie Jagiellońskim otwierał pole do powołania nowego instytutu, który miał się zajmować nauką rozumianą według nazistowskich prawideł. W dzień urodzin Hitlera, 20 kwietnia 1940 roku, otworzono Instytut Niemieckiej Pracy na Wschodzie.

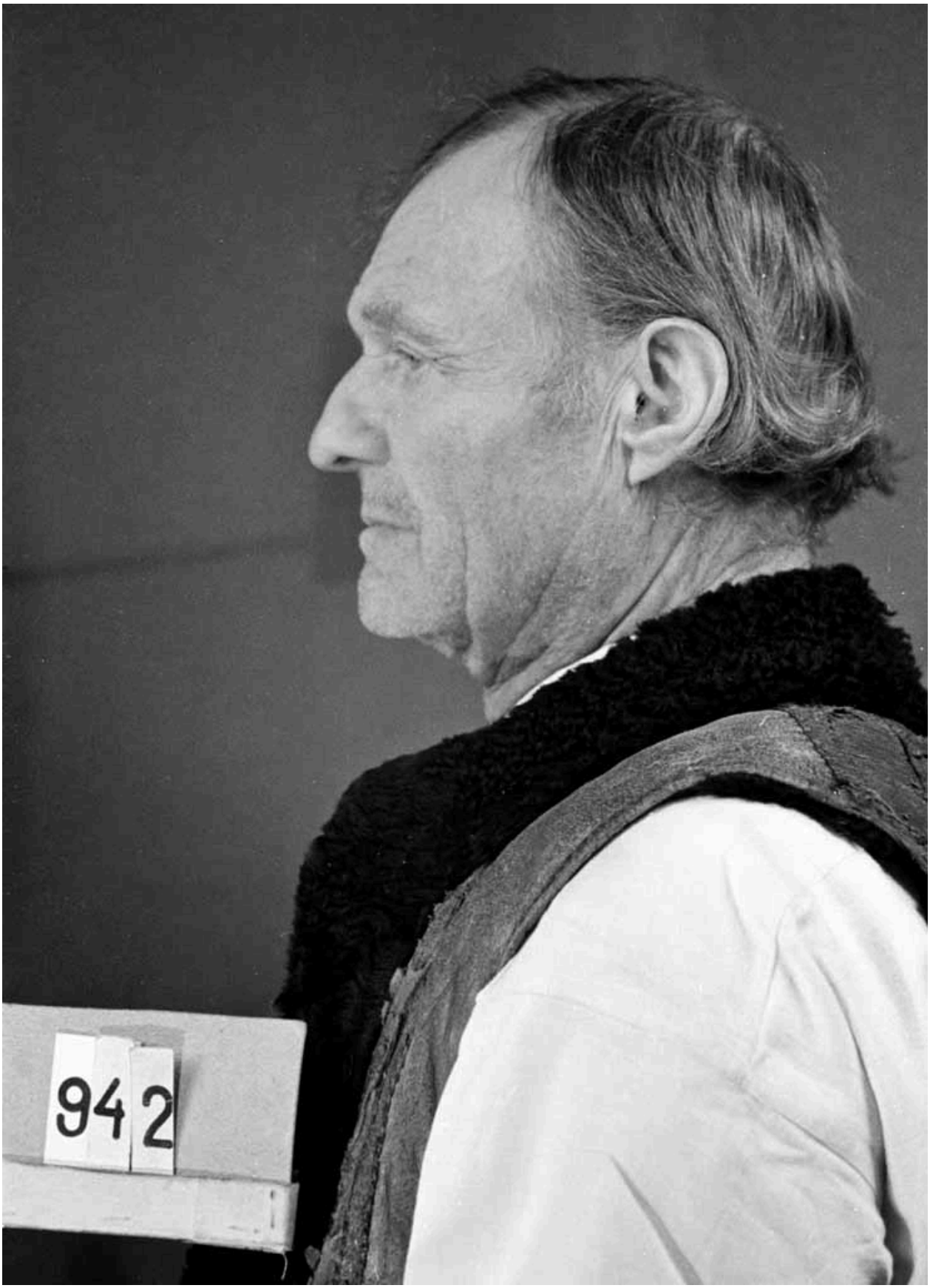

[^] Zdjęcia z nazistowskich badań rasowych na Podhalu

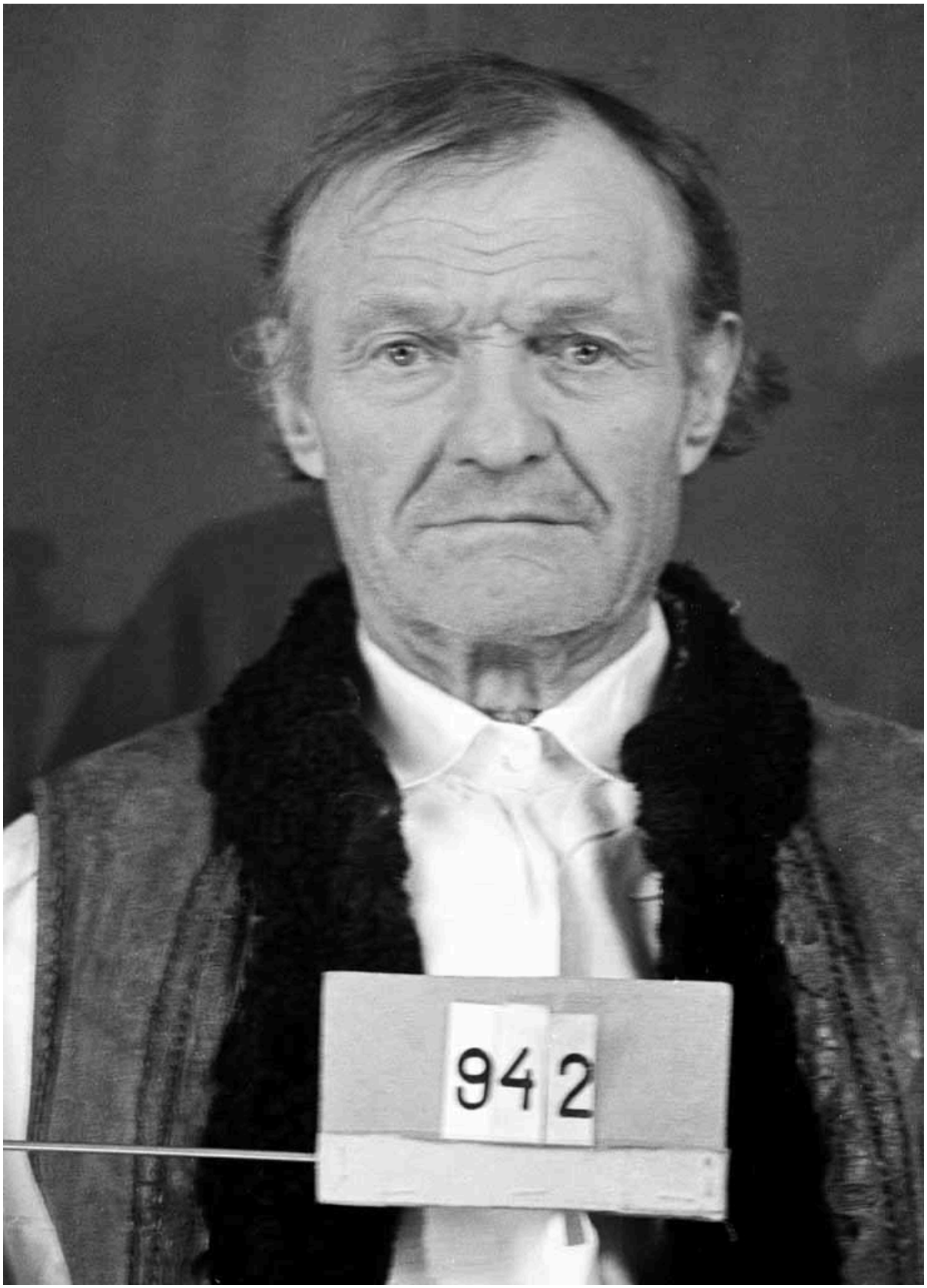

[^] Zdjęcia z nazistowskich badań rasowych na Podhalu

Instytut mieścił się w krakowskim Collegium Maius, miał filie w Warszawie i we Lwowie, a wspierały go placówki z Wiednia, Berlina, Breslau i Königsbergu. W Instytucie było jedenaście sekcji. Wśród nich Sekcja Rasowa i Ludoznawcza. Nazistowscy pseudonaukowcy postanowili przebadać podbitą ludność i poselekcjonować pod względem rasowym.

> Jednostki o wartościowym materiale genetycznym, głównie dzieci o cechach „aryjskich", planowano poddać germanizacji, celem uszlachetnienia rasy niemieckiej. Ludzie silni i sprawni fizycznie, niespełniający jednak kryteriów rasowych, stanowić mieli źródło taniej siły roboczej – napisała w referacie przygotowanym na konferencję „Antropologia, Pamięć, Historia. Wokół projektu »Zakopiańczycy w poszukiwaniu tożsamości«" etnografka doktor Stanisława Trebunia-Staszel, góralka od pokoleń (badania prowadziła razem z doktor Małgorzatą Maj). – Była jeszcze jedna grupa badanych, do której zaliczano tak zwane jednostki uciążliwe społecznie (chorzy, upośledzeni fizycznie i umysłowo, o szczególnej brzydocie) oraz osoby stanowiące zagrożenie dla niemieckiego narodu. Chodziło tu przede wszystkim o ludność żydowską. Zakwalifikowanych do tej ostatniej grupy czekała eksterminacja. Koncepcję badań przedstawił Heinrich Himmler w wystąpieniu z 15 maja 1940 roku: „Nie jesteśmy zainteresowani tym, aby traktować jednakowo ludność Wschodu, wręcz przeciwnie, pragniemy podzielić ją na wiele rodzajów i odłamów […]. Tak więc nie istnieją tylko Polacy, Żydzi, Ukraińcy, Białorusini, Górale i Kaszubi […]. Nawet w narodzie niemieckim posiadamy odłamy i cząstki do posegregowania".

Podhalańskich górali też postanowiono przebadać.

*

Jesienią 2009 roku do sali urzędu gminy w podhalańskich Szaflarach zaproszono najstarszych mieszkańców wsi. Pokazano im zdjęcia z czasów okupacji i pytano, czy je pamiętają. Zrobili je w 1942 roku nazistowscy pseudonaukowcy z Instytutu Niemieckiej Pracy na Wschodzie, a konkretnie z Sekcji Rasowej i Ludoznawczej. Jej pracownicy zjechali na Podhale. W samych Szaflarach sportretowali 1003 osoby, wykonali kilka tysięcy zdjęć, opatrzonych szczegółowymi komentarzami i uwagami. Pracowali siedem tygodni.

Hitlerowscy badacze swoje obserwacje na Podhalu zaczęli już w 1940 roku, ale nie systematycznie – tak jak później w Szaflarach – tylko wyrywkowo. Mierzono grupy dzieci i dorosłych w Bukowinie Tatrzańskiej, Kościelisku, Murzasichlu, Poroninie, Zakopanem – tutaj między innymi przebadali uczniów Szkoły Przemysłu Drzewnego. Interesowali się też dziećmi z innych podstawówek w regionie. Następnie zaplanowali kompleksowe badania w Szaflarach i Witowie.

Anna Marduła z Szaflar powiedziała etnografom z UJ, którzy na potrzeby pracy naukowej notowali na Podhalu relacje z czasów wojny:

– Pamiętam dobrze te badania. Badali wszystko. Mierzyli głowę, rozstaw oczu, wzrost, wagę. Pobierali też odciski palców. Ludzie bali się, że te badania zakończą się wywózką do Niemiec. Zwłaszcza że zabrane zostaną te dzieci, które mają blond włosy i niebieskie oczka.

Stanisław Lach z Witowa:

– Ludzie się podporządkowywali badaniom, bo grozili karą śmierci. Dawali nom zostrzyki. Nasi ludzie godali, ze nos trujom. Nieftorzy ludzie uciekali przed tymi badaniami. Godali, ze Niemcy wybierajom ludzi do swojej rasy aryjskiej.

Józef Pitoń z Kościeliska:

– Niemcy chodzili po klasie i patrzyli po nos syćkik, jak my wyglądomy. A nojwięcej interesowali sie tymi, co mieli jasne włosy i niebieskie ocy. To my, dzieci, juz wiedzieli, ze Niemcy planujom w przyszłości te dzieci o rysach nordyckich odbierać. Niemców to przecie my sie straśnie boli, Jezus Mario. Jo casami to w nocy nie społek, ze jak przydom i mnie weznom. Juz nawet myślołek, ze uciekne w las i bede sie ukrywoł.

Nazistowskie zdjęcia – znajdujące się dzisiaj w archiwum Uniwersytetu Jagiellońskiego – przewędrowały pół świata, zanim po ponad sześćdziesięciu latach znów trafiły na Podhale. Uciekając przed Armią Radziecką, pod koniec wojny Niemcy wywieźli przechowywane w Krakowie archiwum do bawarskich zamków Zandt i Miltach. Tam trafiły w ręce Amerykanów, którzy jesienią 1945 roku przetransportowali je do Stanów Zjednoczonych, myśląc, że to ważne dokumenty hitlerowskiej armii. Departament Wojny przekazał je do National Museum of Natural History przy Smithsonian Institution w Waszyngtonie.

Na dokumenty Instytutu Niemieckiej Pracy na Wschodzie z terenu Polski natrafiła w Waszyngtonie antropolog Gretchen E. Schafft. Dzięki temu o ich istnieniu dowiedziała się polska ambasada, która w 2003 roku rozpoczęła starania o przewiezienie dokumentów znajdujących się w USA na Uniwersytet Jagielloński. Udało się to dopiero jesienią 2008 roku. Korzystając z wizyty Lecha Kaczyńskiego za oceanem, archiwalia przetransportowano do Polski na pokładzie samolotu prezydenckiego.

Kiedy więc ogłoszono w gminie i z parafialnej ambony, że krakowscy etnografowie będą prezentować niemieckie zdjęcia z czasów II wojny, obawiano się, że ktoś chce

miejscowym wypominać Goralenvolk. Etnografowie z UJ wyjaśniali więc, że naziści fotografowali również Łemków, Hucułów, Ukraińców i Żydów w tarnowskim getcie.

*

Na szaflarskiej plebani naziści robili cztery zdjęcia twarzy: dwa profile, jedno *en face* i jedno z brodą maksymalnie zadartą do góry. Potem fotografowany rozbierał się do naga, był dokładnie ważony i mierzony, odpowiadał na dziesiątki pytań, a szczegóły jego budowy ciała, na przykład nieforemność sylwetki, kształt i gęstość owłosienia łonowego rysowano na uprzednio przygotowanych kartkach z naszkicowanymi wizerunkami ludzkiej sylwetki.

Zmierzono rozstaw oczu, obwód głowy, opisano kolor cery oraz czy skórę ma porowatą, czy gładką. Oszacowano wielkość i kształt zębów. Narysowano, czy rosną mu włosy na klatce piersiowej i czy owłosienie łonowe wystaje poza pachwiny. A także – zarys grdyki i kąt nachylenia szczęki względem szyi. Dokładnie klasyfikowano rodzaj włosów. Mogły być koloru złota, srebra, żółte, kasztanowe, brązowe, jasne, jaśniejsze, przetkane siwizną, czarne, proste, kręcone, pofalowane, miękkie, sztywne, gęste, rzadkie.

Do dzisiaj zachowały się koperty z obciętymi wtedy puklami.

> Włosy, pukle włosów ludzkich, próbki pobrane od osób niegdyś badanych. Włosy strzyżone z głów, włosami wypełnione materace, włosy jako surowiec na chodniczki – przywoływały żywe, jaskrawe obrazy milionów ludzi uwikłanych w Holokaust

– opisała pierwsze wrażenia po odkryciu w Waszyngtonie nazistowskich archiwów zawierających badania z Podhala Gretchen E. Schafft.

Po co to wszystko? Może w Szaflarach szukano germańskich śladów? To jedna z najstarszych wsi na Podhalu, kiedyś było tu osadnictwo niemieckie.

Doktor Elfriede Fliethmann z Sekcji Rasowej i Ludoznawczej zanotowała, że „trzeba szczegółowo przyjrzeć się zależności między składem rasowym a kulturą”.

W szaflarskim urzędzie gminy opowiadano:

– Rase nimieckom kcieli utrzymać, choć jeden pedzioł im „nazywom sie Polak i pise sie Polak”.

– Jakaś selekcja była. Rudy, corny na bok, bez dokładności. Mnie, jasnego z niebieściućkimi ocami, pytali o syćko, syćko mierzyli.

– Na roboty chcieli wywozić.

U niektórych badanych pokazane im po dziesiątkach lat okupacyjne zdjęcia przywołały na nowo wspomnienia strasznych chwil. Tak jak u sióstr z szaflarskiego rodu Gutów-Mostowych, którym w 1944 roku konfidenci i Niemcy zabili pięciu krewnych.

W Zakopanem etnografom z UJ opowiadano:

– Przechodziłam koło cmentarza i zauważyłam, jak kobieta i kilkunastoletni chłopiec, zapewne jej syn, kopali dół. Stał nad nimi gestapowiec. W pewnej chwili ten młody chłopak upadł, chyba zemdlał z przerażenia. Podniósł się. Potem gestapowiec ich zastrzelił.

W Kościelisku usłyszeli:

– Pamiętam pokój na górze, o którym nie wolno było mówić w domu. Ukrywana była w nim Żydówka z małą córeczką. Czasami podglądałam przez uchylone drzwi, jak Żydówka układa na łóżku święte obrazki z Matką Bożą i uczy córeczkę modlitwy *Ojcze nasz*. Niestety nasz sąsiad Krzeptowski zauważył, że ktoś na górze mieszka. Groził rodzicom, że jak nie pozbędą się Żydówki, to nasz dom pójdzie z dymem. W Kościelisku mieszkali krewni Wacława Krzeptowskiego.

Nie wiadomo, czemu dokładnie miały służyć badania rasowe prowadzone przez Niemców na Podhalu. Nie ma w nich żadnej wzmianki o Goralenvolku. Wygląda na to, że naziści sami jeszcze nie wiedzieli, co zrobią z góralami. Czy zaliczą ich do rasy panów – na co miał nadzieję Wacław Krzeptowski – czy może ześlą daleko na wschód, by pod Tatrami powstała przestrzeń życiowa dla prawdziwych Aryjczyków. Albo wymordują, tak samo jak Żydów.

Legion Góralski

Henryk Jost był podczas wojny fotografem. Dostał pozwolenie od władz okupacyjnych, by robić zdjęcia w Zakopanem zamkniętym niemieckimi kordonami. Dzięki tym fotografiom, czarno-białym, zwyczajnym i bardzo codziennym, wiemy, że Zakopane, a wraz z nim niemal całe Podhale, było regionem szczególnym, bardziej spacyfikowanym (bo turystycznie, wypoczynkowo, klimatycznie bardziej atrakcyjnym) niż inne części Polski.

*

W Narodowym Archiwum Cyfrowym zachowały się zdjęcia uśmiechniętych niemieckich żołnierzy rekonwalescentów przymierzających góralskie kapelusze i cuchy, przypatrujących się świarnym tańczącym dziewczętom i rzemieślnikom wyrabiającym regionalne ozdoby, wylegujących się na sanatoryjnych leżakach podczas czytania gazet, hitlerowskich lotników szusujących z Gubałówki. A także sklepów, uroczystości z udziałem wysokich niemieckich oficerów i górali przystrojonych hitlerowskimi flagami ze swastykami, portretu Hitlera powieszonego pod powałą góralskiej karczmy pomiędzy malowanymi na szkle postaciami świętych, ratowników Tatra Bergwacht (taką nazwę podczas okupacji nosiło Tatrzańskie Ochotnicze Pogotowie Ratunkowe) wyruszających w góry.

Ale w Muzeum Tatrzańskim są też fotografie z łapanki.

– Zakopane – wspominał Jost w rozmowie z nami – na pierwszy rzut oka robiło wrażenie niemieckiego miasta. Tak wielu było kuracjuszy, pacjentów szpitali i sanatoriów. Niemcy spędzali tu urlopy, uczyli się jeździć na nartach, chadzali na górskie wycieczki.

Henryk Jost na własne oczy oglądał wymarsz z Zakopanego ochotników do Legionu Góralskiego, pomyślanego jak wszystkie inne nieniemieckie jednostki Waffen SS. Legion miał być sztandarową daniną złożoną przez Komitet Góralski okupantowi. Stał się największą porażką kolaborantów. Gdy z powołania Legionu wyszły nici, Niemcy przestali się interesować Goralenvolkiem, a jego przywódcy popadli w niełaskę. To wówczas Wacław Krzeptowski zaczął zbierać razy od okupacyjnych mocodawców.

[^] Dwaj żołnierze niemieccy rozmawiają z góralskim rzeźbiarzem w Zakopanem

– Był Krzeptowski – opowiadał Henryk Jost – człowiekiem raczej pośledniej inteligencji. Nie brakowało mu za to buńczuczności i pewności siebie. Otaczali go jednak ludzie inteligentni. Z takiej mieszanki mogła urodzić się idea, żeby powołać, a co najmniej zgodzić się na góralską formację wojskową. Formację symboliczną, bo wielu tych ochotników nie było, lecz zaświadczającą, że górale walczą z bolszewizmem u boku tysiącletniej Rzeszy, jak przystało na synów pra-Germanów.

*

Waffen SS były szatańskim projektem III Rzeszy, mającym wykazać, że nazizm to ideologia ponadnarodowa, gotowa do ogarnięcia i zorganizowania nowego świata. A może były również krzywym zwierciadłem ówczesnej Europy, kiedy faszyzm i rządy totalitarne cieszyły się wielkim poważaniem. W Waffen SS służyli ochotniczo przedstawiciele chyba wszystkich narodów Starego Kontynentu, a także wielu spoza niego. Najczęściej z krajów zajętych przez Hitlera, lecz nie tylko; nazizm umiał zaczadzić głowy nawet garstki Hindusów. Ochotników rekrutowano w obozach jenieckich (Hindusi służyli w armii brytyjskiej). Obiecano im – podobnie jak Podhalanom, którzy mieli walczyć tylko na terenie Polski – że nie będą służyć poza granicami Indii. Niemieckim agitatorom, wspartym przez hinduskiego nacjonalistę Subhasa Chandrę Bose, który uzyskał audiencję u samego Hitlera, udało się zebrać kilka tysięcy Hindusów.

Zrazu oddziały Waffen SS rekrutowano tylko z Niemców. Później, zwłaszcza po ataku Hitlera na Związek Radziecki, zaczęto tworzyć mieszane i cudzoziemskie formacje, wabione hasłem walki z bolszewizmem – największym wrogiem ludzkości.

Pierwszą niearyjską jednostkę Waffen SS złożono z jugosłowiańskich muzułmanów. Sam Heinrich Himmler zgodził się, by żołnierze otrzymywali pożywienie zgodne z regułami islamu i nosili fezy, tradycyjne nakrycia głowy.

Ale już dywizja SS Wiking była najbardziej multinarodowa – służyli w niej Szwedzi, Norwegowie, Duńczycy.

Powstała też formacja kozacka, licząca około trzydziestu pięciu tysięcy żołnierzy: Rosjan, Kałmuków, Ukraińców, ludzi wywodzących się z narodowości kaukaskich. Powołano dywizję albańską (dziewięć tysięcy) noszącą imię narodowego bohatera Albańczyków Skanderbega, pacyfikującą Serbów w Kosowie (na drugą nóżkę – był oddział Waffen SS złożony z Serbów, pacyfikujący akurat Chorwatów). Byli w SS Bułgarzy, Węgrzy, Rumuni, pięćdziesiąt tysięcy Holendrów, trzydzieści tysięcy Estończyków i tyle samo Chorwatów. Może ze sto tysięcy Łotyszów, Litwini,

Hiszpanie, Francuzi, belgijscy Walonowie, Bośniacy, Tatarzy, kilkuset Szwajcarów i pół setki Brytyjczyków. W Białorusi, spacyfikowanej bardziej niż Polska, do Waffen SS zaciągnęło się ponad tysiąc ludzi. Formacje rosyjskojęzyczne były tak mocne, że między dowódcami wybuchały konflikty o przywództwo. Jednostkami Waffen SS RONA dowodził Bronisław Kaminski, jeden z katów ludności cywilnej Ochoty podczas powstania warszawskiego, rosyjski Polak, który z największą nienawiścią wypowiadał się właśnie o Polakach.

Niektóre oddziały Waffen SS słynęły z bitności i fanatyzmu. Inne zawodziły na całej linii; ich specjalnością były dezercje. Wszystkie mają na sumieniu zbrodnie wojenne: w Serbii i w Kosowie, na Ukrainie i Białorusi, w Polsce i we Francji. Dowódca RONA Bronisław Kaminski został rozstrzelany z wyroku innego generała SS (również polskiej krwi, pacyfikatora powstania warszawskiego i zbrodniarza wojennego), Ericha von dem Bacha-Zelewskiego, za okrucieństwo i niesubordynację.

W takie oto towarzystwo mieli trafić młodzi górale z Podhala.

*

Styczeń 1943 roku. Około trzystu młodych górali zaproszono do hotelu i restauracji Morskie Oko przy Krupówkach. Były przemowy, klepanie po ramieniu, takie zbratanie na pokaz: niemieccy oficerowie SS, funkcjonariusze Goralenvolku i młodzi górale, których powinnością – tłumaczono – jest walka z sowieckimi hordami i azjatyckim bolszewizmem.

Niemcy przygotowali odezwę do młodzieży ukraińskiej i galicyjskiej, w tym także góralskiej:

> Każdy członek tej dywizji będzie zrównany z żołnierzem niemieckim pod względem uzbrojenia, wynagrodzenia, zaprowiantowania i zabezpieczenia utrzymania jego rodziny. […] Ochotnicy jako członkowie dywizji noszą krajową odznakę. Uwzględnione będą w pierwszym rzędzie zgłoszenia tych ochotników, których ojcowie służyli w byłej CK armii austriackiej. Młodzieży galicyjsko-ukraińska! Jesteś uprawniona i powołana do udziału w walce przeciw bolszewizmowi – śmiertelnemu wrogowi – w walce za wiarę i Ojczyznę, za rodzinę i rolę – w walce za zwycięstwo, w walce za sprawiedliwe nowe urządzenie młodej zwycięskiej Europy.

[^] W czasie łapanki przed hotelem Morskie Oko (fot. Henryk Jost)

Wiadomo było jednak również, że nawet najbardziej płomienne apele wsparte obietnicą bardzo wysokiego żołdu i służby tylko w granicach Polski mogą nie wystarczyć. Stoły zastawiono więc jedzeniem i wódką. Za kołnierz nie wylewano (a nawet zachęcano do picia), więc wnet chłopcy byli kompletnie pijani; dziwna metoda rekrutacji przyszłych esesmanów, członków elitarnych, doborowych, najbardziej fanatycznych jednostek.

Potem tych upitych, zataczających się chłopców pędzono (trudno o lepsze słowo) Krupówkami i ulicą Bahnhofstrasse na dworzec kolejowy. Przeszli pod bramą powitalną narciarskich mistrzostw świata FIS w 1939 roku.

– Wyglądało to – opowiadał Henryk Jost – jak nierzeczywisty pochód pijaków, wlokących się noga za nogą głównymi ulicami Zakopanego. Na peronie stał podstawiony pociąg specjalny. Chłopcy znikli w wagonach, przedstawienie skończone.

Z góralskich głów, nawet bardzo młodych, alkohol paruje szybko. Gdzieś koło Makowa Podhalańskiego niedoszli rekruci góralskiej formacji Waffen SS zaczęli trzeźwieć. Do Trawników na Lubelszczyźnie, gdzie mieścił się obóz szkoleniowy, dojechało niewielu i wnet pobili się z rekrutami z Ukrainy, za co ukarano ich obozem koncentracyjnym. Inni uciekli.

Stefan Krzeptowski jeszcze nie wiedział o ucieczce góralskich ochotników, myślał też, że młodych górali zaciągnęło się więcej, a może specjalnie tak rozpowiadał po Podhalu, żeby podnieść rangę Komitetu Góralskiego.

Wojciech Kamiński – wójt Szaflar – zeznał po wojnie:

> Wtenczas Stefan Krzeptowski był zachwycony tem, że z powiatu zgłosiło się około 800 osób do formacji SS. Uchodził on za wielkiego przyjaciela Niemiec.

Przyjaźń miała się skończyć prędzej, niż przypuszczał.

– Kary za dezercję, mimo że nikt nie dezerterował, bo werbunek w Morskim Oku okazał się jakimś szalbierstwem, były bardzo różne – opowiadał Henryk Jost. – Niektórzy uciekinierzy złapani przez Niemców trafili do Auschwitz i innych obozów koncentracyjnych. Kilku przymusowo wcielono do Wehrmachtu. Pozostali pojechali na przymusowe roboty do Rzeszy.

SS-Obergruppenführer Friedrich Wilhelm Krüger z dowództwa SS i policji w Generalnym Dowództwie zirytowany meldował do Berlina:

> Górale w żaden sposób nie różnią się od Polaków, a nawet przeciwnie, na podstawie naszych trwających już trzy i pół roku obserwacji należy ich ocenić gorzej niż Polaków. […] Na pytanie, w jakim stopniu ci górale potrafią porozumieć się po niemiecku, mogę odpowiedzieć, posługując się jedynie słowem „Vodka”. Tym samym można powiedzieć o tej narodowości wszystko. Skoro nie da się uczynić z górali nawet wartowników na terenie Generalnego Gubernatorstwa, należy zaprzestać prób wcielania ich do Waffen SS.

SS-Obergruppenführer Gottlob Berger – stojący na czele Głównego Urzędu SS – w meldunku przesłanym do kancelarii Heinricha Himmlera dopisał jeszcze:

> Nie mając nic więcej do dodania, wierzę, że w tym kwestia naboru górali jest definitywnie załatwiona. Jestem stanowczo przekonany, iż potrafimy tę wojnę wygrać i bez nich.

W SS zostało raptem kilku górali. Ustalono ich nazwiska: Karkosz, Mytkowicz, Duda, Suleja, Marzec, może jeszcze ktoś. Ostał się po nich kpiarski wierszyk, kolportowany pod Tatrami w podziemnych wydawnictwach:

> Wielka armia księcia pana,
> Hen szeroko w świecie słynie,
> Trzech złodziei i Suleja
> Jeden osioł, cztery świnie.

Kiedy podczas urlopów przyjeżdżali w czarnych mundurach na Podhale, budzili strach. Wieść o werbunku rozeszła się wśród górali, niektórych uwiodły propagandowe hasła o walce z bolszewizmem. Wojciech Szatkowski w archiwach Muzeum

Tatrzańskiego natknął się na taki list z lipca 1943 roku [pisownia i interpunkcja oryginalna]:

> Szanowny Komitet Góralski! Przesyłam parę słów w których zapytuję się że chciałbym się zapisać ochotniczo do wojska Ukraińskiego lub do niemieckiego obecnie pracuję w Rzeszy niemieckiej. Jestem z rocznika 1924 roku. Proszę bardzo mnie przydzielić do wojska, na walkę z bolszewikami! Kronberg 8, Kirchberga. Walsh. Góral. Wolnicki. Stanisław.

Wacław Krzeptowski odpisał:

> W odpowiedzi na list Pana z dnia 12 VII br. w sprawie wpisania Pana na listę ochotników do wojska donosimy, że Komitet Góralski nie prowadzi obecnie żadnych wpisów do wojska.

Goralenfürst, Ostrogota, agent Abwehry…

Gdyby nie wojna, zarówno Wacław Krzeptowski, jak i Henryk Szatkowski zachowaliby się w zbiorowej pamięci Podhalan jako ci, którzy wyjątkowo dobrze przysłużyli się regionowi. Może mieliby nawet swoje tablice pamiątkowe – Krzeptowski w siedzibie Związku Podhalan, a Szatkowski przy dolnej stacji kolejki na Kasprowy Wierch – albo i ulice w Zakopanem. Pewnie zrobiliby kariery polityczne.

Przodkiem Wacława był Jan Krzeptowski-Sabała, znany przewodnik, kłusownik i bajarz. Towarzysz górskich wypraw odkrywcy Tatr i Zakopanego doktora Tytusa Chałubińskiego, ojciec chrzestny Witkacego.

Wacław Krzeptowski urodził się w Kościelisku 24 czerwca 1897 roku. Podczas I wojny światowej walczył w austriackiej armii, miał tropić po górach dezerterów. Działał potem w zakopiańskim Związku Górali, bywał prezesem powiatowych struktur Stronnictwa Ludowego w Nowym Targu. Przyjaźnił się z Wincentym Witosem (miał go nawet ukrywać w czasie przewrotu majowego, organizować jego ucieczkę do Czechosłowacji w trakcie procesu brzeskiego w 1933 roku), w kościeliskim kościele witał chlebem i solą prezydenta Ignacego Mościckiego.

W lutym 1937 roku wraz z delegacją z Podhala uczestniczył w pogrzebie Marii Zamoyskiej, siostry hrabiego Władysława. W 1938 roku, po zjeździe rodziny Krzeptowskich, ofiarował polskiemu wojsku ciężki karabin maszynowy z rodowej składki.

W 1939 roku uczestniczył w ceremoniach nadania tytułu honorowego członka Związku Górali wiceministrowi komunikacji Aleksandrowi Bobkowskiemu i Marianowi Dąbrowskiemu, ówczesnemu polskiemu magnatowi prasowemu, który założył między innymi „Ilustrowany Kuryer Codzienny”.

Krzeptowski otwarcie narzekał na sanację, krytykował bezprawne wywłaszczanie górali podczas budowy kolejki na Kasprowy Wierch. Mawiał: „Jesce my ceprom zabieremy nase parcele”. Był z niego również babiarz i utracjusz, narobił długów na siedemdziesiąt tysięcy złotych.

Jego majątek miał być zlicytowany 3 września 1939 roku. Niemcy wstrzymali licytację. Mógł być im za to wdzięczny. „W czasie wojny nie jest sztuką umrzeć, ale żyć” – mówił.

*

Do Komitetu Góralskiego przystąpili też kuzyni Wacława noszący to samo nazwisko: bracia Andrzej i Adam, a także Stefan Krzeptowski. Przed wojną uchodzili za góralską elitę Zakopanego.

Najbardziej znany był Andrzej, wszechstronny narciarz. Sławę w kraju, poza osiągnięciami sportowymi, przyniosła mu rola w filmie z 1932 roku *Biały ślad* autorstwa jego brata Adama. Możliwe, że jeszcze przed wojną został zwerbowany przez niemiecki wywiad.

Być może wyjazdy na zagraniczne zawody i kontakty ze sportowcami z Niemiec sprawiły, że już przed klęską wrześniową był pewien – znajdując się pod wrażeniem niemieckiej organizacji i siły – że Polska przegra wojnę, więc należy się z Niemcami ułożyć. Jak pisze badacz Goralenvolku Wojciech Szatkowski, to podobno Andrzej Krzeptowski był zrazu typowany na „góralskiego księcia" i lidera podhalańskiej kolaboracji (z całą pewnością nadawał się do tej funkcji lepiej niż Wacław), ale zdecydowanie odmówił.

Był regularnym i gorliwym agentem gestapo, często widywano go w willi Palace. Uczestniczył w łapankach, takich jak ta w przysiółku na Olczy, w wyniku której aresztowano wielu górali. Jeździł po wsiach i namawiał do przyjmowania kenkart góralskich, na przykład w Rabce.

Po wojnie Andrzej Krzeptowski uciekł z Zakopanego do Krakowa. Został aresztowany przez NKWD, być może na ulicy Lubicz. Podczas zatrzymania połknął truciznę. Sowieccy funkcjonariusze przewieźli go do szpitala Świętego Łazarza i wydali lekarzom polecenie, by więźnia koniecznie utrzymać przy życiu.

> Zastosowałem zabiegi medyczne celem przyprowadzenia pacjenta do przytomności – zeznawał doktor Jerzy Winowski podczas procesu Goralenvolku – jednak bezskutecznie, gdyż pacjent ten około północy zmarł. Przez cały czas przy pacjencie byli żołnierze sowieccy, którzy go pilnowali.

Po wkroczeniu Niemców Andrzej został szefem zakopiańskiej delegatury Komitetu Góralskiego, a Adam – sekretarzem, choć ponoć wzbraniał się przed proniemiecką agitacją. Pierwszy z braci dostał sklep przemysłowy w Zakopanem, a drugi zakład fotograficzny. Adam jako jedyny po wojnie został uniewinniony. Wyjechał z Zakopanego w okolice Jeleniej Góry.

Stefan wykształcił się na prawnika, był też oficerem Wojska Polskiego przeniesionym do rezerwy. Po założeniu Komitetu Góralskiego dostał sklep spożywczy. Na kolaborację zdecydował się, najpewniej licząc na zyski materialne. Po wojnie został zesłany na Syberię, zmarł w łagrze gdzieś w Ałtaju. Niektórzy powiadają, że na rękach

Józefa Krzeptowskiego, znanego tatrzańskiego kuriera, a później przewodnika i bajarza.

*

Henryk Szatkowski podczas I wojny światowej wojował w Legionach Piłsudskiego. O mało nie przypłacił tego życiem – został ranny w szyję.

Krakus, urodzony 27 listopada 1900 roku. Doktor praw, władał siedmioma językami, studiował w Berlinie i we Wrocławiu, a na Uniwersytecie Jagiellońskim napisał rozprawę doktorską o prawnych aspektach ochrony przyrody. Do Zakopanego przyjechał w latach trzydziestych. Prędko stał się jedną z głównych postaci miasta, nazywano go tu Dzidkiem. Zaprzyjaźnił się z miejscową elitą, pokazywał się między innymi w towarzystwie Józefa Oppenheima czy Stanisława Faechera – znanego dziennikarza i działacza sportowego.

W Zakopanem Szatkowski rozpowiadał o swojej pracy w wywiadzie. Tak przynajmniej zeznawano po wojnie w UB. Prawda, że jeżdżąc często do Niemiec i Austrii na zawody sportowe, mógł przekazywać pewne informacje Warszawie. Tyle że Szatkowski wszystkiego polskim oficerom nie mówił.

Ożenił się z rodowitą góralką z Krzeptówek Marysią Stopkówną. Był lekko grubawy, lecz przystojny, wygadany, sympatyczny, w codziennym obejściu grzeczny, przyjazny ludziom. Cierpiał na nadciśnienie, mógł sypiać tylko w pozycji półsiedzącej, obawiał się wylewu. Miał wspaniałą bibliotekę.

– Ojciec był inteligentem, erudytą – mówiła nam Zofia, córka Henryka. – Mama zaś była prostą góralką. Ale byli dobrym małżeństwem, myślę, że ojciec kochał mamę. I strasznie kochał góralszczyznę, ludzi, folklor, Tatry. W zarządzie Zakopanego odpowiadał za sprawy związane z uzdrowiskiem. Był po uszy zaangażowany w turystykę, w narciarstwo; budował kolejki na Kasprowy i na Gubałówkę. Przy jego pomocy odbyły się w Zakopanem ostatnie przedwojenne narciarskie mistrzostwa świata.

[^] Henryk Szatkowski

*

W budowę kolejki na Kasprowy Wierch Szatkowski zaangażował się jak mało kto w Zakopanem.

A nie była to łatwa sprawa. Na początku 1934 roku Ministerstwo Komunikacji zleciło wykonanie prac studyjnych nad budową kolejki linowej. Rozważano możliwość poprowadzenia trasy na Kasprowy Wierch lub na Czerwone Wierchy. Ten drugi wariant upadł we wstępnej fazie z uwagi na odległość planowanej stacji początkowej od Zakopanego. Zdecydowano się więc na Kasprowy. Już na tym etapie projektowi towarzyszyły protesty ze strony Państwowej Rady Ochrony Przyrody i licznych środowisk związanych z turystyką. Tylko w pierwszej połowie 1934 roku blisko sto towarzystw, instytucji i organizacji społecznych ogłosiło odezwy przeciwko planowanej budowie. W przeszło dziewięćdziesięciu czasopismach pojawiło się kilkaset artykułów, w których dziennikarze wypowiadali się przeciw kolejce. Jedynie krakowskie „Ilustrowany Kuryer Codzienny” i „Światowid” popierały projekt. W takiej atmosferze w lipcu 1935 roku zapadła decyzja o budowie. Na wieść o niej cała Państwowa Rada Ochrony Przyrody podała się do dymisji.

Ministerstwo Komunikacji odpowiednie uzgodnienia dotyczące budowy wydało 25 lipca 1935 roku. Termin zakończenia prac ustalono na koniec lutego 1936 roku. Z powodu tak krótkiego czasu żadna firma budowlana nie zdecydowała się na realizację kontraktu. Budowę postanowiła zatem prowadzić własnymi siłami specjalnie powołana spółka Towarzystwo Budowy i Eksploatacji Kolei Linowej Zakopane (Kuźnice) – Kasprowy Wierch, popularnie zwana Linkolkasprowy.

Roboty ruszyły 1 sierpnia 1935 roku. Najpierw urządzono zaplecze, przygotowano drogę dojazdową z Kuźnic na Myślenickie Turnie i uruchomiono kolejkę transportową z Turni na szczyt Kasprowego. W kulminacyjnym okresie na budowie pracowało około tysiąca osób – nie tylko z Zakopanego i Podhala, ale także z Krakowa i innych rejonów Małopolski, a nawet z Wileńszczyzny i Polesia. Do Myślenickich Turni przewożono materiały budowlane samochodem w niezwykle trudnych warunkach. Transport na szczyt Kasprowego był o wiele trudniejszy: materiały wywożono najpierw furmankami na Halę Gąsienicową, a stamtąd piasek, cement, części stalowe, elementy konstrukcyjne, liny nośne, a nawet wodę nosili na plecach robotnicy.

Pod koniec grudnia budynki stacyjne w Kuźnicach i na Myślenickich Turniach były ukończone. W najgorszym okresie mrozów i opadów śniegu budowano stację na Kasprowym i betonowano podpory. Dotrzymano jednak końcowego terminu: 26 lutego 1936 roku kolejka ruszyła w pierwszy kurs z Kuźnic na Myślenickie Turnie. Pierwszy

srebrny wagonik dojechał na Kasprowy Wierch w niedzielę 15 marca 1936 roku po dwustu dwudziestu siedmiu dniach budowy. Koszty inwestycji przekroczyły trzy i pół miliona złotych. Suma ta zwróciła się jeszcze przed 1939 rokiem.

Kiedy w 2011 roku rząd ogłosił zamiar sprzedaży kolejki linowej na Kasprowy Wierch prywatnemu inwestorowi, zakopiańscy radni zaprotestowali:

> Budowa kolei na Kasprowy Wierch w 1936 r. była poważnym wyzwaniem pod względem technicznym i finansowym. Twórca kolei minister Aleksander Bobkowski – Honorowy Obywatel Zakopanego – postawił ambitny cel dorównania wiodącym krajom ówczesnej Europy. Cel ten potrafił z żelazną konsekwencją realizować. Powstał obiekt jeden z największych i najnowocześniejszych w Europie, symbol wizjonerstwa, sukcesu i skuteczności II Rzeczypospolitej odbudowanej po 123 latach niewoli. Dlatego dzisiaj kolej linowa na Kasprowy Wierch nie jest zwykłym biznesem, lecz dobrem kultury. Historia kolei stanowi ważną część polskiej narodowej tożsamości.

*

Oprócz góralszczyzny i Tatr Henryk Szatkowski miał jeszcze jedną fascynację – Niemcy. Mówił wspaniale po niemiecku, imponowała mu niemiecka kultura, porządek, organizacja. Był kapitanem sportowym Polskiego Związku Narciarskiego, wiele jeździł po świecie. Ale tylko z zawodów w alpejskich kurortach Austrii i Niemiec wracał naprawdę zachwycony.

W przedwojennej korespondencji do przyjaciół miał się podpisywać „Ostrogota”. Jak nic podobała mu się koncepcja, że podhalańscy górale to zaginione germańskie plemię.

Henryk Jost sądzi, że być może podczas pobytu w Garmisch-Partenkirchen na rok przed wybuchem wojny zwerbował go niemiecki wywiad wojskowy – Abwehra.

W pierwszych tygodniach okupacji Henryk Szatkowski został wezwany przez gestapo, które zapowiedziało mu, że jeśli nie podejmie współpracy, jego rodzina trafi do Auschwitz.

A może podczas przesłuchań wyciągnięto Szatkowskiemu, że jego babka nazywała się Weiser i prawdopodobnie była Żydówką?

W grudniu 1939 roku Heinrich Schatkowski w piśmie „Das Generalgouvernement” opublikował artykuł *Die Goralen*, w którym stwierdził między innymi, że „pierwszymi osadnikami na Podhalu byli Niemcy w XIII wieku, którzy zasiedlili wiele wsi”.

*

Był jeszcze Witalis Wieder, oficer armii pruskiej, przedwojenny kapitan Wojska Polskiego oraz najpewniej agent Abwehry, który miał przed 1939 rokiem przygotowywać w Zakopanem grunt pod Goralenvolk. To postać bardzo tajemnicza, nie wiadomo nawet, jak wyglądał. Kiedy po wojnie poszukiwał go polski wywiad, udało się zdobyć tylko fotografię jego brata w niemieckim mundurze.

W zakopiańskich aktach Witalis Wieder figuruje jako dzierżawca zakopiańskiego pensjonatu Maraton przy ulicy Sienkiewicza.

Właściwie nie ma przedsięwzięcia związanego z Goralenvolkiem, w którym Wieder by nie uczestniczył. Został reichsdeutschem, często odwiedzał zakopiańską siedzibę gestapo, najpewniej donosił okupantom na ludzi podejrzewanych o niechęć do Goralenvolku. Gościł w dzierżawionych pensjonatach hitlerowskich funkcjonariuszy, prowadził tajną niemiecką szkołę wywiadu, rekrutował współpracowników (niektórych zwerbował jeszcze przed wojną). Spotykał się z generalnym gubernatorem Hansem Frankiem i Heinrichem Himmlerem.

Wieder aktywnie uczestniczył w akcji wydawania kenkart „G”, zachęcając górali do ich przyjęcia licznymi korzyściami. Był autorem memoriałów skierowanych do władz okupacyjnych. Agitował za wstępowaniem do Legionu Góralskiego.

W Zakopanem bano się Wiedera również ze względu na jego pamiętliwość i porywczość. Zapamiętano go jako człowieka inteligentnego. Uciekł z Podhala razem z Niemcami.

Zupełnie inny Krzeptowski

Urodził się w 1904 roku, w jednym z najznamienitszych góralskich rodów, tak samo jak Wacław Krzeptowski. Także jego przodkiem był Sabała. Józek Krzeptowski kochał i znał Tatry jak mało kto. W Zakopanem nazywali go Ujkiem.

Skończył ledwie kilka klas, lecz interesował się światem. Szanował, jak wielu Podhalan, Wincentego Witosa. Kiedy w 1933 roku Witos uciekł na Morawy w obawie przed osadzeniem w Berezie Kartuskiej, przerzut organizowali właśnie Krzeptowscy. Sam Józek nosił przez zieloną tatrzańską granicę PSL-owskie listy i instrukcje. Może robił to dla idei, choć mógł też za noszenie dokumentów brać pieniądze. Za rządami sanacji nie przepadał. Mimo to dołożył parę złotych, gdy zjazd rodziny Krzeptowskich fundował karabin maszynowy dla wojska.

Jan Krupski, przewodnik tatrzański, opowiadał, że w 1938 roku wywiad wojskowy zorganizował dla garści młodych zakopiańczyków obóz na Wołoszynie, by na wypadek wojny wiedzieli, co robić. Józek miał być wśród nich, choć swoich antysanacyjnych poglądów nie ukrywał.

Zwrócono się do niego, gdy generał Edward Rydz-Śmigły postanowił w 1941 roku wrócić do Polski. Krzeptowski odmówił. Nie chciał iść w góry z człowiekiem, którego obwiniał za przegraną kampanię wrześniową. Rydza przeprowadził więc przez Tatry Stanisław Frączysty.

Ujek nosił na Węgry mikrofilmy, meldunki, papiery. Do Polski – kilogramy dolarów i przedwojennych złotówek, niezbędnych dla państwa podziemnego.

Józek Krzeptowski przeszedł przez góry pięćdziesiąt osiem razy.

– Pytałem Józka, po co tyle razy lazł przez te góry, narażał się, niewiarygodnie wprost mordował – mówił nam dziennikarz Wojciech Adamiecki, mieszkający przez lata w Zakopanem przyjaciel Ujka. – Jak na wszystko tak i na to miał gotową odpowiedź: „Powiem ci, Wojtuś, że jak znasz góry, to wielkiego ryzyka nie ma. Niemcy bali się chodzić, ja nie. No i cała Polska miała wiedzieć, że jest w Zakopanem taki jeden Krzeptowski, prawdziwy polski bohater”.

Bo innego Krzeptowskiego uważał za zdrajcę. Gdy Józek prowadził na Węgry pierwszych lotników, jego stryjeczny brat Wacław wkładał góralskie portki i kapelusz z muszelkami, by przed gubernatorem Hansem Frankiem zhołdować Podtatrze, ściskał dłoń Himmlerowi.

Podobno – tak chce podhalańska legenda – przez pewien czas Wacuś ukrywał się w górskiej kolibie opodal Iwaniackiej Przełęczy, która była również schronieniem

kurierów. Podobno doszło tam do spotkania obu kuzynów. A może wódz Goralenvolku i najlepszy tatrzański kurier widzieli się kilka lat wcześniej, gdzieś w okolicy Doliny Pięciu Stawów. Tak też opowiadano na Podhalu. Podobno wtedy Józek zostawił Wacusiowi plecak z pieniędzmi niesionymi z Węgier. Wszystkie miały dotrzeć do adresatów.

Wiadomo za to, że Wacuś nigdy nie wydał Józka, choć – jeśli widzieli się w Pięciu Stawach – mógł mu zaszkodzić. A Józek?

– Jakoś pogardzał nim – opowiadał Wojciech Adamiecki. – Mówił: „Wacuś to był nawet niezły chłop, tylko sakramencko głupi”.

– Z wielkim trudem nosił to samo nazwisko co Wacuś – uzupełnił Antoni Kroh. – Kolaboracja to dla Józka był prawdziwy szok, nieszczęście, dramat. Wacuś sponiewierał etos góralski, ale kuzynowi należy jakoś pomagać, do zdrajcy się strzela, ale swojego ruszyć nie wolno; wszystko to było cholernie nieproste. Jeszcze w latach pięćdziesiątych górale jadący do Krakowa ściągali regionalne stroje, tłumili gwarę. Wacek Krzeptowski sprowadził na Podhale wielki wstyd.

Władysława Krzeptowska była przekonana, że „kurierstwo” jej ojca uratowało honor rodu Krzeptowskich. I że Józek chodził na Węgry również po to, by Krzeptowscy mogli po wojnie spacerować po Zakopanem z podniesioną głową. Opowiadała też, że w styczniu 1945 roku ojciec wrócił do miasta akurat tego dnia, gdy akowcy, tropiąc kolaborantów, dotarli na Podhale aż z Beskidów i złapali Goralenfürsta. Józek szedł w górę od Krzeptówek ku chałupie w Kościelisku, przez lata okupacji służącej mu za kryjówkę, gdy natknął się na partyzantów prowadzących Wacusia Krzeptowskiego pod świerki.

Krzeptowska wspominała:

– Tata prosił, żeby Wacusia nie wieszali, choć to zdrajca i podlec. Zakopane było już wolne, Niemcy uciekli, więc należał mu się uczciwy sąd. „Idźcie swoją drogą – odpowiedzieli – jeśli chcecie żyć”, a Wacusia pociągnęli pod smreki. Nie chcieli dla niego prawdziwego sądu, więc ojciec po wojnie miał ich za dziadów.

A może opowieść Władysławy to też tylko legenda?

O pierwszych zakopiańskich dniach 1945 roku opowiada się ich dość, a sporą garść dołożył sam Józek Krzeptowski. Według jednej NKWD, uzbrojone w dokładne informacje na temat podhalańskiego podziemia, po kilku dniach niuchania zabrało go z domu. Według innej – szedł przez targ przy ulicy Kościeliskiej, wystrojony w góralski strój jak na wesele, może lekko wypity, rozśpiewany, tak cieszył się z odzyskanej wolności, zapewne też czuł się jak bohater, wszak za wojenne wyczyny dostał dwa

Krzyże Walecznych. Ubecy znienacka chwycili go za ręce i nogi, rozhuśtali jak snopek zboża i wrzucili na pakę ciężarówki. Nikt nie zareagował.

Gdy po czterech latach puszczali Józka z łagru – zwolnionego wraz z garstką innych akowców dzięki interwencji kardynała Hlonda – usłyszał na przeprosiny, że szło o innego Krzeptowskiego.

Wrócił do Zakopanego. Stróżował przy budowie schroniska w Dolinie Pięciu Stawów Polskich, oprowadzał wycieczki po Tatrach. W 1966 roku, pięć lat przed śmiercią, Józek Krzeptowski odebrał Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski, należny mu jak mało komu.

*

Tatrzańscy kurierzy w czasie hitlerowskiej okupacji chodzili przez wierchy z rozkazami polskiego podziemia, nierzadko w tajemnicy przed swoim dowództwem. Wędrowali też po wojnie i jeszcze przed jej wybuchem. Pokonywali strome żleby, percie i szczyty. Najlepiej nocą, żeby nikt ich nie widział. Często zimą. Wtedy oprócz słowackich i niemieckich pograniczników – ci ostatni rekrutowali się między innymi spośród strzelców alpejskich – musieli też wystrzegać się lawin. Byli obładowani plecakami, które nie mogły wpaść w niepowołane ręce. Nosili meldunki, rozkazy, korespondencję i duże pieniądze w gotówce, nieraz kryjąc się po szałasach przed śmiercią od kuli i odmrożeniami. Przerzucali ludzi. Z Zakopanego przez Mały Giewont, Kopę Kondracką, Tomanową do Szczyrbskiego Jeziora i dalej na szosę prowadzącą do słowackiego Popradu. Lub przez Tatry Wysokie. Albo z Doliny Chochołowskiej przez Staroroboci ański Wierch, Rakoń, Grzesia lub przez Suchą Horę na Orawę. Potem samochodami z umówionymi ludźmi przez Słowację. A z Rożniawy (wtedy węgierskiej, dziś słowackiej) pociągiem do Budapesztu.

[^] Kurier tatrzański Józef Krzeptowski (fot. Władysław Werner)

Nieżyjący już Wincenty Galica, jeden z tatrzańskich kurierów, policzył dokładnie, ilu ich wszystkich było – trzydzieścioro siedmioro. Galica sporządził listę w kolejności alfabetycznej, przy każdym kurierze zapisując datę jego urodzin i źródło dokumentów świadczących o służbie. Wszystko po to, żeby nie dochodziło do nieporozumień i fałszerstw. Byli bowiem tacy, którzy w powojennych latach przypisywali sobie nieprawdziwe kurierskie wyprawy.

Wśród kurierów można znaleźć góralskich sportowców, przewodników tatrzańskich, a także żołnierzy.

Według Wincentego Galicy przez Tatry chodzili: Jan Bobowski, Wacław Felczak, Józef Fitrzyk, Andrzej Frączysty, Gustaw Frączysty, Stanisław Frączysty, Wincenty Galica, Jan Gąsienica-Kręty, Władysław Gąsienica-Roj, J. Eugeniusz Gąsienica-Sieczka, Józef Gąsienica-Zuzaniak, Krystyna Giżycka, Maria Hulewicz, Stanisław Karpiel, Filip Feliks Klaper, Józef Krzeptowski, Andrzej Krzysiak, Jan Kula, Stanisław Kula, Ludwika Leśniak, Stanisław Łaś, Jan Łożański, Jan Marusarz, Stanisław Marusarz, Helena Marusarzówna, Wanda Modlibowska, Stanisław Motyka, Andrzej Podczerwiński, Ludwik Polakiewicz, Bronisław Przybylski, Franciszek Roman, Zbigniew Ryś, Rudolf Samardak, Włodzimierz Szyc, Aleksander Wróblewski, Czesław Wrześniak, Stanisław Wrześniak.

Galica w swoich zapiskach wyraźnie zaznaczył, że wymienił tylko kurierów tatrzańskich, którzy działali w strukturach ZWZ-AK. Tych, którzy chodzili z meldunkami inną drogą, choćby przez Beskidy w okolicach Nowego Sącza, na jego liście nie ma. Nie ma też tych, którzy na własną rękę organizowali szmugiel – ludzi i towarów – przez Tatry.

Co nazwisko z listy Galicy, to historia. Dowódcą kurierów był Wacław Felczak. Ale próżno go szukać w powojennej książce Alfonsa Filara *Opowieści tatrzańskich kurierów*, do dzisiaj głównej pozycji na ten temat. Pewnie dlatego, że Filar był podpułkownikiem MO. A Felczak chodził z meldunkami przez Tatry jeszcze po wojnie i trafił za to do więzienia.

Miał dwa lata, gdy Polska odzyskała niepodległość w 1918 roku. W 1934 roku został studentem historii na Uniwersytecie Poznańskim, zaczął też uczyć się węgierskiego. Rok przed wybuchem wojny ukończył studia i jako stypendysta wyjechał do Budapesztu, by zebrać materiały do pracy doktorskiej. Wakacje 1939 roku spędził w Polsce. Tu zastał go wybuch wojny. Dzięki znajomości węgierskiego i Budapesztu – gdzie utworzono placówkę łączności pomiędzy rządem na emigracji a krajowym podziemiem – był idealnym kandydatem na kuriera. Do Związku Walki Zbrojnej,

a następnie Armii Krajowej, trafił przez lewicowe Stronnictwo Pracy (gdzie jeszcze przed wojną działał jego brat) i tworzący się Centralny Komitet Organizacji Niepodległościowych, który pierwotnie miał konkurować z ZWZ, ale ostatecznie mu się podporządkował.

Felczak mówił nie tylko po węgiersku, ale też po niemiecku, czesku i słowacku. Świetnie nadawał się na trasę Warszawa–Budapeszt, dlatego Armia Krajowa powierzyła mu dowództwo nad wszystkimi kurierami.

Trzy razy go złapano, ale nigdy w Tatrach. Dwa razy na Węgrzech. Za pierwszym razem w 1941 roku w Budapeszcie, gdy władze węgierskie sprzyjały Niemcom. Prędko go wypuszczono dzięki wstawiennictwu madziarskich znajomych. Gorzej było trzy lata później, gdy do Budapesztu wkroczył Wehrmacht. Podczas ucieczki z Budapesztu w stronę Bratysławy został złapany przez węgierskich żandarmów. Wyskoczył z okna aresztanckiej celi. Złamał nogę, ale udało mu się zbiec. Dzięki pomocy przypadkowych Słowaków przedarł się do Polski, gdzie walczył w partyzantce w Gorcach. Po wyzwoleniu pojechał do Krakowa. Po trzech miesiącach znów wrócił na kurierski szlak, by pracować dla rządu londyńskiego. W 1947 roku został złapany w czeskiej Ostrawie, kiedy pomagał uciec z Polski przywódcom PSL Stanisława Mikołajczyka. W Polsce skazano go na dożywocie. Wyszedł dzięki amnestii w październiku 1956 roku. Po blisko dwudziestu latach znów pojawił się na uczelni, tym razem na Uniwersytecie Jagiellońskim. Pozostał specjalistą od historii Węgier. W latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych wspierał węgierską opozycję. Chętnie jeździł do Zakopanego, by odwiedzić mieszkającą tu siostrę, a także po to, by powspominać, jak podczas wojny chodził przez Tatry z góralami – choćby ze znakomitym przedwojennym skoczkiem narciarskim Stanisławem Marusarzem czy Józkiem Krzeptowskim.

*

Edwarda Rydza-Śmigłego przeprowadził przez Tatry w październiku 1941 roku Stanisław Frączysty z Chochołowa. Nic nie wiedział o tym nawet jego dowódca Wacław Felczak, któremu Frączysty nie przyznał się, że uczestniczy w planie obozu sanacji, oskarżanej przez otoczenie generała Władysława Sikorskiego o doprowadzenie do klęski we wrześniu 1939 roku.

Felczak nie miał pojęcia o misji, dlatego uznał, że góral zaginął, gdy ten nie zameldował się u niego w Budapeszcie. Bał się, że aresztowali go hitlerowcy, którzy torturami mogli wymusić na nim zeznania o siatce kurierskiej. Ktoś jednak zauważył Frączystego na budapeszteńskim dworcu. Felczak odnalazł go w jednym z pociągów

odjeżdżających w kierunku Słowacji, zażądał od niego wyjaśnień i zarzucił mu dezercję. Nie zwrócił uwagi na starszego pana z brodą i w okularach, jednego z towarzyszy podróży Frączystego. Frączysty i jegomość pojechali dalej, bo Felczak złapany na jeździe bez biletu musiał wysiąść z pociągu. Felczak twierdził, że dopiero po wojnie dowiedział się, że w przedziale kuriera był Rydz-Śmigły – stało się to wtedy, gdy władza ludowa zarzuciła mu, że to on pomagał sprowadzić marszałka do Polski.

Sam Stanisław Frączysty również utrzymywał, że przedstawiciele obozu sanacyjnego na początku nie powiedzieli mu, kogo ma prowadzić przez Tatry. Marszałka rozpoznał dopiero w pociągu.

Przy ścieżce pomiędzy słowacką Suchą Horą a polskim Chochołowem – którędy został przeprowadzony Rydz-Śmigły – od 1993 roku leży głaz upamiętniający to zdarzenie.

W 1942 roku Stanisław Frączysty został schwytany przez Niemców i wywieziony do Auschwitz. Przeżył wojnę. W 2006 roku wręczył Benedyktowi XVI znicz pod ścianą straceń na terenie byłego nazistowskiego obozu.

– Cieszę się, że udało mi się dożyć takiej chwili. Odwiedzenie Auschwitz to symboliczny gest papieża, który jest Niemcem – mówił wtedy.

*

Przez Tatry chodziła też Krystyna Skarbek – uczestniczka konkursów Miss Polonia i Miss Nart – w której przed wojną kochało się pół Zakopanego, gdzie chętnie spędzała czas. Była córką hrabiego Jerzego Skarbka i Stefanii Goldfeder z rodziny bogatych żydowskich przemysłowców. Na liście Wincentego Galicy figuruje jako Krystyna Giżycka. Tuż przed wojną wyszła za mąż (po rozwodzie z pierwszym mężem przedsiębiorcą Karolem Getlichem) za dyplomatę Jerzego Giżyckiego, poznanego na nartach w Zakopanem. Wybuch wojny zastał ich w Etiopii, gdzie Jerzy został konsulem generalnym. Wyjechali do Francji – tam Krystyna rozstała się z mężem i trafiła do Anglii, by zaciągnąć się do służby wywiadowczej. Przerzucono ją do Budapesztu, skąd przez Słowację i Tatry chodziła do Zakopanego. W stolicy Węgier została aresztowana. Podczas przesłuchania na gestapo przegryzła sobie język i zaczęła pluć krwią – tak symulowała zaawansowaną gruźlicę, dzięki czemu została zwolniona. Później prowadziła działalność wywiadowczą dla aliantów między innymi we Francji. Została odznaczona Orderem Imperium Brytyjskiego i francuskim Krzyżem Wojennym. Churchill mówił, że jest jego ulubioną agentką. Po wojnie pracowała jako stewardesa na statkach pasażerskich kursujących z Anglii do Afryki Południowej. Na takim statku

poznała Iana Fleminga – twórcę postaci Jamesa Bonda. Połączył ich romans, a Krystyna najpewniej była pierwowzorem dziewczyny najsłynniejszego filmowego agenta.

W 1952 roku została zamordowana nożem przez stewarda Dennisa Muldowneya, którego oświadczyny odrzuciła.

*

Wacława Felczaka pochowano 29 października 1993 roku na Pęksowym Brzyzku w Zakopanem, zaledwie kilka tygodni po otrzymaniu przez niego tytułu profesora historii na Uniwersytecie Jagiellońskim. Chciał spocząć tam, gdzie w 1971 roku pochowano Józefa Krzeptowskiego. W kondukcie oprócz polskich delegacji szli też liczni Węgrzy. Na pogrzeb swojego dawnego dowódcy przyszedł Stanisław Marusarz. Opowiadał, jak raz w górskiej kolibie nastraszył Felczaka, podając się za niemieckiego pogranicznika.

– Wacek, przepraszam cię za to – zdążył tylko powiedzieć. Serce nie wytrzymało wzruszenia. Marusarz umarł nad grobem Felczaka.

W 2009 roku zmarł w Chochołowie Stanisław Frączysty. Rok później odszedł Wincenty Galica – ostatni żyjący tatrzański kurier.

*

Gdyby Niemcy złapali Józka Krzeptowskiego w górach, raczej nie doczekałby końca wojny.

Klaudia Tasz wspominała:

– Brat mojej babci Julek Hoły urodził się tuż przed Bożym Narodzeniem 1916 roku. Był narciarzem i instruktorem, członkiem najstarszego w Polsce klubu narciarskiego SN PTT-1907. Dokładnie tak jak ja. W publikacji jubileuszowej na stulecie klubu zapisano: „Jeden z najbardziej utalentowanych juniorów SN PTT”. Sięgam zatem do „Kroniki SN PTT Zakopane”, wówczas ręcznie spisywanej przez Józefa Zubka, i znajduję wyniki sportowe Julka. Styczeń 1935: wygrał bieg rozstawny juniorów, grudzień 1936: szesnaste miejsce w „biegu rozstawnym o Mistrzostwo Polski 1937” na dziesięć kilometrów (tu wyraźnie startował z seniorami), styczeń 1938: piętnaste miejsce w biegu na kilometry o „Mistrzostwo Okręgu PZN”. Kiedyś na Pysznej stało schronisko, które należało do klubu Julka, i rozgrywano tam zawody narciarskie. W 1945 roku zostało ono ostrzelane pociskami artyleryjskimi przez wycofujących się Niemców i spłonęło. Julek miał tam zrobione jedno z ostatnich zdjęć. Uśmiechnięty, w grupie innych narciarzy, obok Stanisława Marusarza. Wpatruję się w tę wyblakłą

fotografię – nie wiedział, co go czeka. Nie dopuszczał do siebie złych myśli, gdy w grudniu 1939 roku pozował do ostatniego zdjęcia paszportowego w znanym zakopiańskim zakładzie fotograficznym. Niezbędne były „nowe dokumenty” – chciał być kurierem tatrzańskim. Miał zaledwie dwadzieścia trzy lata. Kurierem nie zostawało się tylko dzięki tatrzańskim umiejętnościom. Być kurierem oznaczało położyć swoje życie na szali w umiłowaniu wyższych wartości. To kroczenie po cienkiej linii w pełni świadomości i odpowiedzialności za to, kim się jest i dokąd się zmierza. Kurier tatrzański to przede wszystkim człowiek wolny. Wolny nawet w chwili pojmania i śmierci. Julek poznał magię Tatr, więc wiedział, jaki wymiar ma tutaj wolność. Góry ukształtowały jego charakter i silną wolę działania. To właśnie smak wolności sprawił, że w 1940 roku Julek Hoły ruszył w stronę Pysznej, na trasę Zakopane–Budapeszt.

[^] Juliusz Hoły

Jego dalsze losy możemy odtworzyć już tylko na podstawie szczątkowych, suchych informacji archiwalnych. Dotarł do nich Bartosz Bartyzel, pracownik Państwowego Muzeum Auschwitz-Birkenau.

Hoły po aresztowaniu trafił do Auschwitz w drugim transporcie polskich więźniów politycznych, 20 czerwca 1940 roku. W liczącym trzysta trzynaście osób transporcie z więzienia w Nowym Wiśniczu i Krakowie znajdowali się głównie przedstawiciele inteligencji krakowskiej i z Podhala. W gronie tym było wielu duchownych, adwokatów, nauczycieli, studentów.

Julka Hołego w obozie oznaczono numerem 781. W trakcie rejestracji stał więc gdzieś w pobliżu wybitnego polskiego rzeźbiarza i malarza Xawerego Dunikowskiego (o numerze obozowym 774).

Izydor Łuszczek-Gąsienica, jeden z więźniów tego transportu, opisując piekło Auschwitz i zwodnicze przesłanie hasła: „*Arbeit macht frei*”, wspominał:

> Tak hitlerowcy drwili z ludzi, którzy naprawdę wolnymi stawali się wówczas, gdy zabierała ich śmierć – z głodu czy z wycieńczenia, chorób zakaźnych, gdy ginęli rozstrzeliwani masowo lub zagazowani cyklonem. Tylko nielicznym spośród moich znajomych udało się przetrwać całą tę gehennę i po rozbiciu Niemiec hitlerowskich powrócić na Podhale.

Ostatni ślad po tatrzańskim kurierze to dokument z 18 lutego 1942 roku – wpis w księdze bloku 28. Choć był on szumnie zwany szpitalem, w obozowej rzeczywistości zwykle był przedsionkiem śmierci. Nie znamy daty i okoliczności śmierci Julka. Wiemy jedynie, że w Tatry nigdy już nie powrócił…

To, że Julek został aresztowany jako kurier, spowodowało, że obserwowana zaczęła być także jego rodzina. Ojciec Stanisław Hoły porąbał narty i spalił je pod domem. Uwłaczało jego godności oddawanie tak cennego sprzętu okupantowi. Podzielił los syna. Wywieziony do Auschwitz nigdy już z niego nie powrócił. Kolejna podhalańska rodzina, którą los na trwałe złączył z tragiczną historią II wojny światowej.

Tatra Bergwacht

W czasie wojny Tatrzańskie Ochotnicze Pogotowie Ratunkowe funkcjonowało pod niemiecką kuratelą i niemiecką nazwą – Freiwillige Tatra Bergwacht. Ratownicy znosili z gór niemieckich turystów. Po wojnie wspominali, że nie robili tego zbyt chętnie. Naczelnikiem Pogotowia był Zbigniew Korosadowicz. Wołano na niego Korek. Nie tylko ratował ludzi w górach, ale i ratował przed wywózką do Niemiec, wydając kilkaset legitymacji, choć w TOPR-ze było raptem kilku zawodowych ratowników. Dla wielu młodych górali legitymacja Tatra Bergwacht była jedynym zabezpieczeniem przed robotami w Rzeszy. Lecz według powojennej terminologii Korosadowicz i ratownicy mogli być uznani za kolaborantów.

– Najczęściej chodziliśmy po Niemców na Giewont, zawsze w asyście dwóch strzelców alpejskich, austriackich górali – wspominał Stanisław Wawrytko, wówczas nastoletni ratownik. – Czasem przetrzymaliśmy jakiego Niemca kilka godzin dłużej na skalnej półce, czasem postraszyliśmy przy zejściu. Jednak TOPR-owska przysięga jest jak przysięga Hipokratesa: ratujemy ludzi, niezależnie od tego, kim są.

Korosadowicz rysował dla Niemców mapy panoramiczne Tatr. Musieli mu ufać, skoro użyczali zdjęć lotniczych, kiedy przez góry, również z pomocą ratowników, szli kurierzy Polski Podziemnej. Pisywał korespondencje z Tatr do okupacyjnej gadzinówki.

Za to podpadł władzy ludowej.

*

Inny Wawrytko, Andrzej, przewodnik tatrzański pierwszej klasy, chodził na gestapo. Od Niemców dostał kryptonim „Wino 29”.

Po wojnie zeznał:

> W roku 1944, 15 lutego, kiedy więziony byłem jeszcze w więzieniu niemieckiego Gestapo, zawołał mnie oficer Gestapo, który […] razem z tłumaczem Gestapo Klimczokiem proponował mi tajną współpracę z Niemcami. Na co ja się zgodziłem. W biurze wypełniłem wszystkie formularze, w których był złożony mój życiorys. Podpisałem, że będę tajno współpracował z niemieckim Gestapem i że będę im pomagał w wyjaśnieniu, kto jest źle nastawiony przeciw Niemcom i kto prowadzi pracę przeciw niemieckiemu rządowi. W chwili podpisywania współpracy z Niemcami było posiedzenie, żeby nie wyjaśniać tajemnic współpracy z Gestapem. Dostałem pseudonim „Wino 29”, pod którym ja miałem podpisywać doniesienia. Zadania od Gestapo: wykrycie zgrupowań sowieckich

partyzantów i żołnierzy AK na terenie Zakopanego, wyjawić sowieckich wywiadowców […], o wykonaniu tych zadań miałem donieść niemieckiemu Gestapu […].

Wcześniej Andrzej Wawrytko brał udział w zakopiańskich powitaniach Himmlera i innych hitlerowskich dostojników, organizując im pokazy podhalańskich tańców. Wysyłał też uczniów szkoły drzewnej, w której pracował, na roboty sezonowe do Niemiec.

Po wojnie trafił na roboty do ZSRR, później odsiadywał jeszcze wyrok w więzieniu w Wiśniczu. Zmarł w 1961 roku.

*

Wawrytkowie to znamienity góralski ród. Byli wśród pierwszych tatrzańskich ratowników, pomagali wyznaczać szlaki w górach. A jeden z nich zasłynął pracą przy stawianiu krzyża na Giewoncie, górującego nad Zakopanem.

Jakub Wawrytko przewodził u progu XX wieku grupie zakopiańskich kamieniarzy. W jubileuszowym 1900 roku do księdza Kazimierza Kaszelewskiego, proboszcza z Zakopanego, dotarły wieści o olbrzymich krzyżach stawianych przez włoskich górali. Pomysł tak mu się spodobał, że zaczął na ten temat głosić kazania.

Nad wyborem góry nie było co się zastanawiać. Wszak już Walery Eljasz-Radzikowski, autor XIX-wiecznych przewodników po Tatrach, zauważył: „Z każdej prawie chaty Giewonta widać, toteż słusznie mu się należy tytuł króla zakopiańskiego”.

Górujący nad Zakopanem Giewont ma najbardziej charakterystyczny kształt ze wszystkich szczytów w całych polskich Tatrach – wielu przypomina uśpionego rycerza.

[^] Zbigniew Korosadowicz

– W czasach młodopolskich, gdy kraj był pod zaborami, chętnie wyobrażano sobie rycerzy Chrobrego zaklętych w skałach, którzy budzą się i przepędzają zaborców – opowiadał nam Antoni Kroh.

W Masywie Giewontu leżą: Wielki Giewont, Mały Giewont i Długi Giewont. To na Wielkim Giewoncie (1894 m n.p.m., najwyższym szczycie w Tatrach Zachodnich znajdującym się w całości po polskiej stronie) umieszczono krzyż.

Niektórzy nazwy góry doszukują się w nazewnictwie niemieckim. Miałaby oznaczać skalną ścianę.

Ale Mariusz Zaruski, twórca TOPR-u, pisał, że wyprowadzanie nazwy Giewontu od słów niemieckich nie wydaje mu się trafne:

> W Tatrach bardzo wiele nazw początek swój wzięło od imion własnych ludzi. Natomiast nie można zanotować przykładu odwrotnego, tj. wyprowadzania nazwisk ludzi od nazwy góry. W Zakopanem zaś po dziś żyje ród Giewontów. Prawdopodobnie też on nadał imię tej górze

– argumentował.

Najpierw, na próbę, postawiono krzyż drewniany. Miał dziesięć i pół metra wysokości. Kiedy uczestnicy eksperymentu – proboszcz w asyście komisarza klimatycznego Zakopanego i grupy parafian – po całodniowej eskapadzie zeszli do Zakopanego, gołym okiem zobaczyli na Giewoncie wyraźnie zarysowany kontur krzyża. Zapadła decyzja o zamówieniu konstrukcji metalowej.

Zadania podjęła się krakowska fabryka inżyniera Józefa Goreckiego. Po wizji lokalnej w Tatrach inżynier wszystko dokładnie rozrysował. Zaprojektował kratownicę jeszcze potężniejszą od drewnianego pierwowzoru: wysokość – 17,5 metra, z czego 2,5 metra postanowiono wpuścić w skały, waga – 1819 kilogramów. Na całość złożyło się czterysta pojedynczych elementów. Do Zakopanego ładunek przywieziono nową koleją żelazną, która niedługo przedtem po raz pierwszy dotarła pod Tatry po dopiero co ułożonych torach.

3 lipca 1901 roku, po mszy odprawionej w kościele parafialnym w Zakopanem, wyruszyło dwieście pięćdziesiąt osób i osiemnaście wozów konnych, wioząc elementy krzyża na Halę Kondratową. Dalej wszystkie części krzyża oraz czterysta kilogramów cementu i dwadzieścia kilka konewek wody niesiono na plecach na Giewont.

– Dziadek wspominał, że cement podzielono na paczki o różnym ciężarze – opowiadał nam Stanisław Wawrytko, który brał udział w akcjach Tatra Bergwacht. – Ile kto mógł unieść, tyle brał. Ciężko było.

W drodze, tuż pod szczytem górali murarzy dopadła burza. Grzmiało i błyskało nie na żarty. Górale bali się, że żelastwo, które dźwigają, może ściągnąć na nich pioruny. Dlatego Jakub Wawrytko przeżegnał się, jak nakazywał bogobojny zwyczaj. Inżynier Gorecki z rozbawieniem patrzył na zabobonnego górala. Instruował go wyniośle, że po sile grzmotu można poznać, jak daleko od nich jest burza. Ledwo to powiedział, grom walnął prosto w szczyt Giewontu, tam, gdzie mieli stawiać krzyż. Gorecki w panice przeżegnał się trzykrotnie.

„Trza sie żegnoć roz, a dobrze" – tym razem to Wawrytko instruował roztrzęsionego inżyniera.

Trwające sześć dni prace montażowe na szczycie zakończono 9 lipca 1901 roku. Krzyż ma 15 metrów wysokości, jego ramię poprzeczne – 5,5 metra długości. Ma konstrukcję kratową, a przeguby skręcane.

Poświęcono go 19 sierpnia 1901 roku. Po mszy odprawionej w Zakopanem o godzinie siódmej rano wyruszyli na Giewont z procesją mieszkańcy miasta i około trzystu specjalnie na tę okazję zaproszonych gości. Po poświęceniu dano ze szczytu znak dużą białą chustą, aby uderzono w dzwony w Zakopanem.

– Z Giewontu z Zakopanem była stale utrzymywana łączność – wspominał wnuk Jakuba Wawrytki. – Katarzyna, żona Jakuba, a moja babka, nosiła z Zakopanego na Giewont jedzenie. A żeby po próżnicy nie gonić tylko z samym prowiantem, to jeszcze zawsze wzięła ze sobą torebkę z cementem lub konewkę z wodą.

Jakub Wawrytko nieprzypadkowo trafił do ekipy inżyniera Goreckiego. Wyuczył się wcześniej kamieniarstwa. Do tego Tatry znał wtedy jak mało kto. Na wyprawy chodził z samym Klimkiem Bachledą, uznanym za najlepszego wśród przewodników. Dlatego, kiedy kilka lat później Mariusz Zaruski założył Tatrzańskie Ochotnicze Pogotowie Ratunkowe, Wawrytko znalazł się w pierwszej grupie ratowników. W rodzinnych zbiorach zachował się przewodnik z 1913 roku, który Jakub otrzymał od naczelnika Zaruskiego z wpisaną dedykacją: „Przewodnikowi I-wszej k. Jakóbowi Wawrytce Krzeptowskiemu Sekcya Narciarska T.T.". „Ó" w imieniu to nie błąd, takie reguły pisowni narzucała ówczesna ortografia. A skąd nagła zmiana nazwiska?

– Bo my kiedyś nazywaliśmy się Krzeptowscy, jako potomkowie Krzeptowskiego-Sabały z Kościeliska – tłumaczył Stanisław Wawrytko. – Ale później doszło z linią z Kościeliska do sporu o prawo używania nazwiska. Zakopiańscy Krzeptowscy przegrali proces w sądzie.

*

Po wojnie Oppenheim wrócił na stanowisko. Zastrzelono go – tak mówili – za komunizowanie, a może za żydowskie pochodzenie. Ale mogło być tak, jak opowiadał Wojciech Adamiecki:

– Oppenheim odkrył jakieś nadużycia w Pogotowiu, groził, że zawiadomi UB. Jak gadał, że powie, to zrobiono tak, by nie powiedział.

Zanim Opcio zjechał w 1910 roku do Zakopanego, konspirował w III Proletariacie, niewielkiej lewicowej partii założonej przez politycznych uciekinierów z PPS, bardziej stawiającej na walkę klas i terror niż na niepodległość Polski. Drukował i rozprowadzał bibułę. Nielegalnie przekraczał granice zaborów. Po linie splecionej z prześcieradeł uciekł z carskiego więzienia. Studiował na kilku uczelniach: we francuskim Nancy, Fryburgu, w Berlinie, we Lwowie. Jedna z wersji mówi, że za czasów II RP pracował w polskim wywiadzie.

W 1912 roku Oppenheim złożył przysięgę ratownika Tatrzańskiego Ochotniczego Pogotowia Ratunkowego. Do TOPR-u przyjął go sam Mariusz Zaruski. Gdy dwa lata później Zaruski poszedł do Legionów (w wojsku dosłużył się generała, był adiutantem prezydenta Stanisława Wojciechowskiego), zostawiał TOPR Oppenheimowi. Ten był nie tylko świetnym taternikiem i fotografem, ale też duszą towarzystwa. Bywał w zakopiańskich kawiarniach, rozkochiwał w sobie kobiety.

Kiedy Hitler w 1938 roku wszedł do Czechosłowacji, kilku TOPR-owców biegało na południową stronę Tatr podglądać słowackie wojsko i niemieckich oficerów, którzy we wrześniu 1939 roku zajęli Zakopane. Opowiadali, że robili to za wiedzą i zgodą Oppenheima.

W pierwszych dniach września 1939 roku Opcio uciekł z Zakopanego na harleyu z demobilu. Zabrał ze sobą kasę TOPR-u, którą zostawił w Krakowie. I papierzyska, których nie ma, choć może były bardzo ważne.

Chciał do Warszawy, lecz rzeka uciekinierów zepchnęła go na wschód. Początek sowieckiej okupacji Kresów spędził w Kowlu, używając konspiracyjnego nazwiska z czasów III Proletariatu, u kobiety, siostry rosyjskiego rewolucjonisty, który w Zakopanem poznał go z Leninem.

Przedarł się do okupowanej przez Niemców Warszawy, choć nie powinien tego robić; po zakopiańskich wyczynach, górskich i knajpianych, był osobą publiczną. Znali go przecież świetnie Henryk Szatkowski i Wacław Krzeptowski. Mieli jego zdjęcia.

W powstaniu warszawskim pomagał przy ewakuacji szpitala na ulicy Hożej. Nosił na plecach rannych akowców. W Śródmieściu doczekał kapitulacji. Został ewakuowany

do Pruszkowa. Nikt go nie rozpoznał. Jego żydowska twarz nie zwróciła uwagi Niemców.

W kwietniu 1945 roku Józef Oppenheim był już w Zakopanem. Ktoś obrabował jego dom na Krzeptówkach, niedaleko domu Szatkowskiego. Zginęło kilka tysięcy fotografii.

Ratownicy proponowali, by wrócił na stanowisko naczelnika TOPR-u. Zdawało się, że nie ma konkurenta; nikt nie chciał wspominać czasów Tatra Bergwacht. I nagle pojawiło się oskarżenie: przed wojną Opcio zdefraudował pieniądze, niepotrzebnie ryzykował życie ratowanych, dla własnych korzyści nadmiernie bratał się z góralami. Oskarżał Korosadowicz, a wspierał go Witold Paryski, człowiek trudny, lecz z zasługami. Paryski, urodzony za oceanem, miał amerykańskie obywatelstwo. Musiał się go zrzec, by móc pozostać w Polsce Ludowej.

Opcio bronił się przed sądem koleżeńskim. Choć tak naprawdę oskarżał Korosadowicza o ciemne sprawki z wojennych czasów. Sąd orzekł ostatecznie, że Józio, Korek i Paryski byli niewinni. Oppenheim jednak już nie chciał do TOPR-u. 29 stycznia 1946 roku został zastrzelony w swoim domu na Krzeptówkach. O zabójstwo oskarżano partyzantów „reakcyjnego podziemia”, podejrzewano też pospolity napad.

W 1946 roku „Gazeta Ludowa” pisała:

> Ostatnio jednak utrwala się koncepcja, że morderstwo było dziełem rąk, które splamiły się już podczas okupacji współpracą z Goralenvolk, a dzisiaj chcą uchwycić ponownie wpływy na turystykę górską i związane z nią ratownictwo. Widzieli w nim niebezpiecznego konkurenta i zdecydowali się usunąć go ze swej drogi w najnikczemniejszy sposób.

*

Służbę w Tatra Bergwacht władza ludowa puściła ratownikom w niepamięć.

Z pewnością pomogła im w tym ta jedna akcja. 10 lutego 1945 roku z polany Zwierówka w słowackich Tatrach Zachodnich zszedł do Zakopanego, przedzierając się przez linię frontu, ukraiński sanitariusz Juraj Bernad. Przyniósł wieść, że w maleńkim szałasie czeka na ratunek kilku rannych, śmiertelnie wygłodzonych rosyjskich partyzantów. Wyprawa czternastu TOPR-owców (najmłodszy Stanisław Wawrytko miał dwadzieścia lat) była dla nich jedyną szansą przeżycia.

Do Doliny Chochołowskiej ratownicy pojechali saniami, a potem nocą, z toboganami przez głęboki po pas śnieg, z dala od ścieżek, przez Litworowy Żleb, ku grani Długiego Upłazu, przez Łuczniańską Przełęcz, na słowacką stronę, do Doliny

Łatanej i na Zwierówkę. Szałas, gdzie kryli się partyzanci, stał pośród świerków, w zasypanym wykrocie, raptem trzysta metrów ponad niemieckimi posterunkami.

[^] Tatra Bergwacht w akcji

Droga, którą ekspedycja dotarła na miejsce – pisał w książce wyjść ratunkowych TOPR-u Zbigniew Korosadowicz – była nie do przebycia z powrotem, zważywszy konieczność ciągnięcia rannych na toboganach. Z chatki, z której wyruszono ok. 3 nad ranem, spuściliśmy się wprost ku dnu doliny, po czym tuż ponad nim – przemykając się w odległości około 150 metrów od placówek niemieckich, podążono ku wylotowi Doliny Łatanej. Przetransportowanie toboganów z rannymi w tych warunkach było istotnie przedsięwzięciem niezwykle ciężkim i niebezpiecznym. Była to niewątpliwie najtrudniejsza i najbardziej niebezpieczna wyprawa, jakiej kiedykolwiek Pogotowie dokonało. Do Doliny Chochołowskiej przybyliśmy w dniu 12 lutego o 4 po południu.

[^] Tatra Bergwacht w akcji

Tego samego dnia strzelcy alpejscy patrolujący zbocza ponad Zwierówką spalili partyzancki szpitalik.

Dla większości uczestników akcja TOPR-owców na Zwierówkę stała się przepustką do normalnego życia.

– Chciałem być marynarzem, zdawałem do szkoły morskiej – opowiadał Stanisław Wawrytko. – Ale jak zobaczyłem te sowieckie pagony, to mi się odechciało. No i pytali mnie, jakie korzyści ma Polska z sowieckiej przyjaźni. A ja w Zakopanem widziałem te korzyści, więc powiedziałem, jak myślę. Skrzywili się, już wiedziałem, że mnie nie przyjmą. Zapytali o wojnę. Miałem ze sobą kwit, że poszedłem na Zwierówkę. Ruskim i naszym admirałom opowiadałem przez kilka godzin, jak było. Nic mi za tę przyjaźń polsko-sowiecką nie zrobili.

Przeciw „krzeptowszczyźnie”

Podobno zimą 1945 roku, gdy w Zakopanem AK wieszała Wacława Krzeptowskiego, szefa Goralenvolku, ten wręczył jednemu z partyzantów sznurek czerwonych korali. „Dajcie je »Ogniowi« – miał powiedzieć. – Może jemu przyniosą szczęście”.

Gdyby Wacław Krzeptowski stanął na drodze „Ognia”, nie miałby szans na przeżycie. O koralach usłyszeliśmy od Zbigniewa Kurasia, syna „Ognia”.

*

Czerwiec 1943 roku. Niemcy zatrzymali się pod Kurasiowym obejściem. Oblali benzyną drewniane ściany, podłożyli ogień.

Józef Kuraś „Orzeł” z samodzielnego oddziału Konfederacji Tatrzańskiej dość dał się Niemcom we znaki, więc spalili jego dom, zamordowali mu ojca, żonę i dwuipółletniego synka.

W czerwcu 1943 roku partyzant „Orzeł” zmienił pseudonim na „Ogień”.

Przed wojną Kuraś służył na Kresach, w Korpusie Ochrony Pogranicza, skończył szkołę podoficerską. Po klęsce wrześniowej chciał uciekać na Węgry i do Francji. Jednak już w październiku odnalazł się w Waksmundzie.

Niemcy tymczasem zajęli Zakopane. W powiecie nowotarskim dwadzieścia siedem tysięcy ludzi przyjęło kenkarty z literą „G”, w Waksmundzie było ich sześćdziesięcioro dwoje. Niektórzy dobrowolnie, innych przymuszono szantażem. Lecz byli również kolaboranci, którzy nie należeli do Goralisches Komitee.

Niemal od początku okupacji przewodnicy tatrzańscy przeprowadzali uchodźców i kurierów na Węgry. Ale aresztowania rozbiły pierwsze konspiracyjne struktury Związku Walki Zbrojnej. Mimo to w 1941 roku powstała Konfederacja Tatrzańska.

*

Konfederacja była odpowiedzią na Goralenvolk. Przystąpił do niej i Józef Kuraś, jeden z nielicznych z wojskowym doświadczeniem.

Konfederaci przyjęli deklarację ideową, występując przeciwko – jak pisali – „krzeptowszczyźnie”:

1. W poczuciu serdecznej i nierozerwalnej więzi, łączącej nas z walczącą w krwawym trudzie na wszystkich frontach świata Ojczyzną, my, posadowieni na góralskich jej rubieżach Polacy, zwieramy się w podhalańską linię bojową do

walki z ogólnoludzkim, a szczególnie naszym ciemiężącym nas od wieków, narodowym wrogiem – Niemcami.

2. Jesteśmy żołnierzami polskimi, którzy w oczekiwaniu na dany przez Polskę znak do ostatecznej walnej rozprawy, trwając w czynnym, zorganizowanym pogotowiu, przygotowują teren, gromadzą środki bojowe, ostrzą swe bronie i umysły, niszczą siły przeciwnika na wszystkich dostępnych dla nich odcinkach wewnętrznej pracy społeczno-politycznej.
3. Jako żołnierze podlegamy Rządowi Rzeczpospolitej Polskiej w Londynie i Naczelnemu Dowództwu Sił Zbrojnych w Kraju.
4. Nie mieszamy się do żadnych rozgrywek społeczno-politycznych pomiędzy Polakami, wychodząc z założenia, że Polak i żołnierz walczy o całość sprawy ojczystej, a nie o interesy poszczególnych partii i klatek społeczno-politycznych.
5. Dążymy do zjednoczenia całości narodu polskiego pod hasłem: Walka o wolną, niepodległą i demokratyczną Rzeczpospolitą Polską. Będziemy walczyć bezwzględnie ze wszystkimi, co temu hasłu się przeciwstawią.
6. Nie chcemy dla siebie żadnych nagród, przywilejów ni praw, poza tymi, które należą się wszystkim prawym Polakom. Walczymy, bo tak nam każe nasza polska i ludzka cześć, bo tak nam każe sumienie Polaka.
7. Ruchowi naszemu nadaliśmy odrębne formy organizacyjno-metodyczne tak, jak odrębne są zagadnienia, o rozwiązanie których na swoim terenie walczymy. W pierwszym rzędzie pragniemy nadać znowu świętość i niewzruszoną powagę owej bezwzględnej, a przyćmionej nieco przez „krzeptowszczyznę” prawdzie, że słowo góral znaczy to samo co Polak z ducha i krwi.
8. W walce tej zespalamy się karnie ze wszystkimi walczącymi na ziemiach polskich organizacjami – i nie cofniemy się w niej przed męką i upokorzeniem, przed ofiarą mienia ni krwi, przed utratą życia samego.

Wolna Niepodległa Demokratyczna Rzeczpospolita Polska Niech Żyje!!!

Na czele Konfederacji Tatrzańskiej z siedzibą w Nowym Targu stanęli: naczelnik Augustyn Suski, zastępca Tadeusz Popek, sekretarz Jadwiga Apostoł. Najlepiej z nich zakonspirowany był Popek, który pracował jako urzędnik w nowotarskiej policji kryminalnej. Suski był poetą, przedwojennym działaczem młodzieży wiejskiej. A panna Apostoł – nauczycielką.

Działalność rozpoczęli w powiecie nowotarskim, później także w sąsiednich: limanowskim, myślenickim i wadowickim. W sumie do organizacji przystąpiło około czterystu osób, wiele innych udzieliło im wsparcia na całym Podhalu.

Wydawali prasę podziemną, prowadzili sabotaż, uformowali oddział partyzancki. Chociaż Suski – w odróżnieniu od Popka – nie był zwolennikiem radykalnych metod. Wszystko trwało nieco ponad pół roku. Zdradził ich jeden ze współpracowników organizacji, niemiecki konfident Stanisław Wegner-Romanowski, znajomy Suskiego jeszcze sprzed wojny. Według Henryka Josta Wegner-Romanowski współpracował z wywiadem niemieckim już w czasach II Rzeczpospolitej.

Tadeusz Popek po torturach został rozstrzelany w zakopiańskiej siedzibie gestapo Palace. Augustyn Suski i Jadwiga Apostoł trafili do Auschwitz. Z kierownictwa Konfederacji wojnę przeżyła tylko Jadwiga.

*

Choć na początku 1942 roku Niemcy aresztowali przywództwo Konfederacji Tatrzańskiej, wszystkich konfederatów wyłapać nie mogli. Po wsiach już krążyły wieści o chłopcach z lasu. I o partyzancie „Orle”.

Wiosną 1943 roku na zlecenie Niemców poszli w Gorce dwaj policjanci, Polacy przebrani za turystów. Mieli odnaleźć siedzibę leśnych. Doszli do schroniska na Turbaczu, lecz z powrotem do Nowego Targu nigdy nie dotarli. Dlatego w czerwcu Niemcy otoczyli obejście Kurasiów. Po tym, co zrobili, nad ulicą wywiesili afisz: „Zemsta za naszych braci”.

– Od tego czasu – opowiadał nam Bolesław Dereń, historyk ruchu ludowego – „Ogień” nie miał żadnej litości dla konfidentów i kolaborantów.

Po konfliktach z oficerami AK – która za niesubordynację wydała na niego wyrok śmierci – poszedł pod komendę Batalionów Chłopskich. Spory z AK-owcami miały banalne podłoże; Kuraś był chłopem, akowcy inteligentami z miasta. Jego oddział został nazwany Ludową Służbą Bezpieczeństwa. Bolesław Dereń mówił, że z rozkazu powiatowej Delegatury Rządu w Nowym Targu Kuraś wykonywał wyroki na konfidentach, członkach Goralenvolku, volksdeutschach, strzygł kobiety współpracujące z Niemcami. Po kilku tygodniach jego żołnierze przestali być plutonem egzekucyjnym. Ale już niosło się na Podhalu, że „Ogień”, wykluczony z AK i z wyrokiem śmierci, bije, strzyże, morduje, nakłada kontrybucje. I że przez „Ognia” giną ludzie.

– Konfidentów było u nas dość – wspominał Władysław Kolasa z Waksmundu, który pamiętał „Ognia” jeszcze z posiadów na bacówkach. – Niektórych żal; jednego przerobili, bo nielegalnie świnię zabił, za co śmierć groziła, drugi ojca, brata ratował. Ale innemu wystarczyło dać wódki. „Ogień” nie strzelał do nikogo z własnej woli. W Waksmundzie był podziemny sąd, to on dawał wyrok. „Ogień” tylko wykonywał wyrok.

*

W Lublinie instalował się Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego, kiedy w Gorcach i w Tatrach pojawili się partyzanci AL i Rosjanie. Bolesław Dereń uważa, że to skręcający w lewo politycy ludowego podziemia nakazali „Ogniowi” współpracę z komunistami.

Izaak Gutman, w AL znany pod pseudonimem „Zygfryd”, mówił jeszcze w 1970 roku:

> 1 grudnia 1944 r. Józef Kuraś złożył na moje ręce pisemne oświadczenie, w którym deklarował poparcie dla programu i uznanie zwierzchnictwa PKWN […]. „Ogień” bardzo solidnie przestrzegał naszej umowy. Meldował o akcjach, zdobytej broni, przekazywał informacje o ruchach Niemców. Od tej chwili jego zwiad i placówki wiejskie były do naszej dyspozycji, a w […] Porębie Wielkiej, Rabie, Obidowej, Chabówce, Rdzawce, Kowańcu – wiejskie chaty stały przed nami otworem.

Ale to nie za to, tylko za wcześniejsze niepodporządkowanie się rozkazom AK wydała na „Ognia” wyrok śmierci, zresztą później anulowany.

Podczas słowackiego powstania przeciw administracji księdza Tisy wspólnie z sowieckimi partyzantami (ponoć miał romans z dowódcą jednego z oddziałów, kapitan Ludmiłą Gordijenko) „Ogień” likwidował niemieckich kolaborantów na Spiszu. Walczył ze słowackimi posterunkami granicznymi, wysadzał pociągi, przeprowadził przez góry sowieckie oddziały frontowe, które w styczniu 1945 roku okrążyły Nowy Targ. Bitwy o miasto nie było. „Ogień” zszedł z gór, powierzono mu, za poręczeniem sowieckich dowódców, organizowanie milicji.

W Wydziale Personalnym KC PPR, kierowanym przez Zofię Gomułkową, Józef Kuraś odebrał nominację na szefa nowotarskiego Urzędu Bezpieczeństwa. Dereń przypuszcza, że przyjął również legitymację PPR, bo trudno sobie wyobrazić, żeby na tak eksponowane stanowisko mianowano bezpartyjnego.

[^] Józef Kuraś (drugi z lewej)

Z lasu tymczasem wychodzą kolejni żołnierze AK i niektórzy z nich od razu zaczynają znikać. Inni przystępują do milicji. Po drogach krążą oddziały NKWD. Polsko-czechosłowackiej granicy na Orawie i Spiszu pilnuje Armia Radziecka. Nie wiadomo, jak będzie ostatecznie przebiegać granica: czy tak jak przed wojną, gdy w 1938 roku Polacy zajęli Jaworzynę, czy jak w czasie wojny, gdy w 1939 roku słowaccy żołnierze wmaszerowali do Polski razem z Niemcami.

„Ogień” był komendantem nowotarskiego UB kilka tygodni.

W kwietniu 1945 roku miał jechać do Krakowa. Ponoć dostał do ręki kopertę. Otworzył, a tam zamiast akt personalnych jakiegoś ubeka zobaczył polecenie, że oddawcę listu należy niezwłocznie aresztować. A może – jak pisał jego brat Wojciech – pod Myślenicami rozmawiał z osobą, która wiedziała, co ma go spotkać w Krakowie.

11 kwietnia 1945 roku na leśnej polanie w Gorcach „Ogień" tłumaczył żołnierzom (tak zapamiętał to Jan Sral „Potrzask"):

> […] skończyła się walka z jednym wrogiem i zaczyna z drugim, i to jeszcze gorszym. Mówił o aresztowaniach żołnierzy AK i o wywózkach na Wschód, o zamordowaniu polskich oficerów w Katyniu przez NKWD. Oświadczył, że nie możemy dać się zniszczyć. Musi wybuchnąć wojna Zachodu ze Związkiem Radzieckim, i do tego musimy się przygotować. Wszyscy chętni do pozostania w lesie ponownie przysięgli walczyć o wolność i wiarę. Po przysiędze odśpiewali hymn Polski.

Wkrótce jego oddział, nazwany „Błyskawica", liczył ponad siedemset osób. Na Podhalu „Ognia" otaczała niemal powszechna sympatia. „Ogniowcy" przetrwali w górach, nękając komunistów, i doczekali prawdziwego wyzwolenia. Uwolnili między innymi sześćdziesięciu dwóch aresztantów z więzienia w Krakowie.

Przysięgali „Panu Bogu Wszechmogącemu, że będą wiernie służyć ojczyźnie swojej, a dla Polski Ludowej poświęcą życie". W ślubowaniu nie szło o PPR-owską Polskę Ludową, lecz o Polskę naprawdę rządzoną przez lud.

Na „Ogniu" jednak też ciążą podejrzenia, że mordował Żydów – choć miał w swoim oddziale Żydów, braci Henryka i Józefa Schilfedrinów, i dobrze współpracował z AL-owskim dowódcą „Zygfrydem", który nie ukrywał swojej narodowości. Miał mordować już po wojnie, w Nowym Targu, w Maniowach, w Zakopanem, nawet ludzi o żydowsko brzmiącym nazwisku. Tych od nowej władzy, lecz także ocalonych z Zagłady, którzy z resztką dobytku uciekali z Polski. W rzekomym odpisie dziennika „Ognia", który znalazł się w ubeckich aktach, ale najpewniej była to fałszywka dla celów propagandowych, jest zapis:

> 3 maja 1946 r. – witaj majowa jutrzenko! W nocy samochód z Żydami. Mieli być przeprowadzeni przez granicę. Przed Krościenkiem do rowów. Salcia krzyczy: „Panie »Ogień«, taką niełądną demokrację pan robi". Ucięto język.

Salcia krzyczała, jeśli wierzyć dziennikowi, gdy wyciągnięto ją z autobusu wiozącego uciekinierów na słowacką stronę. Potem ich mordowano. To jedna z najokrutniejszych zbrodni na powojennym Podhalu. Wielu, również spośród akowców, przypisuje ją „Ogniowi". Wielu mówi, że „Ogień" tego nie zrobił.

Ale już co do okoliczności innej zbrodni nie ma najmniejszych wątpliwości. Oddział „Ognia” w maju 1946 roku w Krościenku zatrzymał i zmasakrował grupę Żydów – stwierdza Jerzy Wójcik w książce *Oddział. Między AK i UB – historia żołnierzy „Łazika”*, wydanej w 2016 roku. Wójcik opowiada o losach partyzantów w Gorcach i na Sądecczyźnie, do których należał jego ojciec. Opisuje między innymi, jak na Jana Wąchałę „Łazika”, dowódcę patrolu egzekucyjnego AK, wyrok śmierci za zabicie dwóch kupców z Nowego Targu wydał sam „Ogień”. Egzekucji nie wykonał osobiście Kuraś, ale jego ludzie pod komendą siedemnastoletniego Jana Batkiewicza „Śmigłego”.

Ten sam „Łazik” został wynajęty przez Komitet Żydowski do ochrony Żydów, którzy z Polski chcieli się dostać do Palestyny. 2 maja 1946 roku w stronę polsko-czechosłowackiej granicy jechało ciężarówką dwudziestu sześciu Żydów. „Łazik” miał ich przerzucić do Czechosłowacji w rejonie Krościenka.

– „Ogień” dowiedział się o tym. Kazał grupie z Batkiewiczem na czele zlikwidować „Łazika”. Tak też się stało – opowiadał nam Jerzy Wójcik. – Już po zabiciu „Łazika” „ogniowcy” strzelali do Żydów, choć wiedzieli, że pasażerowie ciężarówki nie mają broni. Wyprowadzili ich przed samochód, zrewidowali. Strzelali z bliska na rozkaz „Śmigłego”. Z broni automatycznej. Niektórych rannych dobijali z pistoletów. Wcześniej zabrali im pieniądze. Trzynaście osób zginęło. Reszta została ranna lub uciekła – dodał.

„To »Ogień« kazał strzelać do Żydów” – zeznał już po śmierci Kurasia Batkiewicz.

– Batkiewicz mógł obciążyć winą nieżyjącego dowódcę, by uniknąć konsekwencji, co wtedy było powszechną praktyką. Jak było naprawdę, już nigdy się nie dowiemy. Jeśli „Ogień” naprawdę wydał rozkaz egzekucji Żydów, to z pewnością nie na piśmie – uważa Wójcik.

Batkiewicz zeznał też [pisownia i interpunkcja oryginalna]: „Jednego małego żydka wypchnąłem ja by uciekał, gdyż był bardzo młody”. Chodziło o dziesięcioletniego Gerszona Flama, ocalałego z łódzkiego getta, który potem opowiadał o ucieczce: „Na rączkach zbiegłem do lasu”. Grupę Żydów z Krościenka prowadził urodzony w 1919 roku Jakub Finkelsztajn, który przed wojną mieszkał w Równem. Była z nim między innymi rodzina Gallerów pochodząca z Nowego Targu, która mieszkała przy ulicy Sebastiana w Krakowie. W czasie wojny uciekli z krakowskiego getta, przeżyli obóz koncentracyjny Bergen-Belsen. Do Krościenka jechali także Jakub Orensztajn, rówieśnik Finkelsztajna z Równego, Izrael Holland z żoną Temą i córkami Rachelą i Chają, trzyosobowa rodzina Wygodów, czworo Binjunskich.

– Józef Galler prosił, by go nie zabijali. Dostał dwa strzały w głowę. Jęczał. Został dobity. Jego siostra Rena przeżyła, ale do końca życia czuła koszmarną odpowiedzialność za śmierć brata. Za to, że go nie ochroniła. Marię Galler kula trafiła jedynie w kok. Izrael Galler dostał rykoszetem w twarz, ale inne kule zgruchotały mu ramię – relacjonował Wójcik.

Ciężko ranny Izaak Binjunski zmarł. Podobnie jak Rachela Schlosser. Zabici zostali też Tema Holland i jej córka Rachela, Rachela Binjunska, małżeństwo Dwojra Wygoda i Leib Wygoda, który był cukiernikiem z Pułtuska, Izrael Flam, Józef Gliwicki, Luba i Rachela Szapiro. Pochowano ich na cmentarzu żydowskim w Krakowie przy ulicy Miodowej. Doktor Maciej Korkuć, pracownik krakowskiego oddziału Instytutu Pamięci Narodowej, główny biograf „Ognia", w numerze „Zeszytów Historycznych WiN-u" z grudnia 2015 roku napisał o zbrodni w Krościenku:

> Mamy do czynienia z mieszkańcami Polski zastrzelonymi przez żołnierzy polskiego podziemia niepodległościowego, ludzi w mundurach polskiego wojska. Nie działali oni jako narzędzia tego czy innego systemu totalitarnego. […] Mówimy tutaj o ofiarach zupełnie przypadkowych, które tego dnia znalazły się w tragicznym dla nich miejscu. Nie byli to ludzie ani zaangażowani w budowę systemu komunistycznego, ani z jakichkolwiek powodów źle zapisani w lokalnych dziejach. Wszyscy byli cywilami. Co więcej, wśród ofiar były kobiety i dzieci.

Z tymi ustaleniami trudno jest się pogodzić tym, którzy partyzantów mają wyłącznie za bohaterów walczących z hitlerowcami i komunistami. Na promocji swojej książki w Łącku Wójcik był oskarżany o szkalowanie żołnierzy wyklętych.

– To nie może być prawda. Jeśli nawet doszło do takiego zdarzenia, to na pewno była to ubecka prowokacja, by polskich żołnierzy kłamliwie oskarżać o mordy na Żydach – mówiła jedna z osób na spotkaniu autorskim w Łącku.

– Czy pan na pewno zweryfikował swoje ustalenia? Czy może oparł się na relacji tego dziesięcioletniego Żyda, który przeżył i mieszka teraz w Ameryce? Na ile to może być wiarygodne? – dopytywała inna.

– Widzimy tutaj, że książka ma na celu szkalowanie żołnierzy wyklętych – stwierdziła kolejna.

Nie trafiały do nich argumenty, że zbrodnia w Krościenku jest bogato udokumentowana. Ani nawet to, że potwierdza ją Instytut Pamięci Narodowej.

Inni słuchacze bronili Jerzego Wójcika i bili mu brawo.

– Trzeba pisać, jak było – mówił jeden z nich.

Wójt gminy Łącko Jan Dziedzina podsumował spotkanie:

– Zaprosiliśmy autora książki, która opisuje historię naszych stron. Ta historia nie zawsze była łatwa. Ale nie możemy o niej zapominać. Należy o tym pamiętać i o tym dyskutować.

*

Po sfałszowanych wyborach 19 stycznia 1947 roku „Ogień” pisał:

> Dzień ten pamięta nawet każde dziecko, które z lękiem patrzyło na zbira komuny, który z bronią w ręku pędził swych braci do głosowania. Niejeden z was otrzymał w dniu tym srogi policzek lub znalazł się w ciemnym lochu więzienia. Za co? Przecież mamy wolną i demokratyczną Polskę?

To była ostatnia sygnowana przez niego ulotka.

„Ogień” zastrzelił się 21 lutego 1947 roku w Ostrowsku, otoczony przez funkcjonariuszy UB i KBW.

Winni i niewinni

Procesy za kolaborację z Niemcami ruszyły niedługo po wojnie. Pierwszy odbył się między 4 a 22 listopada 1946 roku. Kolaborantów sądzono w zakopiańskiej willi Palace, wojennej siedzibie gestapo. Była to wyjazdowa sesja Specjalnego Sądu Karnego z Krakowa. Powołano więcej niż półtora setki świadków, w tym znamienitych mieszkańców Zakopanego i pomniejszych działaczy Goralenvolku oraz członków rodzin głównych oskarżonych. Najwyżej postawionym spośród oskarżonych działaczem separatystycznym był Józef Cukier. Na pierwszym procesie zabrakło prawie wszystkich głównych aktorów Goralenvolku: Wacław Krzeptowski został powieszony, Henryk Szatkowski i Witalis Wieder uciekli, Andrzej Krzeptowski otruł się już w 1945 roku albo zabili go Sowieci, Stefan Krzeptowski zaś dogorywał w sowieckim łagrze.

*

W wojennych wspomnieniach naocznych świadków i w dokumentach trudno natknąć się na materiały wskazujące jednoznacznie na podłości uczynione przez Cukra w czasach, gdy był w Zakopanem znaczącym człowiekiem. Przeciwnie, zachował się nawet list sygnowany przez kilkudziesięciu podhalańskich Żydów stwierdzających, że dzięki pomocy wiceszefa – a po ucieczce Krzeptowskiego w góry, szefa – Goralenvolku udało im się ocalić życie:

> Cukier w sprawie naszej jeździł do Nowego Targu do starostwa zupełnie bezinteresownie. Sam na własną rękę wystawił namiary rozpoznawcze „G” i polecił kryć się po wsiach i w ten sposób ocalił nas wszystkich od wywozu i śmierci.

Przypomnijmy: Podhale było przed wojną szczególnie naznaczone antysemityzmem, a w czasie okupacji za pomoc Żydom groziła kara śmierci dla pomagającego i jego rodziny.

Nie ma jednak najmniejszej wątpliwości, że Józef Cukier zdradził. Inna sprawa, co on sam rozumiał przez zdradę i do których swoich czynów z czasu wojny poczuwał się odpowiedzialny.

Urodził się w 1889 roku w Zakopanem, co znaczy również, że widział na własne oczy austriackie panowanie na Podhalu, a podczas I wojny światowej był już dorosłym człowiekiem. Wiedział, że Podhale było krainą mocno doświadczoną przez nędzę.

Przed wrześniem 1939 roku był wiceprzewodniczącym Związku Górali. Nigdy nie słynął z mądrości lub z siły charakteru. Zapewne z tej racji stał się dla twórców Goralenvolku człowiekiem wielkiej wartości.

Podobno był przyzwoitym człowiekiem. Tak przynajmniej uważał Jan Szczepaniak. Powiadał, że Cukier osobiście nic złego nikomu nie zrobił, a raczej starał się pomagać. Gdy umarł, na pogrzebie zebrało się wielu zakopiańczyków.

*

Podczas pierwszego procesu Goralenvolku Włodzimierz Wnuk zeznał:

> Z oskarżonych znam tylko Cukra i jego działalność. Zewnętrzna jego postawa była wyraźnie cyniczna, wypowiadał się, że Anglia przegra wojnę. Wynikała ona z jego głupoty znanej na ogół w Zakopanem. Lubił „chlapać językiem". Bratał się z wrogiem razem z częścią rodziny. O tym, by oskarżony Cukier donosił, nic nie wiem. Były wprawdzie pogłoski, jak zresztą o wszystkich ówczesnych działaczach góralskich, ale nic nie zostało udowodnione […]. Oskarżony Cukier w związku z akcją przyjmowania kart góralskich wpływał na ludność, aby przyjmowała te karty. Czynił to pod silnym wpływem i terrorem Szatkowskiego i Wiedera. Byłem świadkiem, jak oni dwaj żądali od niego, aby popchnął tę akcję do przodu […]. Oświadczyli oni wówczas mu, iż to jest skandal, że musi być inaczej, że nie można narażać na pośmiewisko rządu niemieckiego, że w sprawie kart należy się zgłaszać do Komitetu Góralskiego, a dopiero gdy ten potwierdził, iż nie ma przeszkód, można starać się o polską kartę rozpoznawczą.
>
> Oskarżonego Cukra również przed wojną uważałem za bardzo ograniczonego, jak również i Wacława Krzeptowskiego. Winę oskarżonego Cukra łagodzi jednak fakt, iż poszedł on za przykładem inteligentów, takich jak Szatkowski i Wieder […].
>
> Oskarżony Cukier uważał, że sprawa Goralenvolku nie miała ściśle określonego celu. Uważam, iż Cukier był narzędziem tylko. Świadkiem jego wypowiedzi w tym kierunku nie byłem. Oskarżonego Cukra uważam za ograniczonego i najgłupszego członka góralszczyzny. Zdawał on sobie sprawę z tego, co robi i z kim ma do czynienia. Winę jego zmniejsza fakt, iż przykład szedł z góry.

W innym zeznaniu z procesu zanotowano:

> Józef Cukier uchodził za głupszego od Wacława Krzeptowskiego. W każdym razie obaj byli dość sprytni i niewątpliwie zdawali sobie sprawę ze swego działania. Słyszałem z opowiadania, że Józef Cukier miał nawet twierdzić, że obecnie on powinien podpisywać się „Zucker", a nie „Cukier".

Ale podczas tego samego procesu inni świadkowie powiadali:

Siostra interweniowała w tej sprawie u Wacława Krzeptowskiego, ale bez skutku. Kiedy natomiast przedstawiłam swoją prośbę oskarżonemu Cukrowi, oskarżony Cukier wyraził się, że będzie bronił mnie jak własnej córki. Gestapo udowodniło, że rozdawałam ulotki. Na skutek interwencji i prośby Józefa Cukra zostałam wypuszczona na wolność. Nic Józefowi Cukrowi za to nie płaciłam.

Albo:

Okazał mi Józef Cukier życzliwość. Z początkiem wojny około 1940 roku radził mi, żebym jednego z moich synów wrócił do Poronina, bo wtedy mieszkałem w Zakopanem, gdyż w ten sposób uchronię go od wywiezienia na roboty do Niemiec. Potem znowu, gdy groziło memu synowi wywiezienie do Niemiec, na moją prośbę postarał się, że go umieszczono w parowozowni. Wreszcie, gdy w Zakopanem w zarządzie miejskim chciano zmusić mnie do przyjęcia karty rozpoznawczej góralskiej, a ja odmówiłem, wówczas na moją prośbę Józef Cukier oświadczył, że mi to zrobi, jak Wacław Krzeptowski i Niemiec Wieder wyjadą, rzeczywiście pod ich nieobecność wystarał się dla mnie o kartę rozpoznawczą polską. Poza tym ostrzegał mnie o łapankach młodych i o różnych rewizjach.

Albo:

Dzięki ostrzeżeniu Józefa Cukra uniknąłem ja i ksiądz dziekan Tobolak aresztowania przez gestapo. Gdyż w Komitecie Góralskim Wacław Krzeptowski i doktor Szatkowski posądzali nas, żeśmy wzięli sztandar góralski z parzenicą i swastyką, którym to sztandarem chciał się Wacław Krzeptowski pochwalić przed Himmlerem… Co do działalności w sprawie akcji góralskiej Józefa Cukra nie mam wiadomości z własnego poświadczenia, mówił do nas tylko, że musi być w Góralskim Komitecie, gdyż Krzeptowscy chcą nas zaprzedać, że lepiej, że on tam będzie.

Ale też:

Straszył ludzi wysiedleniem i aresztowaniem w razie nieprzyjęcia kenkart „G”.

Słowem, niczego nie da się wykluczyć. Ani tego, że Józef Cukier był marionetką, człowiekiem ograniczonym, tchórzliwym i łatwym do manipulowania, lecz w gruncie rzeczy jakoś poczciwym i w głębi duszy przyzwoitym. Ani tego, że dokładnie wiedział, co robi, w jakimś sensie grał na dwie strony, zwłaszcza wówczas, gdy po klęskach armii niemieckiej w ZSRR wynik wojny nie był już tak łatwy do przewidzenia.

*

Warto posłuchać samego Cukra. Oto jego zeznania przed sądem w pierwszym procesie góralskim:

Ukończyłem cztery klasy szkoły powszechnej. W okresie międzywojennym byłem przez okres trzech kadencji radnym miejskim [w Zakopanem]. W okresie do 1939 roku byłem

prezesem miejscowego koła Stronnictwa Ludowego. W imprezach regionalnych brałem udział. W okresie bezpośrednio poprzedzającym wybuch wojny w 1939 roku pełniłem funkcję zastępcy prezesa Związku Góralskiego. W początkach okupacji miałem na utrzymaniu czworo dzieci oraz umysłowo chorą żonę. W Związku Góralskim przed rokiem 1939 dostałem dwa razy votum nieufności na skutek pewnych różnic z Wacławem Krzeptowskim, który przeszczepił na grunt Zakopanego narodową demokrację. Z Wacławem Krzeptowskim żyłem wtedy źle. Wiedera i Szatkowskiego przed wojną nie znałem […].

[^] Willa Palace w Zakopanem, w czasie wojny siedziba gestapo, po wojnie sądzono tu kolaborantów (fot. Henryk Jost)

Wieder i Wacław Krzeptowski byli od razu w kontakcie z gestapo po wkroczeniu wojsk niemieckich. Zaproponowali, by w pewnym sensie reaktywować Związek Góralski i nadać mu nową, zmienioną formę, by mógł sprostać nowym zadaniom, a w szczególności, by można było sprowadzać na Podhale różne towary […]. Niemcy zaproponowali nam, że mogą tylko pozwolić na utworzenie związku kulturalno-oświatowego, a komisarz oświadczył, że omówi tę sprawę ze starostą niemieckim. Wacław Krzeptowski zapewniał zaś, że związek ten nie będzie miał cech politycznych […].

Nie słyszałem, by Wacław Krzeptowski w przemówieniach swoich żalił się na polskie władze, mówił tylko i stale podkreślał, że ludność góralska jest biedna i że potrzebuje pomocy materialnej. Na pewnym powitalnym przyjęciu Curuś witał z drwinami Niemców,

mówiąc żartobliwie, że przyszli nas oswobodzić, w wyniku czego powstała nawet scysja między Curusiem a Wiederem […].

Powstaniem Związku się interesowałem, gdyż chodziło mi, że w tych ciężkich czasach nie należy zapominać o biednych, bo Związek miał mieć charakter pomocy i opieki społecznej […].

W roku 1940 pojechaliśmy z delegacją do Wächtera o zatwierdzenie Związku […]. Wszyscy byliśmy w strojach regionalnych […]. Wächter powiedział nam, by delegacja poszła do Hansa Franka. Hans Frank zapewnił nas, że sprawą tą się zajmie i że wkrótce pośle swojego urzędnika do Zakopanego […]. Przyjęcie powyższe miało miejsce na Wawelu. Popisów tanecznych wówczas nie było. Poczęstowano nas lampką wina i wkrótce opuściliśmy zamek, udając się autem do kasyna oficerskiego na kolację […]. Prezentu żadnego Hansowi Frankowi nie przywieźliśmy […].

W roku 1941 odbyło się pierwsze zebranie i otwarcie Komitetu Góralskiego, który powstał jako dalszy ciąg Związku Góralskiego […]. Komitet dzielił się na resorty jak na przykład gospodarczo-oświatowy. Ja miałem resort spraw gospodarczych […].

Głównym zadaniem Komitetu było organizowanie kuchni ludowych.

O kenkartach góralskich i góralskich formacjach wojskowych Cukier mówił:

Początkowo ludzie brali karty rozpoznawcze „G”, gdyż Wieder tłumaczył, że kto się zapisze u mnie, to ten będzie korzystał z kuchni […]. Wacław Krzeptowski tłumaczył, że posiadacze kart „G” będą dostawali przydziały […].

Dla każdego była możliwość wzięcia karty rozpoznawczej polskiej. Karty rozpoznawcze wydawano w magistracie. Delegatura zakopiańska, wobec tego, że ludność odmawiała przyjęcia kart góralskich, wyznaczyła swoich mężów zaufania w osobie Mracielnika i Pęksy, którzy mieli dopilnować, by górale nie przyjmowali kart rozpoznawczych polskich. Nikogo nie zmuszałem do przyjęcia karty rozpoznawczej góralskiej. Wacław Krzeptowski, Adam Krzeptowski, Henryk Szatkowski mówili, że górale to szczep, co mieszka w górach. Nic początkowo nie mówili o niemieckim pochodzeniu. Reprezentowali pogląd, że nie należy Niemcom niczego odmawiać, gdyż oni walczą za nas. O ceprach nikt nic nie mówił. Komitet kontaktu z gestapem nie miał. Czy Wacław Krzeptowski miał kontakty z gestapem, tego nie mogę stwierdzić stanowczo, stwierdzam tylko, że miał swój osobny pokój i tam przyjmował u siebie także i gestapo. W 1942 roku zgłosiłem rezygnację z Komitetu, ze stanowiska zastępcy przewodniczącego […].

Wieder, zachęcając górali do przyjmowania kart rozpoznawczych góralskich, obiecywał, że posiadacze tych kart będą mieli większe przywileje, że będą korzystać z obniżek podatku dochodowego, że będą dostawać zboże do zasiewu, maszyny rolnicze. Komitet Góralski pisał prośby oraz interweniował w różnych sprawach u władz administracyjnych.

Szatkowski zaproponował, by dać czterech chłopców na zamek do Krakowa jako straż dla Hansa Franka. Sołtys z Olczy Solcyn wyszukał czterech chłopców, którzy zostali wysłani do Krakowa, dwóch z nich wkrótce wróciło do domu, a jeden z nich w mundurze niemieckim znalazł się w Pradze, a drugi walczył gdzieś na froncie zachodnim.

Przy wręczaniu ciupagi nie byłem obecny. Jak przedstawia się sprawa ze skrzynią, także nie wiem. Wacław Krzeptowski taił to, że wręczał Hansowi Frankowi ciupagę. Byłem tylko przy powitaniu Himmlera na Olczy, który zwiedzał gospodarstwo rolne. […] dzieciom aresztowanych Orawców ułatwiłem dostanie się do Himmlera, które wręczyły mu wiązankę kwiatów, w której mieściła się petycja w sprawie zwolnienia ich rodziców. Rodzice tych dzieci zostali istotnie zwolnieni później […].

Byłem u gubernatora z życzeniami noworocznymi, by przy tej okazji poruszyć sprawę ułaskawienia „Koscorza" Galicy z Poronina, skazanego przez Niemców na śmierć. Byłem raz w Krakowie z pokazem regionalnym. W roku 1942 byłem z delegacją w starostwie w Nowym Targu w sprawie rodzin ze Zębu, które wywodziły się od dwóch Żydówek. W charakterze świadka byłem na gestapo w sprawie dyrektora szkoły w Zakopanem […]. Interweniowałem na gestapo w sprawie Krzysiaka Jana, Stopki Stanisława i Nazimka, by wypuszczono ich z więzienia. Prośby o ich zwolnienie były opiniowane przez Związek Góralski. Łapówek żadnych nigdy nie brałem, a nawet by się od nich uchronić, sprzedałem podczas okupacji dużą parcelę […].

W 1942 roku była prowadzona akcja tak zwanego Legionu Góralskiego. Wacław Krzeptowski zapewniał, że zamiast wyjazdu do Niemiecka każdy mężczyzna może zgłosić się do Legionu i będzie pełnił służbę wartowniczą. W „Morskim Oku" była komisja poborowa, przeprowadzała badania ochotników, przyprowadzonych przez sołtysów. Tam w „Morskim Oku" ja osobiście ułatwiłem ucieczkę kilku ochotnikom. Kiedy w 1943 roku córkę wywieziono mi do Niemiec, przestałem się interesować Komitetem.

Cukier opowiadał przed sądem, że w Komitecie Góralskim mieli go za szpiega, a nawet tak do niego mówiono. Oraz że nie był w przyjaźni z Krzeptowskim, Wiederem, Szatkowskim, a nawet zorientował się, że „chcą Polskę zaprzedać". Objaśniał:

W 1940 roku jechałem do Krakowa Związek zalegalizować, by móc ludziom pomagać, gdyż pomny byłem na słowa świętej pamięci prezesa Witosa, który mówił mi, że bogaci powinni biednym pomagać. Wszystkich szczegółów obecnie nie pamiętam, gdyż głowę mam stłuczoną i czaszkę złamaną. Dwa razy cierpiałem na ataki epileptyczne. Jestem w głowę trzaśnięty.

Józef Cukier nigdy nie przyznał się do winy. Skazano go na piętnaście lat więzienia, utratę praw publicznych, konfiskatę mienia. Swój wyrok odsiedział. Zmarł w latach sześćdziesiątych, krótko po wyjściu z więzienia.

*

Poza Józefem Cukrem na ławie oskarżonych zasiedli: Antoni Tomala (skazany na trzy lata), Stanisław Mul (skazany na pięć lat), Tomasz Kościelniak (uniewinniony), Antoni Kęsek (skazany na pięć lat). Akt oskarżenia mówił o zdradzie narodu polskiego.

Antoni Kęsek, wójt Szczawnicy, w której góralskie kenkarty przyjęło ponad dziewięćdziesiąt procent mieszkańców, mówił przed sądem:

> Nie przyznaję się do winy, że brałem udział w działaniu na szkodę państwa polskiego i ludności polskiej, separatyzmu i sztucznej odrębności góralskiej, a w szczególności przez wywieranie nacisku na miejscową ludność w kierunku przyjmowania wbrew woli góralskich kart rozpoznawczych, jak również nie przyznaję się do jakiejkolwiek współpracy z gestapo.

Kęsek podkreślał, że akcja wydawania kart góralskich w Szczawnicy została zainicjowana przez jego brata Tadeusza, członka Komitetu Góralskiego, referenta do spraw żywności:

> Z bratem moim na ogół nie żyłem w zgodzie, jakkolwiek przyznaję, że byłem pod jego wpływem […]. O ile chodzi o technikę wystawiania kart góralskich, to zajmował się tym wyłącznie Antoni Tomala […]. Wypełniał odnośny wniosek o wydanie kart rozpoznawczych oraz samą kartę, a następnie przesyłał dokumenty do podpisania. Ja jako wójt wypełniałem rubryki zarówno we wniosku, jak i na karcie rozpoznawczej, tyczące miejsca zamieszkania wnioskodawcy, podpisywałem karty rozpoznawcze, a następnie przesyłałem do starostwa […]. Ja jako wójt gminy, w której zamieszkiwała ludność góralska, uważałem, że powinienem mieć kartę rozpoznawczą góralską […]. Przedstawione mi zeznania świadków, którzy mnie obciążają, twierdząc, że i ja wywierałem w tym kierunku nacisk i groźby [na przyjmowanie kenkart „G”], są nieścisłe, powodowane możliwie identyfikowaniem mnie z moim bratem.

Kęsek odbywał wyrok w ciężkim więzieniu w Nowym Wiśniczu, założonym jeszcze za czasów Galicji, do którego władze monarchii habsburskiej wtrącały zbójców tatrzańskich. Prosił listownie Bolesława Bieruta o złagodzenie kary. Nic nie uzyskał.

Zeznania Antoniego Tomali:

> Do winy nie przyznaję się. Byłem zwyczajnym członkiem delegatury. Do delegatury nie przystąpiłem dobrowolnie, lecz pod presją. Dostałem pierwsze i drugie wezwanie, ale nie pojechałem. Dopiero gdy dostałem trzecie, w którym zaznaczono, że jeżeli się nie zgłoszę w Komitecie, to fakt ten będzie uważany za sabotaż […]. Prosiłem o zwolnienie mnie z delegatury i tłumaczyłem się, że nie mogę tego przyjąć. Tadeusz Kęsek podszepnął mi na ucho: możesz być, bo ja będę to prowadził […]. Wacław Krzeptowski i zdaje się Adam Krzeptowski namówili mnie razem z Kęskiem Tadeuszem […]. Ludzie psioczyli ogólnie.

Mówili, że jeśli mają nas wysiedlić, to dajcie kartę taką [góralską], jaką biorą wszyscy […]. Ja nie wpływałem na to, by brano karty góralskie […]. Nie mówiłem nigdy takich słów, że kto nie przyjmie karty góralskiej, to życie jego będzie takie szare, jak szare są polskie karty rozpoznawcze […]. Przyjęcie karty „G" nie było w tych warunkach wyrzeczeniem się polskości. Nie zamykałem się z gestapo w osobnym pokoju. Nie widziałem różnicy między ludnością polską a góralską […]. Ostrzegałem także ludzi przed aresztowaniem […]. Przez moją sprytną politykę ocaliłem ludziom inwentarz żywy, gdyż tylko dwie krowy i siedem cieląt oddałem na kontyngent za cały okres mojego urzędowania. Wydawałem zaświadczenia o zdechnięciu krowy, która poszła na nielegalny ubój. Raz wykupiłem krowę przeznaczoną na kontyngent i z powrotem oddałem ją bezinteresownie gospodarzowi. Ludzi w pracy oszczędzałem, starałem się o aprowizację, wybudowałem w Szczawnicy nową drogę oraz straż pożarną.

W liście-prośbie o złagodzenie wyroku skierowanym do Bolesława Bieruta adwokat Tomali podawał przykłady współpracy skazanego z podziemiem. Bezskutecznie.

Jeszcze przed rozpoczęciem procesu śledczy przesłuchiwali osoby, które podczas okupacji mieszkały w Zakopanem.

Ludwik Polek – zakopiański urzędnik z czasów okupacji – zeznawał na UB 12 listopada 1945 roku:

Dr. Henryka Szatkowskiego znam z okresu kilku lat z przed wojny. Wymieniony z polecenia b. ministra Bobkowskiego był przyjęty do Zarządu Miejskiego w Zakopanem w charakterze kierownika wydziału Uzdrowiskowo-Propagandowego. Na tym stanowisku wymieniony pozostawał aż do chwili wybuchu wojny.

W dniu 1 września 1939 w czasie ewakuacji Zakopanego widziałem go na drodze koło Myślenic, jak wraz z Krzeptowskim Andrzejem i zdaje mi się Adamem jechali samochodem do Krakowa, gdzie rzekomo mieli się zgłosić do W. P. jako oficerowie rezerwy. W dniu 9 listopada 1939 powróciłem do Zakopanego i zastałem dr. Szatkowskiego jako już pracującego w Zarządzie Miejskim przy ówczesnym komisarzu niemieckim Malsfeyu […]. Do dr. Szatkowskiego miałem zaufanie jako do dobrego Polaka tym więcej, że jeszcze przed wojną w rozmowach prywatnych opowiadał mi, że pracował w II oddz. sztabu gen. w wywiadzie przeciwko Niemcom i że nawet robił zdjęcia fotograficzne z terenów Rzeszy w czasie przelotu turystycznego samolotem itp. W chwili jednak, gdy zaobserwowałem zbyt wielkie zbliżenie się jego do komisarza insp. Lachera i Wiedera, zaufanie to straciłem i zacząłem baczniej na czyny jego patrzeć […].

Czy dr Szatkowski osobiście kazał aresztować, czy spowodował czyjeś aresztowanie, nie wiem, ale faktem jest, że kolega nasz biurowy Żabicki, gdy gdzieś powiedział, że dr Szatkowski jest pochodzenia żydowskiego, został natychmiast wysiedlony z Zakopanego i gdy tutaj na jeden dzień przyjechał po wysiedleniu, został aresztowany. Podobnie było z Antonim Rebczyńskim, z tem, że został on aresztowany przez gestapo i już nie żyje.

Wiktor Blaude, z zawodu fryzjer, służył gestapo w Zakopanem jako tłumacz. Zeznał 30 października 1946 roku:

> Jestem narodowości niemieckiej reichsdeutschem, a urodziłem się w Cieszynie polskim i do roku 1942 przebywałem w Zakopanem. W Zakopanem pracowałem od roku 1931 do roku 1940 i pracowałem w charakterze fryzjera w różnych firmach i nawet miałem własny Zakład. W roku 1942 opuściłem Zakopane i udałem się do Krakowa […]. Niemcem czułem się zawsze, a w roku 1942 po załatwieniu moich formalności zostałem reichsdeutschem. Do roku 1939, tj. do wybuchu wojny polsko-niemieckiej, miałem obywatelstwo polskie. Po wkroczeniu Niemców do Zakopanego do 9 stycznia 1940 r. pracowałem w swoim zawodzie jako fryzjer, a od 9 stycznia pracowałem jako tłumacz na gestapo w Zakopanem […].
>
> Józefa Cukra znam i wiem, że był on Z-ca Wacka Krzeptowskiego, i stwierdzam, że ten dwukrotnie w czasie mojej obecności był na gestapo w Zakopanem i jeden raz przychodził w tym celu, aby uspokoić jego żonę, która dostała manii prześladowczej lęku przed gestapo i przed aresztowaniem, a drugi raz przychodził z Wackiem Krzeptowskim w celu zaproszenia Komendanta Gestapo Weismana [Weissmanna; podobnie dalej] na jakąś uroczystość. Nic mi o tym nie wiadomo, aby Józef Cukier kogokolwiek donosił na gestapo. Aczkolwiek Cukier był Z-ca Krzeptowskiego, to jednak z mojego punktu widzenia był to człowiek mało aktywny, ale jest to moje wyłączne zdanie.
>
> Stwierdzam, iż pewnego razu przyszedł do gestapo hotelu Polase [Palace] kpt. Wieder i powiedział, oczekując na Weismana, że już przed wojną pracował w kontr-wywiadzie niemieckim, o ile ktokolwiek z górali polaków został aresztowany na terenie Zakopanego, to była to przeważnie zasługa kpt. Wiedera i Szatkowskiego Henryka. Wiem także o tem, iż Wieder współpracował z gestapo w Zakopanem. Stwierdzam także kategorycznie, iż Szatkowski Henryk współpracował także z gestapem w Zakopanym. Wiem także o tym, iż Szatkowski donosił konkretne wypadki i wskazywał poszczególne osoby, które były przeciw niemcom.
>
> Wiem o konkretnym wypadku, kiedy Szatkowski doniósł Weismanowi, szefowi gestapo w Zakopanym, iż w pociągu jedzie były sekretarz stanu Rudnicki, który powrócił z Węgier do Polski w sprawach tajnych organizacyjnych, i na skutek tego doniesienia Rudnicki został aresztowany przez gestapo. Byłem obecny przy przesłuchaniu Rudnickiego, urzędnik gestapo Staevdes [Stevens] opowiadał mi, w jaki sposób aresztowanie Rudnickiego nastąpiło, i wymienił nawet szczegóły, że Szatkowski wręczył Weismanowi kwotę 5000 dolarów, którą to sumę Rudnicki przywiózł z Węgier na cele organizacyjne i wręczył kobiecie nazwiskiem Andrzejewska.
>
> Andrzejewska z protekcji Szatkowskiego dzierżawiła zakład fotograficzny Schabenbencka. Andrzejewska, jak wynikało ze sprawy, była w ścisłym porozumieniu z Szatkowskim, a ponieważ Rudnicki po przyjeździe do Kraju u niej się zatrzymał i jako znajomej dawnej z Warszawy, to ta wykorzystała to i doniosła o tem Szatkowskiemu, a ten

kolejno Weismanowi, szefowi gestapo. Bliższe dane dotyczące Szatkowskiego i Wiedera znam ze swojej pracy w charakterze tłumacza na gestapo w Zakopanem i na żądanie mogę zapodać.

Były na gestapo w Zakopanym interwencje w sprawie aresztowanych górali przez Szatkowskiego i Wiedera, ale nie bezpośrednio przez członków Komitetu.

Według powojennych zeznań więźniów Palace – między innymi kuriera tatrzańskiego Wincentego Galicy, który nieraz towarzyszył w drodze przez góry Józkowi Krzeptowskiemu – Blaude nie tylko tłumaczył, ale i katował więźniów. Podobnie jak drugi tłumacz na gestapo – Bronisław Mazurkiewicz, z zawodu kowal, który w czasie okupacji używał imienia Brunon. Według Henryka Josta był przedwojennym współpracownikiem niemieckiej siatki wywiadowczej na Podhalu. Tak zeznał tego samego dnia co Blaude:

Jestem urodzony w Białej i w Zakopanem przebywałem od roku 1926, gdzie miałem swój własny warsztat kowalski. Po wkroczeniu niemców w czerwcu 1940 roku zostałem tłumaczem języka niemieckiego i polskiego na gestapo w Zakopanem. Język niemiecki znam, gdyż uczęszczałem do szkoły niemieckiej. Do służby tej na gestapo zmuszono mnie w ten sposób, że zatrzymano mnie przez trzy dni i dano mi ultimatum, albo pracować na gestapo w charakterze tłumacza, albo też zostanę aresztowany i wywieziony. W tych warunkach zgodziłem się na pracę w gestapo w charakterze tłumacza.

Z racji mego stanowiska brałem udział przy przesłuchiwaniu aresztowanych Polaków. Pamiętam, że Józef Cukier był wzywany na gestapo przez komendanta Weismana pod zarzutem, iż córki jego chodzą z Polakami, a nie z niemcami, i zarzucono mu, że posiada broń. Dokładnie czasu określić nie mogę, kiedy to miało miejsce. Wiem, że na Cukra do gestapo donosił wtedy Wieder. Wiem o tem, iż Wieder pozostawał na usługach gestapo i jak sam do mnie mówił, miał do czynienia ze szpiegostwem i wyższymi oficerami niemieckimi. W sprawach szpiegowskich kontaktował się z nim niejaki major Korab z Krakowa, który był w Krakowie szefem wywiadu niemieckiego.

Krzeptowski Wacław bywał bardzo często na gestapo razem z kpt. Wiederem i wtedy, kiedy oni byli u komisarza gestapo, ja nie miałem tam wstępu. Dr Szatkowski także bardzo często przychodził do szefa gestapo, ale ponieważ ten znał dobrze język niemiecki, to w tych wypadkach ja wzywany nie byłem.

W roku 1943 byłem posłany jako Kurier przez szefa gestapo w Zakopanym do szefa gestapo w Krakowie i list ten pochodził od Szatkowskiego. Szatkowski był w bliższej zażyłości z szefem gestapo Weismanem i bywał nawet w willi zajmowanej przez kochankę Weismana Aleksandrę Kellerownę, gdzie stykał się z Weismanem.

Były interwencje ze strony Komitetu Góralskiego do szefa gestapo w sprawie zwolnienia aresztowanych górali i w tych sprawach często przychodził Cukier Józef. Czasami interwencje te były skuteczne.

Interweniował także w sprawach różnych aresztowań Wacek Krzeptowski, ale czy interwencje te były skuteczne, zarówno Cukra, jak i Krzeptowskiego, względnie, czy w związku z tym dawali oni jakieś łapówki urzędnikom gestapo, tego nie wiem, gdyż przy tym nie byłem.

Znam szczególny wypadek interwencji Wiedera i Wacława Krzeptowskiego na gestapo w sprawie znalezionej broni u Stanisława Białego Krzeptowskiego i wiem, że interwencja ta była skuteczna, gdyż Krzeptowski nie został aresztowany. Byłem także z Cukrem w roku 1943 u szefa gestapo w Zakopanym, kiedy ten interweniował w sprawie zwolnienia góralki, której matka była żydówką z pochodzenia, a ojciec góral. Wiem, że interwencja ta odniosła skutek i góralka ta została zwolniona […]. Nic mi o tym nie jest wiadomo, jakoby Cukier kogokolwiek donosił do gestapo.

Na Blaudego i Mazurkiewicza – podobnie jak na Wacława Krzeptowskiego oraz Henryka Szatkowskiego – podziemie za okupacji wydało wyroki śmierci. Powieszono jedynie Krzeptowskiego. Reszta przeżyła.

*

Pierwszy proces góralski musiał wyglądać dziwnie. Z jednej strony wyroki skazujące były przesądzone, z drugiej miał on oczyścić społeczność górali z zarzutu kolaboracji, na co zwracali uwagę niektórzy świadkowie. Włodzimierz Wnuk stwierdził:

Ujemna ocena ogólnej postawy ludności góralskiej jest grubym nieporozumieniem, gdyż oskarżeni nie stanowią ani jednego procenta górali zamordowanych przez okupanta niemieckiego, i dobrze się stało, że sądzi się tutaj w Palace tych nielicznych, którzy splamili dobre imię górala.

W tym sensie proces spełnił zadanie: wskazał winnych i niewinnych. Nawet oskarżyciel w mowie końcowej zaznaczył, że Podhale dobrze zdało egzamin z polskości podczas wojny. Kończąc proces Goralenvolku, prokurator powiedział: „Podhale było, jest i będzie zawsze polskie”.

Drugi, mniej więcej o rok późniejszy proces góralski uniewinnił wszystkich oskarżonych aresztowanych w latach 1946 i 1947 na podstawie dekretu PKWN o przestępstwach szczególnie niebezpiecznych w okresie odbudowy państwa. Jeden z zatrzymanych uciekł nawet z aresztu w nowotarskim więzieniu, ale niedługo potem go schwytano i tym razem na czas trwania procesu osadzono w Nowym Sączu.

Aresztowania szły opornie, i to nie z winy podejrzanych. Prowadzący śledztwo prokurator Robert Schreyer z Nowego Sącza irytował się w połowie kwietnia 1947 roku:

Do Obyw. Komendanta Powiatowego Milicji Obywatelskiej w Nowym Targu.

Przesyłam odpis mojego polecenia z dnia 27/2 1947 do Posterunku Milicji Obywatelskiej w Szaflarach, które nie zostało wykonane, jak również Posterunek nie zawiadomił mnie o przyczynie niewykonania z prośbą o wydanie stosownego zarządzenia, aby polecenie zostało wykonane.

Ponieważ stwierdziłem także w innych sprawach, iż Posterunki niejednokrotnie nie wykonują poleceń – proszę o wydanie zarządzeń wszystkim podległym jednostkom w powiecie, aby polecenia prokuratorskie były bezzwłocznie wykonywane lub w razie niemożności wykonania składane były odpowiednie relacje o powodach niewykonania. O wydanych zarządzeniach proszę mnie zawiadomić.

Komendant Milicji Obywatelskiej Powiatu Nowotarskiego podporucznik Władysław Waśkowicz tak się tłumaczył, nie kryjąc rozgoryczenia pracą na Podhalu:

Komunikuję, że w sprawach wykonywania poleceń Prokuratorskich i Sądowych oraz zawiadamiając o przyczynach ewentualnej niemożności wykonania polecenia natychmiast lub na wyznaczony termin, poucza się Komendantów podległych Posterunków MO na każdej odprawie, raz w miesiącu, i przy każdym zetknięciu się służbowym, czy nawet prywatnym. Ponadto tutejsza Komenda wydała zarządzenia pisemne dotyczące powyższego. Że stan ten istnieje nadal, jest to przyczyna szczupłego stanu Milicji w powiecie Nowotarskiem, wielki brak fachowców w zakresie prowadzenia dochodzeń, nawał pracy, jaki panuje w jednostkach MO w tutejszym powiecie, oraz częste zmiany personelu Posterunków, na skutek czego wynika dezorientacja w pracy MO w ogóle. Tutejsza Sekcja Kryminalna Służby Śledczej czyni wszelkie starania w celu usprawnienia służby w zakresie dochodzeń i wykonywania poleceń Władz Prokuratorskich lub Sądowych, zaś nawał pracy w Sekcji Śledczej, jaki istnieje z powyższych przyczyn, nie pozwala na stałe szkolenie i częstsze przeprowadzanie kontroli podległych jednostek MO. W sprawie dotyczącej IV. Ds. wysłałem już trzy ponaglenia Posterunkowi w Szaflarach.

Realia tworzenia państwa ludowego na Podhalu nie rozpieszczały nawet funkcjonariuszy Milicji Obywatelskiej.

W końcu po podhalańskich wsiach udało się aresztować oskarżonych w drugim procesie Goralenvolku.

Rozprawy odbywały się w Nowym Targu. Sędziowie uznali, że oskarżeni pomniejsi działacze Goralenvolku nie prowadzili szkodliwej działalności, a przede wszystkim nikogo nie namawiali i nie zmuszali do przyjmowania góralskich kenkart. Zresztą tych z nich, którzy chcieli wiernie służyć Niemcom, zastraszając mieszkańców choćby biciem po gębach, jeszcze w czasie okupacji zastrzelili partyzanci od „Ognia”. Jak Franciszka Latochę z Rogoźnika.

Szymon Kuchta, sołtys Bukowiny Tatrzańskiej:

Od 1935 r. byłem bez przerwy sołtysem na Bukowinie. Urząd ten złożyłem dopiero w jeden miesiąc po wyzwoleniu ze względu na zły stan zdrowia. Będąc sołtysem w okresie międzywojennym, dostałem krzyż zasługi w 1938 r. za pracę społeczną od Starostwa, jako sołtys staraniem gromady wybudowałem elektrownię gromadzką na Bukowinie. Po wkroczeniu okupanta jako sołtys pracowałem w dalszym ciągu. Dopiero w 1942 r. zostałem wezwany do Zakopanego, w jakiej sprawie, nie wiedziałem, dopiero na miejscu dowiedziałem się, że zostali wezwani wszyscy sołtysi. Na zebraniu tam byli: Krzeptowski, Cukier, Szatkowski – było również 3–4 niemców w mundurach, którzy przemawiali po niemiecku, na zebraniu odczytano spis sołtysów wezwanych, głos zabierali niemcy. Ja po niemiecku nic nie rozumiałem, na tem zebranie zakończono. Za kilka dni dowiedziałem się z gazet, że jestem członkiem Komitetu góralskiego. Gdy spotkałem Wacława Krzeptowskiego, zapytałem go, dlaczego mnie zapisał do Komitetu góralskiego bez mojej zgody, odpowiedział, że tak musi być, bo jak nie, to kula albo Oświęcim.

Na drugim zebraniu dostałem wezwanie, lecz nie poszedłem, tłumacząc się chorobą. Na trzecim zebraniu była omawiana sprawa pomocy biednej ludności góralskiej. Krzeptowski projektował zorganizowanie kuchni specjalnie dla górali. Ja oświadczyłem, że na Bukowinie nie ma mieszanej ludności, tylko jest jednakowa […].

Więcej udziału w zebraniach nie brałem pomimo wezwań i gróźb. Swoje czynności jako sołtys wykonywałem sumiennie. Jako Polak góralskiej kennkarty nie wziąłem, ani moja rodzina […].

Byłem zatrzymany przez gestapo w 1945 r. wraz z księdzem z Bukowiny, z wójtem z Białki, pytano nas o partyzantów, politycznych przestępców, bandytów, złodziei itd., ponieważ nie mogli od nas nic się dowiedzieć, po dwóch dniach nas zwolniono. Przez cały okres okupacji byłem niemile widziany tak przez żandarmów, jak i Komitet góralski, ponieważ uchylałem się od wszelkich zobowiązań, które by szkodziły ludności.

Góralskiej szkoły na Bukowinie nie było w ogóle, nawet nikt nie mówił na ten temat, aby taką szkołę zarezerwować. Podczas okupacji przychodzili do mnie partyzanci po nocach, z którymi żyłem bardzo dobrze i udzielałem im pomocy, czego dowodem jest, że nikt mi krzywdy nie zrobił, jak innym sołtysom, którzy współpracowali z okupantem.

Po wyzwoleniu Polski przez Czerwoną Armię na Bukowinie była placówka NKWD, którzy też robili dochodzenie, czy jako sołtys nie pracowałem z okupantem. Lecz żadnych zarzutów przeciw mnie nie było.

Wojciech Kamiński, wójt Szaflar graniczących od północy z Nowym Targiem, zeznał:

Po przedstawieniu mi sprawy zapodaję, co następuje: delegatem na gminę Szaflary był Wojciech Szaflarski, zam. w Szaflarach nr 223, a jego pomocnikiem, który miał interweniować przy wydawaniu kart rozpoznawczych, był Stanisław Adamczyk z Gronkowa. Zeznający jako ówczesny wójt gminy Szaflary na skutek żądania delegata

Wojciecha Szaflarskiego wyznaczył jeden dzień w tygodniu, a mianowicie wtorek, do wydawania kart rozpoznawczych, tłumacząc się tem, że więcej dni na ten cel przeznaczyć nie może ze względu na inny nawał pracy. W tym też dniu zawsze znajdował się w urzędzie gminnym Stanisław Adamczyk i przysłuchiwał się, jakie zgłoszenie robią ludzie przychodzący po karty rozpoznawcze. O ile uważał co do którego z nich, że powinien się zgłosić na górala, wówczas przekonywał go, nie strasząc jednak żadnymi represjami, a tylko mówił, że taki jest nakaz władz niemieckich, twierdząc, że ludzie, którzy są urodzeni na tym terenie, powinni się zgłaszać na górali. Ponieważ był to człowiek o słabej indywidualności i nie mającej wzięcia u swoich, przeto jego interwencja niewiele zyskiwała, a nawet zdarzały się wypadki, że ludzie pochodzący z Gronkowa, zgłaszający się po karty rozpoznawcze w urzędzie gminnym w Szaflarach, wprost wydrwiwali go […].

Andrzej Dziedzic „Bustrycan”:

Przyznaję, że byłem delegatem Komitetu góralskiego na Bańską Dolną i delegatem tym ustanowił mnie Wojciech Szaflarski, który mnie mianował, strasząc mnie w ten sposób, że niemcy będą aresztować wszystkich członków Stronnictwa Ludowego, a ponieważ byłem przed wojną członkiem Stronnictwa Ludowego – sądziłem, że istotnie niemcy mogą porwać wszystkich stronników, i dlatego nie przeciwstawiłem się Szaflarskiemu, bo sądziłem, że w ten sposób uzyskam ochronę własnej osoby przed niemcami. Żadnej działalności politycznej nie rozwijałem i agitacji nie uprawiałem.

Miałem wprawdzie kartę rozpoznawczą góralską, którą przyjąłem pod koniec 1943 r., mając w tym czasie syna zabranego przez niemców, zajętego w Mościcach we dworze, pozostającym pod nadzorem niemieckim, jednak jeść mu się tam chciało, więc musiałem mu dowozić dwa razy w tygodniu jedzenie – a na pociągach robiono trudności specjalnie Polakom i odbierano żywność. Chcąc tedy utrzymać przy życiu mego syna, postarałem się o kartę góralską, aby mieć w ten sposób ochronę przed niemcami.

Okoliczności, że się agitacją nie trudniłem – mogą potwierdzić następujący świadkowie: Franciszek Ślimak, Piotr Bafia, Władysław Papierz, Józef Wilk, Chodowski Franciszek – wszyscy zamieszkali w Bańskiej.

Wojciech Szaflarski też „do winy się nie poczuwał”.

Zeznał:

Nigdy nie działałem na szkodę ludności polskiej, zawsze czułem się Polakiem i działałem z narażeniem życia swego na korzyść Polaków.

W szczególności ratowałem cały szereg osób przed Urzędem Pracy, pomagałem w ukrywaniu, osoby narodowości żydowskiej uchroniłem od śmierci, ostrzegałem przed aresztowaniem, namawiałem do pobierania polskich kart, osobom aresztowanym prowadziłem gospodarstwa, pomagałem kolportować ulotki, występowałem przeciwko niemcom, żywiłem biednych i zorganizowałem kuchnię dla biedniejszej ludności w Szaflarach, którą sam prowadziłem.

Jako dowód przedstawił czterdziestu trzech świadków, w których zeznaniach wojenna trauma niezamierzenie przeplatała się z komizmem.

Edmund Pajerski – za okupacji sekretarz gminy Szaflary – tak mówił o Szaflarskim:

> Kilkakrotnie w miejscach publicznych, gdy sobie podpił, a nawet w stanie zupełnie trzeźwym śpiewał: „Jeszcze Polska nie zginęła”, chociaż w jednym wypadku niemcy znajdowali się w sąsiedniej ubikacji […].
>
> Ktoś zrobił doniesienie do gestapo na rodzinę Kalatów z Szaflar, których matka była wychrzczoną żydówką. Sąd niemiecki ukarał ich grzywną za to, iż nie noszą opasek z gwiazdą syjońską. Następnie ktoś powtórnie zrobił doniesienie. Wojciech Szaflarski, by ich ratować, namówił ich na przyjęcie kart rozpoznawczych góralskich. Osobiście jeździł do starosty w Nowym Targu i wyjednał u niego, że dzieci wychrzczonej Kalatowej nie będą karane i nie będą nosić opasek. I faktycznie tak było. Matka Kalatów, która była wychrzcianką, została w pewnym czasie zaaresztowana i prawdopodobnie aresztowaną, lecz dzieci jej ocalały.

Wojciech Kamiński potwierdził:

> Wprawdzie matka Kalatów została zastrzelona, lecz wszystkie z dzieci ocalały, chociaż w innych podobnych wypadkach niemcy mordowali także i dzieci wychrzczonych żydów.

Inni podejrzani bronili się podobnie, przedstawiając świadków. Czasami zaświadczenia wydawały organy nowej władzy gminnej.

> Prezydium Gminnej Rady Narodowej w Szaflarach zaświadcza, iż obywatel Zagata Andrzej zamieszkały w Gronkowie Nr 95 w czasie okupacji niemieckiej był członkiem Związku Góralskiego, lecz na terenie tutejszej Gminy żadnej działalności nie przejawiał i przez to żadnej szkody tutejszej ludności nie przyniósł.

Prokuratorskie akta zawierają ponad sto stron podobnych zeznań. Ostatecznie z blisko czterdziestu lokalnych działaczy Goralenvolku prokurator Schreyer oskarżył czterech – Andrzeja Zagatę z Gronkowa, Wojciecha Szaflarskiego i Stanisława Adamczyka z Szaflar oraz Andrzeja Dziedzica z Bańskiej – o to, że

> […] idąc na rękę władzy państwa niemieckiego, działali na szkodę Państwa Polskiego i ludności cywilnej polskiej przez to, że współpracowali czynnie w akcji tworzenia na Podhalu inspirowanego przez okupanta separatyzmu i sztucznej odrębności narodowościowej (tzw. Goralenvolk) […] przy wykorzystaniu swej wśród ludności Podhala popularności i znaczenia, stworzyli wśród społeczeństwa polskiego dezorientację polityczną i sytuację niepewności i osłabiali ducha oporu miejscowej ludności wobec okupanta.

W grudniu 1947 roku sąd w Nowym Targu wszystkich uniewinnił.

*

Z Niemcami przekonującymi górali do kolaboracji wymiar sprawiedliwości obszedł się mniej lub bardziej łagodnie.

Heinrich Himmler, który przyjeżdżał na narty na Kalatówki, popełnił samobójstwo 23 maja 1945 roku w Lüneburgu.

Hans Frank – gubernator Generalnej Guberni, któremu delegacja górali złożyła hołd na Wawelu – został powieszony 16 października 1946 roku na podstawie wyroku Międzynarodowego Trybunału Wojskowego w Norymberdze.

Otto von Wächter – za okupacji gubernator dystryktu krakowskiego, nieformalnie zastępca generalnego gubernatora Hansa Franka i częsty gość na Podhalu – nigdy nie był sądzony w procesach norymberskich.

Dopiero w 1965 roku we Fryburgu odbył się proces Roberta Weissmanna i Richarda Arna Sehmischa, którzy w latach 1939–1945 dowodzili komendą gestapo w Zakopanem. Pierwszy został skazany na siedem lat więzienia, drugi na cztery i pół roku.

Na tropie

Druga połowa 1944 roku to na Podhalu czas remanentów po kolaboracji. Niemcy ciągle są w mieście, lecz na góralskich sojusznikach dawno postawili krzyżyk. Już wiadomo, i to od dłuższego czasu, że pomysł Goralenvolku wart jest tyle, co worek trocin. Spaliła na panewce próba zorganizowania Góralskiego Legionu Waffen SS. Nie będzie też góralskiego księstwa ani żadnego księcia górali. Wacław Krzeptowski coraz rzadziej odwiedza willę Palace, już nie kumpluje się ostentacyjnie z niemieckimi rządcami Zakopanego i ponoć – są i takie wspomnienia – często gęsto dostaje od gestapowców po pysku. Wreszcie ucieka, zaszywając się w górach, by koniec końców przejść na Słowację i podpiąć się pod oddział sowieckiej partyzantki.

Jeśli uznamy, że twórcom ideologii Goralenvolku przyświecała wojenna Realpolitik, to można postawić wniosek, że ich rachuby rozsypały się jak domek z kart. Nie zanosi się już na tysiącletnią III Rzeszę, a raczej na – jak powiadał dzielny wojak Szwejk – „przesławne lanie". Góralska parzenica nagle traci podobieństwo do spinki Gotów, a cudowna Dolina Kościeliska znów ma wrócić do dawnej nazwy. To, co można na tygodnie przed wejściem na Podhale Armii Radzieckiej, to uratować siebie. Ratują się więc ci, co mogą.

Pokaźna biblioteka Henryka Szatkowskiego opustoszała jesienią 1944 roku. Nim uciekł – nikt nie umie podać dokładnej daty – sprzedał wszystkie książki (nie wiemy, kto je kupił i za jaką cenę). Rodzinie obiecał, że nigdy się z nią nie skontaktuje. Choć podobno namawiał żonę, rodowitą góralkę, żeby jechała razem z nim. Jak uciekł, którędy, kto dał mu stosowne dokumenty i zapewnił bezpieczeństwo w sytuacji wyglądającej na dezercję (wszak zdradzał po raz drugi, tym razem Niemcy), również nie wiemy. Pewnego jesiennego dnia, gdy jeszcze nie było słychać huku sowieckich armat, po prostu nie było go w Zakopanem.

Podobnie rzecz miała się z Witalisem Wiederem. Ten spakował manatki, zapewne sprzedał, co było do sprzedania, i tyle go na Podhalu widziano. Ze szpicy podhalańskiej kolaboracji w Zakopanem zostali Józef Cukier oraz Andrzej i Stefan Krzeptowscy. W okolicznych wsiach znajdowano trupy pomniejszych działaczy. Po Goralenvolku zostały tylko spalone papiery, artykuły i zdjęcia w nieaktualnych gadzinowych gazetach.

No i ludzka pamięć, zawodna i niepewna, jak zawsze. Ktoś zostawił sobie na pamiątkę góralską kenkartę ze swoim zdjęciem – głęboko schowaną na dnie szuflady meblościanki wstawionej do jednego z mieszkań betonowych bloków, budowanych

po wojnie także na Podhalu, albo w starej skrzyni na strychu drewnianej wiekowej góralskiej chałupy. Tak, by w nowych czasach nikt się nie przyczepił do okupacyjnej przeszłości.

*

W pierwszym procesie góralskim Szatkowskiego i Wiedera skazano na karę śmierci, na wyrost (najpewniej) podciągając ich działalność pod paragrafy o zbrodniach wojennych. Lecz wyroku nie można było wykonać. Obaj przepadli jak kamień w wodę i za oboma zorganizowano pościg. Jak miało się rychło okazać, polowanie zdało się na nic. A i nagonka nie przyczyniła się do rzetelnej oceny ludzi odpowiedzialnych za góralską kolaborację.

Za Witalisem Wiederem wystawiono listy gończe. Sprawie nadano kryptonim „Leśniczy". Bezpieka szukała ludzi, którzy mogliby coś powiedzieć o wojennej działalności Wiedera. Przyjrzano się również jego rodzinie. UB ustalił, że na przykład brat Rudolf był funkcjonariuszem gestapo w Lublinie.

Wydaje się jednak, że w większości donosów (funkcjonariusze UB korzystali z tajnych informatorów) nie ma wielu rewelacji, a przynajmniej takich wiadomości, o których nie wiedzieliby zakopiańczycy.

„Nie płacił czynszu za pensjonat »Maraton«", „Okradł z trzydziestoma dwoma góralami hotel »Salamandra« w Kościelisku", „Urządzał libacje dla gestapowców", „Przyjaźnił się serdecznie z doktorem Henrykiem Szatkowskim… Obaj jeździli i wspólnie przebywali z władzami niemieckimi u gubernatora Franka".

Albo: „Był zaprzyjaźniony z szefem gestapo Weissmannem, z komisarzem miasta Malsfeyem, nadinspektorem Papenhoffem" (zastępcą komisarza miasta), „Opuścił Zakopane w końcu 1944 roku", „Wieder, względnie jego żona, mieli rodzinę w Wielkopolsce… Przypuszczam, że był na usługach gestapo".

Zakopiański Urząd Bezpieczeństwa sporządził w 1951 roku tajną notatkę:

> Wieder Witalis Karol na terenie Zakopanego nie posiadał żadnej rodziny za wyjątkiem żony jego brata, która zamieszkiwała razem z nim […]. Żona brata Wiedera, niejaka Cybulska z domu Ratajczak, zamieszkuje obecnie we wsi Szamotuły […], województwo poznańskie […]. Zajmował się dzierżawą pensjonatów […]. Przejawiał aktywną działalność, utrzymując kontakty służbowe z sanacją jak: byłym burmistrzem Żaczyńskim, z zawodu inżynier urbanista, vice burmistrzem pułkownikiem Adamczykiem, z byłym komendantem wojskowym niejakim Praszałowiczem Bronisławem, który jest zatrudniony na stanowisku zastępcy naczelnika Polskich Kolei Linowych […]. Uzgadniał wszelkie sprawy z szefem Gestapo Weissmannem […].

W 1952 roku szef miejskiego UB notował:

> Urząd nie posiada innych materiałów, ponieważ nie interesowano się wymienionym do dnia 20 czerwca 1951 r., w którym to dniu informator „Burak”, były granatowy policjant, otrzymał polecenie zrobienia ustalenia za wymienionym, który jednak do tej pory nie podał konkretnych danych w tej sprawie, jedynie podał ustnie, że Wieder w Zakopanem był osobą, bez której organizujący tak zwane „Księstwo Góralskie” Wacław Krzeptowski […] nie robił żadnych kroków.

Nowością było zeznanie Władysławy Cybulskiej, którą Wieder przywiózł do Zakopanego w 1940 roku i zatrudnił w pensjonacie Maraton w charakterze pomocy kuchennej.

> W Maratonie pracowałam do chwili przeniesienia się Wiedera do restauracji Watra… W restauracji przebywałam do chwili wyjazdu rodziny Wiederów do Niemiec, dokąd ja także pojechałam wraz z dziećmi do miejscowości Lauchheim koło Neustadt w Bawarii, gdzie Wieder wynajął dwa pokoje z kuchnią. W jednym pokoju mieszkałam wraz z dziećmi, a w drugim oni. Tam prowadziłam im gospodarstwo domowe. Nie pracowali nigdzie, a utrzymywali się z zasobów, które przywieźli z Polski.

Cybulska wróciła do Polski w 1948 roku. Przesłuchano ją dopiero pięć lat później w wielkopolskich Szamotułach. Nie wiemy, czy świadczy to o nieudolności bezpieki – może sprawa Goralenvolku nigdy nie miała priorytetowego znaczenia.

W 1955 roku w sprawie „Leśniczy” wydano instrukcję postępowania:

> Opracować kontakty Wiedera z krajem, bowiem wymieniony ma obecnie zamieszkiwać w Niemczech Zachodnich. Wystosować pismo do wojewódzkiego urzędu bezpieczeństwa publicznego we Wrocławiu, aby wzięli w aktywne rozpracowanie agenturalne Mateję Jana, który przed 1939 r. oraz w okresie okupacji pozostawał w ścisłym kontakcie z Wiederem i w związku z tym przypuszczalnie był wykorzystywany przez Wiedera do rozpracowywania ludności polskiej na terenie Zakopanego. Zamieszkałą na terenie województwa poznańskiego Cybulską Marię, która jest szwagierką Wiedera, poddać agenturalnemu rozpracowaniu, zmierzając do ustalenia faktycznego miejsca zamieszkania Wiedera. Wystosować pismo do delegatury do spraw bezpieczeństwa publicznego w Zakopanem, aby przez sieć agenturalną ustalili, czy wymieniony utrzymuje kontakty z osobami z terenu Zakopanego. W szczególności nastawić agenturę na byłych aktywnych członków Goralenvolku, czy wymienieni nawiązują kontakty z osobami przebywającymi w Niemczech Zachodnich.

W innych powojennych dokumentach (ten akurat sporządzono w Krakowie w 1956 roku) oficerowie bezpieczeństwa tak opisują Wiedera:

> Do 1919 r. zamieszkiwał w Trzech Górach, powiat Oborniki, gdzie pełnił funkcję leśniczego, a następnie wybył w niewiadomym kierunku – przypuszczalnie pełnił służbę w Wojsku Polskim, gdyż w 1934 r. przybył na teren Zakopanego, gdzie występował jako kapitan rezerwy. Należał wówczas do Związku Rezerwistów i pełnił funkcję przewodniczącego Związku Rezerwistów na powiat nowotarski. Należał również do innych organizacji sanacyjnych, BBWR i OZN […]. Już przed 1939 r. było wiadomo, że współpracuje z wywiadem niemieckim. Brat jego był oficerem gestapo w Berlinie. Na teren Zakopanego przyjeżdżali ludzie z Niemiec, których przedstawiał jako krewnych lub znajomych, którzy korzystali z jego pensjonatu. Przebywający sportowcy niemieccy na terenie Zakopanego również kwaterowali w jego pensjonacie, o co on szczególnie starał się przed 1939 r. Ludność miejscowa sygnalizowała policji, że Wieder prowadzi działalność szpiegowską wymierzoną przeciwko Polsce, na wskutek czego zaczęto się nim interesować. Wówczas policja otrzymała powiadomienie z RSI (czyli kontrwywiadu), aby sprawą Wiedera się nie interesować.

Gorliwy oficer Urzędu Bezpieczeństwa najpewniej przesadził, choć nie można wykluczyć, że przepytywani przez UB ludzie, niekiedy z dość paskudną okupacyjną przeszłością, opowiadali takie rzeczy. Gdyby przedwojenna Polska rozszyfrowała Wiedera jako tak groźnego agenta, historia okupacji Zakopanego mogłaby wyglądać inaczej. Badacz dziejów Zakopanego Henryk Jost uważa, że przedwojenna działalność Wiedera i innych agentów III Rzeszy była bardzo dobrze ukryta. Jost notuje w książce *Zakopane czasu okupacji*:

> Przedwojenny wywiad niemiecki z wszelką pewnością wytypował dawno Zakopane jako ważny i dogodny punkt, nadający się doskonale na siedzibę agentów […]. Agenci, ze względu na duży ruch turystyczny, mogli się łatwo ukryć […]. Po wkroczeniu Niemców do Polski i zajęciu naszych ziem ujawnili się oni wkrótce, jak również i współpracownicy wywiadu […]. Mieszkali oni dłuższy czas w Zakopanem i wskutek tego dobrze orientowali się w miejscowych warunkach.

Jost wskazuje z nazwiska kilku niemieckich funkcjonariuszy i współpracowników, w tym Witalisa Wiedera. Pisze:

> Przedwojenny agent wywiadu był nie tylko doskonale zorientowany w stosunkach zakopiańskich, ale z racji zajmowanego stanowiska brał często oficjalny udział w kierownictwie i organizowaniu świąt i obchodów narodowych i państwowych polskich. Mówił doskonale po polsku […]. Twardsza wymowa mogła naprowadzać na myśl, że jest to Polak, który pochodzi gdzieś z poznańskiego, Pomorza czy Śląska.

Kobieta o pseudonimie „Biały Dunajec” informowała na początku 1952 roku:

> W roku 1938/39 poznałam bliżej Wiedera, który zwrócił się do mnie w biurze, bym pomogła mu w dzierżawieniu „Maratonu”, gdyż właściciel „Maratonu” jest bardzo często

w biurze u nas i znam go […]. Na moją uwagę, dlaczego właśnie chce „Maraton”, który źle leży, odpowiedział mi, no wie pani, bo jest żydowski, będę długo w niem siedział, bo przecież może przyjść Hitler, i śmiał się.

Lokowano w „Maratonie” sportowców licznie odwiedzających Zakopane, od narciarzy i łyżwiarzy po zawodników sportów konnych; Wieder naciskał, by u niego mieszkały ekipy z Niemiec. Niektórych Niemców przedstawiał znajomym jako kuzynów. „Biały Dunajec” donosiła:

[^] Agent Abwehry Witalis Wieder (pierwszy z lewej, tyłem), jedyne zachowane zdjęcie (fot. Henryk Jost)

Zaczęłam przysłuchiwać się rozmowie […] prowadzonej w języku niemieckim między Wiederem a zawodnikami i słyszałam, jak Wieder jedno przez drugiego mówili o Polakach do Niemców […], że oficerowie nasi są w złej kondycji […], że wojsko jest źle odżywiane i że nie ma broni nowoczesnej […]. A Wiederowa opowiadała następnie różne kawały, które ośmieszały ludzi.

„Biały Dunajec” doniosła też wiceburmistrzowi Zakopanego podpułkownikowi Adamczykowi o zachowaniu Wiedera, z czego – papiery nie tłumaczą, w jaki sposób – wyszła kłótnia z Wiederem. Podpułkownik Adamczyk poradził, by kobieta przyglądała się sprawie. Ale niedługo później Zakopane organizowało narciarskie mistrzostwa świata FIS, więc domniemanymi niemieckimi szpiegami przestano się przejmować.

Nic nie wskazuje na to, by te działania przyniosły jakikolwiek skutek. Z akt IPN wynika, że w 1957 roku sprawę oficjalnie zamknięto, informując, że mieszkający w Bawarii Wieder nie utrzymuje żadnych kontaktów z Polską.

*

Henryka Szatkowskiego również skazano zaocznie na śmierć i też wysłano za nim listy gończe. W akcję jego poszukiwania włączono wielu agentów i donosicieli, choć zdaje się, że działania te były równie jałowe, jak w wypadku Witalisa Wiedera. Papiery Urzędu Bezpieczeństwa wskazują też, że dla funkcjonariuszy ważniejsza była grubość teczek niż ich zawartość: brali za rewelacje informacje dostępne każdemu, kto podczas wojny mieszkał w Zakopanem.

Informowano na przykład, że Szatkowski studiował w Polsce i w Niemczech. Znał się z przedwojennym ministrem komunikacji Aleksandrem Bobkowskim i z tych znajomości korzystał, na czym Zakopane tylko zyskiwało, choćby dzięki budowie kolejki linowej na Kasprowy Wierch. W zarządzie miasta zajmował się sprawami uzdrowiska, turystyką, imprezami sportowymi. Był lubiany, bywał w towarzystwie, znał wielu wpływowych ludzi, także spoza Zakopanego. Jeździł za granicę, przede wszystkim na zawody narciarskie. Podobały mu się niemieckie porządki lat trzydziestych.

> Zauważono nagle ciągłe kontakty Szatkowskiego z Wiederem Witalisem, ciągłe przesiadywanie wspólne w restauracji Morskie Oko […]. Z chwilą wybuchu wojny Szatkowski wyjechał, jako oficer rezerwy, szukać swego pułku […]. Kiedy otrzymał wiadomość, że Niemcy kręcą się koło górali, stwierdził, że Polska jest już skończona i czeka ją niewola znowu sto lat, a teraz, że trzeba się poddać i iść z prądem.

Ale są też dokumenty niezwykłe.

> Szatkowski był bardzo dawnym bywalcem Zakopanego, jeszcze za czasów akademickich wydziału prawa Uniwersytetu Jagiellońskiego… Jego nazwisko brzmiało Lederer-Szatkowski… Żydzi z całą stanowczością twierdzili, że jest to wychrzczona rodzina pochodzenia żydowskiego.

Podobno – jak słyszeliśmy – babka Szatkowskiego była Żydówką i Niemcy tym go szantażowali. Jeśli to prawda, można zrozumieć więcej z jego okupacyjnych czynów, ale ciągle nie da się ich zaaprobować.

Henryk Szatkowski przepadł jak kamień w wodę.

> Od chwili jego ucieczki nie dał do tej pory – zeznawał w 1953 roku informator UB – żadnego znaku życia o sobie do rodziny, co wiem na pewno, gdyż jego żona z córką mej siostry jest w stałym kontakcie.

Inwigilacją objęto też jego rodzinę, a Marii Stopkównie-Szatkowskiej groziła konfiskata majątku, gdyby tuż po wojnie nie przeprowadziła sprawy rozwodowej lub separacyjnej. Szpiegowano dzieci Szatkowskiego, również wtedy, gdy wyjechały z Zakopanego na studia, przypisywano Henrykowi – słusznie i niesłusznie – denuncjacje, współpracę z gestapo, wydawanie w ręce hitlerowskiej policji politycznej najznamienitszych zakopiańczyków i ludzi kompletnie anonimowych.

> W ogóle w całej działalności Szatkowskiego – a działalność jego w tym okresie sięgała we wszystkie dziedziny życia Zakopanego – przebijała chęć przypodobania się Niemcom, a dokuczania Polakom, często bezmyślnego, złośliwego, a niepotrzebnego, często opartego na prywatnej antypatii. Trudno dziś przypomnieć sobie szczegóły i nazwiska, ale z całą pewnością ogłoszenia wywieszone w Zakopanem spowodują, że zgłosi się wiele osób poszkodowanych, które potwierdzą dane ogólne.
>
> Chcę zaznaczyć, że Szatkowski chciał w czasie okupacji wysłać na roboty do Niemiec siostrę żony, wobec czego uciekła ona do Lwowa. Gdzie zapoznała się z obecnym mężem.

Donosy sugerowały, że Szatkowski schował się w powojennej Warszawie albo jednym z miejsc, gdzie się ukrywał, było Trójmiasto. W Sopocie zatrzymano Juliana Szatkowskiego; „jednocześnie w towarzystwie Szatkowskiego przebywa niska brunetka podająca się za dyrektora hotelu »Imperial«, osoba ta powinna być »przewentylowana« przez UB”. Trafiono jak kulą w płot; Julian Szatkowski naprawdę był Julianem, a nie Henrykiem.

Ostatecznie zwyciężyła wersja, że Szatkowski po ucieczce z Zakopanego dotarł do Anglii. Tak przynajmniej uważa jego wnuk Wojciech Szatkowski. Podobno widziano go tam, a nawet niejaki Lorek, magazynier z Zakopanego, „rozpoznał Szatkowskiego i dał go aresztować”. W donosie nie było jednak słowa prawdy, został w całości zmyślony.

W Anglii Szatkowski miał się wtopić w tłum uchodźców i – jak twierdzi jego wnuk – najpewniej wyjechał w nieznane. Nie mógł zostać na Wyspach, gdyż był człowiekiem zbyt znanym, obciążonym najcięższymi zarzutami.

Istnieje również wersja, że Henryk Szatkowski schronił się we Włoszech. Nie jest to całkowicie wykluczone – przez Włochy, z pomocą Kościoła katolickiego i Watykanu, szukało nowego miejsca w świecie wielu nazistów, agentów, kolaborantów i współpracowników III Rzeszy. Między innymi Otto von Wächter, który ukrywał się w katolickim kolegium w Rzymie, gdzie zmarł. Lecz czy Henryk Szatkowski był

wystarczająco znaczącą figurą, by uzyskać dostęp do tego sposobu ucieczki? Kolejna tajemnica, która najpewniej nigdy nie zostanie wyjaśniona.

Podobno w Watykanie wstąpił do klasztoru. Opowiadał nam o tym Stanisław Karpiel, architekt z Podhala. Kiedyś znajome Karpiela spacerowały po watykańskich katakumbach. Rozmawiały po polsku, więc przypadkowo spotkany braciszek zakonny oznajmił, że to język „brata Henryka". Chciały się z nim zobaczyć, lecz „brat Henryk" rozpłynął się w powietrzu.

Córka Henryka Szatkowskiego Zofia też szukała jego śladów w Watykanie, chodząc za wskazaniami pogłosek i plotek.

– Ojciec obiecał mamie, że nigdy się do nas nie odezwie, nie chciał, żebyśmy mieli kłopoty. Miał kilka okazji, żeby to zrobić, ale słowa dotrzymał. Gdy w 1963 roku zdobyłam trzecie miejsce w alpejskiej próbie przedolimpijskiej, pisano o tym w całej Europie jak o nadzwyczajnej sensacji. Ojciec kochał sport i narty, z pewnością o tym wiedział. Ale milczał. Doszły mnie słuchy, że jest gdzieś w Austrii. Plotka, choć ludzie przysięgali, że widzieli tam książkę o Goralenvolku jego autorstwa. Przyszła do Polski informacja, że schwytali go Brytyjczycy jako zbrodniarza wojennego. I znów nieprawda. Kiedy więc usłyszałam te rzymskie wieści, to pojechałam, ale zdaje mi się, że już wcześniej dotarło do nas, że nie żyje. Szukałam z pomocą polskich księży tylko jakichś śladów, nagrobka. Chciałam odnaleźć grób i pomodlić się. Nic nie znalazłam.

Poszukiwania Henryka Szatkowskiego nie przyniosły żadnych rezultatów. Sprawę o kryptonimie „Kurierzy" zamknięto niewiele później niż sprawę Witalisa Wiedera.

*

Najpóźniejszy dokument dotyczący Witalisa Wiedera pochodzi z 1983 roku. Formalnie trwa jeszcze stan wojenny, a Milicja Obywatelska ugania się za działaczami zdelegalizowanej, podziemnej „Solidarności", co zresztą robi z największą ochotą. Tymczasem z Komendy Wojewódzkiej MO w Nowym Sączu wychodzi pismo adresowane do Komendy Wojewódzkiej w Krakowie. Major Stanisław Zwolenik, zastępca naczelnika Wydziału Kryminalnego, pisze do naczelnika Wydziału „C".

> Proszę o nadesłanie do wglądu akt sprawy operacyjnej prowadzonej przez PUBP [Powiatowy Urząd Bezpieczeństwa Publicznego] w Zakopanem, której figurantem był Wieder Witalis Karol Teodor, s. Karola i Ewy, ost. zam. Zakopane, ul. Witkiewicza nr 27/10. Dla informacji podaję, że wymienionego poszukujemy jako zbrodniarza wojennego. Sprawa bardzo pilna.

Aż trudno sobie wyobrazić, po co major Zwolenik szukał w środku stanu wojennego Witalisa Wiedera. Jeśli Wieder żył, musiał być bardzo wiekowym człowiekiem. Albo więc to remanent w starych ubeckich papierach, choć nie wskazuje na to ponaglający ton listu, albo major MO był człowiekiem, który nie umiał liczyć, a w głowie urodziło mu się, że łapiąc hitlerowskiego kolaboranta, jakoś się zasłuży.

Jakkolwiek było, to ostatni ślad po Witalisie Wiederze w PRL-owskich archiwach. Henrykiem Szatkowskim już się wtedy nie zajmowano.

Kto jest dobrym góralem

Procesy procesami, wyroki wyrokami, ale Podhale i tak musiało sobie samo poradzić z oceną i pamięcią po Goralenvolku. Gdy reszta kraju lizała powojenne rany, w Gorcach, w okolicach Nowego Targu, na północnych zboczach Gubałówki wciąż wojowano; działania oddziału „Ognia" zaczynały cechować coraz większe bezwzględność i radykalizm. A i moszcząca się w Polsce nowa komunistyczna władza nie ułatwiała rozrachunku z niedawną przeszłością. Z punktu widzenia skutków nie ma przecież znaczenia, czy lądowało się w więzieniu lub w sowieckim łagrze za działalność patriotyczną, czy za kolaborację z hitlerowcami. Jedni i drudzy byli skazani na podobne cierpienia, jednych i drugich publicznie zniesławiano i wykluczano z pamięci zbiorowej.

Według władzy ludowej Polska miała być krajem, który nie splamił się kolaboracją z Niemcami, uległość wobec wroga nie pasowała do zwycięstwa nad III Rzeszą. Gdy komunistyczna propaganda zrównywała podziemne, poakowskie lub nacjonalistyczne oddziały, które nie złożyły broni po 1945 roku, z nazistowskimi dywizjami Wehrmachtu i SS, mieszał się cały ogląd rzeczywistości.

Pod Tatrami było to szczególnie skomplikowane. A to z racji szczupłości miejsca; na obszarze wielkości świątecznego obrusa można było zobaczyć postawy skrajnie oportunistyczne i heroiczne. W jednej rodzinie pojawiali się zdrajcy i bohaterowie. Jeden Krzeptowski (niestety nie tylko jeden) mógł być łajdakiem, a inny Krzeptowski – bohaterem jak z narodowych pieśni.

Warto poznać opinię księdza profesora Józefa Tischnera, który opowiadał, jak w jego rodzinnej wsi Rogoźnik zastrzelono Franciszka Latochę (jeśli wierzyć zeznaniom złożonym w procesach góralskich, Latocha był nader gorliwym kolaborantem, straszył i szantażował sąsiadów, miał z uczestnictwa w Goralenvolku wymierne korzyści). Gdy partyzanci „Ognia" wykonali wyrok, do obejścia Tischnerów wpadły dzieci Latochy z okrzykiem: „Tatusia nam zabili". Człowiek, który dla jednych był po prostu zdrajcą i dręczycielem, w oczach innych stawał się „tatusiem", kuzynem, szwagrem, „krzestnym ojcem".

Zresztą Tischner nie szukał „tatusiów" i „krzestnych ojców" tylko między działaczami Goralenvolku. Pisał:

> W jednej z wiosek rozstrzelany został [przez „Ognia"] – zresztą po uprzednich ostrzeżeniach – chłop, jeden z „wiejskiej biedoty", członek PPR-u, informator UB, biorący poza tym udział w parcelacji majątku „obszarnika". W oczach „niepodległościowców"

był narzędziem „nowego okupanta”. Kim był w oczach tych, którzy nie wiedzieli o jego kolaboracji, a w dodatku za jego pośrednictwem otrzymywali parcelowaną ziemię? Kim był dla rodziny, która po nim pozostała? Czy był „zdrajcą”, czy „ofiarą bandytyzmu”, czy przysporzył „niepodległościowcom” zwolenników, czy mnożył wrogów? Dziś pamięć o tamtych okolicznościach blednie, a grób pozostaje. Co myśli sobie gromadząca się wokół niego w Dzień Zaduszny rodzina.

Tischner mówił po prostu, że Podhale żyło w wielkiej bliskości terytorialnej, emocjonalnej i rodowej. Najpewniej w podobnej bliskości żyją ludzie w innych rejonach Polski. Inaczej ułożyły im się okoliczności? Inna była zewnętrzna presja? Innymi drogami chadzały lokalne mity i mity przynoszone z zewnątrz? A może sami te okoliczności tworzyli, a uwierzyli w mity, które były bardziej wygodne, bezpieczniejsze, mniej wymagające?

Górale więc nie ułatwiali sobie i reszcie kraju rozliczenia z tak niedawną przeszłością.

Po pierwsze uznano, że to rzecz niejako wewnętrzna, wstyd w rodzinie, o którym nie opowiada się obcym.

Po drugie pojawiały się publikacje piętnujące góralską kolaborację, na przykład teksty relacjonujące przebieg podtatrzańskich procesów, a później i książki opisujące okupacyjne Podhale, lecz podkreślano w nich, słusznie, choć zbyt obcesowo, że Goralenvolk przywędrował na Podhale i zaraził stosunkowo nieliczną grupę wyrzutków. To prawda, ale – powtórzmy znów za księdzem Tischnerem i góralskimi filozofami – prawdy, zwłaszcza dotyczące ciężkich czasów, są co najmniej dwie: „wasa” i „nasa”, a może i więcej. Gdyby na Podhalu nie było klimatu sprzyjającego kolaboracji (co z tego, że oddychała nim wąska mniejszość, a co najmniej dwóch twórców ruchu kolaboracyjnego nie było góralami), idea Goralenvolku pozostałaby w paranoicznych notatkach niemieckich specjalistów od ras, germańskości i „narodu panów”.

Na dodatek PRL klajstrowała pamięć historyczną. O Goralenvolku nie mówiło się prawie wcale, a jeśli już – to w bardzo konkretnym, spaczonym kontekście. Polską kolaborację na Podhalu otaczało oficjalne milczenie, a sięgano po nią, gdy można się było posłużyć zdradą jak młotkiem.

*

Źle opowiada się o własnym wstydzie. Wstyd za Goralenvolk był (a może jest?) udziałem górali, zabłąkał się w dziejach wielkich rodów, znaczy nazwiska i przydomki, choć upłynęło już tyle lat. Jest jak niechciany spadek, który jednak trzeba przyjąć

z dobrodziejstwem inwentarza. Co więcej – jest spadkiem wszystkich Polaków, tych z Warszawy, Lubelszczyzny i Helu, naznacza każdego z nas bez wyjątku, ponieważ spadek to nie tylko dziedziczony majątek, ale również długi. Gdyby było inaczej, musielibyśmy przyjąć za dobrą monetę hitlerowskie bajania z lat trzydziestych i czterdziestych, że Podhalanie pochodzą od Gotów, że to w zasadzie spolszczeni nie-Polacy, jakiś zabłąkany i zapomniany niemiecki szczep, więc Goralenvolk był w istocie próbą powrotu pod skrzydła niemieckiej ojczyzny. A przecież wszyscy doskonale wiedzą, że to wierutne bzdury.

Można więc ten wstyd za Goralenvolk obecny na Podhalu zrozumieć. Nie trzeba jednak akceptować wypowiedzi naznaczonych wstydem, nawet tym nieuświadomionym, bo nie tyle umniejszają one winę, ile zakłamują portret Podhala okresu II wojny światowej.

Spotkaliśmy się z opiniami, że Goralenvolk to była gospodarcza umowa i jakaś bliżej nieokreślona spółka, a chodziło w niej głównie o to, by nieść pomoc biednym (tych na Podhalu wówczas nie brakowało). Według innych Goralenvolk wziął się z troski o utrzymanie folklorystycznej odrębności: góralskiego ubioru, muzyki, piosenek, góralskiej sztuki ludowej i stylu budownictwa, wreszcie tradycyjnych zajęć takich jak dorożkarstwo czy wypas owiec. A nawet – że gubernator Hans Frank, postać mroczna i złowieszcza, ochoczo przyjmujący góralskie hołdy i wizytujący Zakopane, był, koniec końców, nie najgorszym człowiekiem, więc okupacja na Podhalu nie była niczym strasznym, jakby nie istniała zakopiańska siedziba gestapo, tatrzańskich dolin zaś nie znaczyły miejsca masowych straceń. Podkreślano, że działacze Goralenvolku umieli wyciągnąć z obozu i unieważnić wezwanie na roboty do Niemiec (co było prawdą), ale już z trudem przychodziło naszym rozmówcom stwierdzenie, że jeśli z robót zwolniono „kumotrowe dziecko”, to na jego miejsce musiał najczęściej pojechać ktoś inny.

Opowiadano nam, że górale już dawno rozliczyli się z Goralenvolkiem, a ciągłe wracanie do tematu tylko zaciemnia sprawę i nie przynosi niczego nowego.

Albo – że temat to zakazany, wyparty ze świadomości, temat, którego nigdy się nie poruszało, by nie przywoływać konieczności osądu.

Nie jest rolą reporterów zaglądanie aż tak głęboko w duszę ludzką, by wiedzieć z całą pewnością, czy rozliczenie było szczere, pełne i tak naprawdę do samiuśkiego spodu. Może rzeczywiście tak było, a może nie.

Lecz już z całą pewnością przez dziesięciolecia nikt do tematu Goralenvolku nie wracał, zarówno w rozmowie publicznej, jak i w domowych pogwarkach. Rana

przyschła, a rozdrapało ją dopiero ostatnich kilkanaście lat. Bardzo dobrze, że tak się stało.

*

Gdy pierwsze publikacje o Goralenvolku docierały do czytelników, niektórzy górale ze znamienitych rodów, ważni z powodu ogólnopolskich funkcji i pozycji w góralskich organizacjach regionalnych, powiadali, że wszystko to po to, by górali ukrzywdzić, zniesławić ich w oczach reszty Polaków, odebrać godność. To chyba najgorszy rodzaj manipulacji, ponieważ zakłada złe intencje ludzi zastanawiających się, jak wyglądała prawda, nawet ta najmniej przychylna Podhalu. Dlatego tak czysto brzmią głosy tych, którzy o Goralenvolku opowiadają z otwartą przyłbicą i największą polską kolaborację nazywają po prostu zdradą, co nie znaczy, że nie próbują objaśnić jej przyczyny.

Z tego choćby powodu warto opowiedzieć o Wojciechu Szatkowskim, wnuku ideologa Goralenvolku Henryka. Wojtek nie chowa głowy w piasek, a z historią lubi brać się za bary.

Wojtek był jeszcze studentem Wydziału Historii Uniwersytetu Jagiellońskiego, gdy umyślił sobie, że napisze pracę magisterską o dziadku.

– Goralenvolk to było dla mnie wielkie wyzwanie – opowiadał nam. – Tym bardziej że sprawa dotyczy mojego dziadka, a przez niego całej mojej rodziny. W takich wypadkach podczas wojny nie ma sytuacji pośrednich. Jest albo białe, albo czarne. Albo jesteś zdrajcą, albo nie. Dla zdrady nie ma usprawiedliwienia, choć zdaje mi się, że niektórzy tego usprawiedliwienia szukają. Mówią, że nie wszystko było złe, że starano się, próbowano, że Podhale na zdradzie jakoś zyskało. Mój dziadek Henryk Szatkowski był zdrajcą, a jego wojenne decyzje są nie do obrony. – I dalej: – Gdy zabierałem się do pisania o Goralenvolku, obawiałem się, że moi profesorowie pomyślą: „Chce wybielić dziadka”. A ja chciałem tylko dowiedzieć się prawdy. Nawet gdyby bolało.

Musiało boleć, ponieważ w rodzinie Wojciecha Szatkowskiego Goralenvolk był tematem tabu; wszyscy wiedzieli, co Henryk robił w czasie wojny i jakie konsekwencje wynikły z tego dla najbliższych, ale na sprawę spuszczono zasłonę milczenia.

Zofia, córka Henryka Szatkowskiego i ciotka Wojciecha, mówiła nam, że czasami dolatywały ją strzępki rozmów o Goralenvolku, a więc również o ojcu. Wiedziała, że podpisał volkslistę, bywał na niemieckich salonach, w czasie wojny bano się go, po wojnie wyklinano, obłożono anatemą. Czuła, jak zabolało ojca, gdy matka Maria odmówiła przyjęcia kenkarty góralskiej mimo namów Henryka i świadomości, że łamie

małżeńską lojalność. Pewnie ten gest wymagający wielkiej odwagi i nie mniejszej przyzwoitości uratował rodzinę Szatkowskiego przed powojenną katastrofą.

Maria – opowiadali Zofia i Wojciech – uciekła z rodzinnego domu, gdy miała kilkanaście lat; nie mogła znieść ojcowego picia. Do szkoły prawie nie chodziła, bo zimą trzeba było mieć buty, a i nikt nie wierzył, że wykształcenie może się na coś przydać. Gdy poznała Henryka Szatkowskiego, miała już wybudowany dom. Zrobiła to własnymi rękami. Zrządzeniem losu stanął na Krzeptówkach, rzut beretem od miejsca, gdzie po latach powieszono Wacka Krzeptowskiego.

Nie zgadzała się z poglądami męża, co powiedziała podczas procesu góralskiego, gdy Szatkowskiego skazano zaocznie na śmierć. Ale też nie zgadzała się z takim wyrokiem.

Zofia:

– Nawet w 1945 roku otaczał moją mamę powszechny szacunek, choć wtedy mogło być bardzo różnie, łatwo było odegrać się za ojca. Raz jeden ktoś przyszedł z pretensjami, że ojciec posłał do Auschwitz Bronisława Czecha, przedwojennego sportowca i tatrzańskiego kuriera, lecz wnet oskarżenia odwołano, oszczerca zaś przeprosił. Ludzie lubili mamę, może za to, że zawsze wiedziała, komu i kiedy należy pomagać. Kolaboracja ojca nie była dla mnie tragedią, bo miałam oparcie w mamie, z niej czerpałam siłę, ufałam jej filozofii życiowej, rzetelności, prawości, dobroci. Nikt nigdy nie próbował mi dokuczać.

Ale powiedziała także:

– Ani w moim domu, ani na Podhalu przez lata nie mówiło się o Goralenvolku. Zawsze zasłaniano się pytaniem: „A na co to komu?”. Ja sama się za nim chowam.

Dla Wojciecha Szatkowskiego takie pytanie najpewniej było początkiem. A może była nim pierwsza i ostatnia rozmowa o Goralenvolku z babcią – odbyła się ona dopiero w 1990 roku, niemal pół wieku po góralskich procesach; Wojciech jest przekonany, że wówczas babcia po raz pierwszy zdecydowała się mówić. Nie płakała podczas tej rozmowy.

– To było dla niej trudne, ale to była twarda góralka. Właściwie to ona uratowała naszą rodzinę. Przede wszystkim mimo namów dziadka nie wzięła góralskiej kenkarty, tylko polską. Po wojnie naszej rodzinie za kolaboracyjną działalność Henryka groziła konfiskata majątku. Dziadek wyjechał z Zakopanego pod koniec okupacji, babcia nie chciała. Dziadek oświadczył, że już nigdy nie będzie kontaktował się z rodziną. Zaraz po wojnie babcia przeprowadziła sprawę rozwodową. Dzięki temu razem z dwójką

dzieci mogła zostać w swoim domu na Krzeptówkach – mówił nam Wojciech Szatkowski, który sam dzisiaj mieszka na Krzeptówkach.

To dzięki rozmowie z babcią odnalazł temat pracy magisterskiej. Pisał otwarcie o góralskiej kolaboracji. Nie wybielał dziadka, raczej starał się pojąć mechanizmy zdrady.

– Trudno pisać o dziadku, który zdradził. Chciałem się dowiedzieć jak najwięcej, dlaczego to zrobił.

Szatkowski próbował spojrzeć na sprawę Goralenvolku z różnych perspektyw: hitlerowskiego planu, marzeń kolaborantów, nadziei drobnych funkcjonariuszy, ale też listów słanych do Komitetu Góralskiego w podzięce za kilkaset złotych zapomogi lub kilka kilogramów cukru.

– Goralenvolk – powtarzał Wojciech Szatkowski – to niewątpliwie była zdrada. Chęć przetrwania ciężkich czasów za wszelką cenę. Góralska jawna kolaboracja podczas wojny. Jedyna tego typu w okupowanej Polsce… Nie każdy chce, by wyciągać ciemne sprawy z przeszłości. Ja wymieniam konkretne nazwiska z wielu góralskich rodów. Mam wrażenie, że Podhale powoli dojrzewa do rozliczenia się z trudną przeszłością.

Szatkowski twierdzi, i ma rację, że na Podhalu zmieniła się atmosfera. To tak, jakby temat Goralenvolku wyjęto z zamrażarki; po latach wreszcie można rozmawiać. Jeszcze na początku lat dziewięćdziesiątych, a nawet później, konferencje naukowe, na których pojawiał się temat góralskiej kolaboracji, wzbudzały lokalne protesty. Udziału w nich odmawiali najwięksi Podhalanie, nawet ksiądz profesor Józef Tischner. Właśnie dlatego, żeby nie otwierać ran zabliźnionych milczeniem.

*

W 2006 roku Rudolf Klimek, ówczesny szef rady naukowej Związku Podhalan, wydał broszurę, w której porównał Goralenvolk do Judenratów, żydowskiej administracji w gettach.

– Mechanizm działania był ten sam. Judenraty, tak jak Komitet Góralski, powołany dopiero w 1942 roku, musiały współpracować z okupantem. Mimo to ich działacze starali się ocalić przynajmniej część swojej społeczności przed likwidacją – stwierdził Klimek.

Wyjaśniał motywy wydania publikacji – chciał w ten sposób bronić dobrego imienia Podhala. Jego zdaniem górale nie byli inspiratorami zdrady, ale ofiarami, podobnie jak inni Polacy czy Żydzi.

– Zajęliśmy się tą sprawą, ponieważ przy kolejnych zawieruchach sama wypływa. I to w najmniej sprawiedliwy, nieuczciwy sposób, który rzuca odium na całą społeczność Podhala. Po sześćdziesięciu latach nawet dzieci posądza się o przynależność do jakiejś proniemieckiej organizacji, jeśli ich przodkowie mieli kiedykolwiek styczność z Goralenvolkiem. Przede wszystkim chodzi o to, aby wreszcie przedstawiać tę akcję we właściwym świetle, jako działanie ludobójcze, służące do zniewolenia i zniszczenia narodu polskiego. Nie można jej sprowadzać do tego, czy ktoś miał kenkartę „G", czy nie. Nikt dotąd nie pokazał szerzej, że inicjatywa stworzenia separatystycznego ruchu na Podhalu nie wyszła od samych górali, lecz usiłowano ją zaszczepić z zewnątrz, by podzielić Polaków i skłócić góralszczyznę. Tymczasem Niemcy już przed wojną mieli tutaj swoich konfidentów. Wżenili nawet kilku facetów w rodziny góralskie i wysłali gestapowców, aby zawracać ludziom w głowach. Mimo to ponieśli porażkę, ponieważ jedynie niewielka część społeczności Podhala dała się uwieść. To prawda, że byli i zdrajcy. Ale pokazujmy prawdziwe proporcje i przyczyny, dla których ludzie przyjmowali kenkarty „G". Świadomej zdrady dopuściła się zaledwie setka ludzi. Uczynili to dla swoich interesów i ambicji. Kiedy okazało się, że nie mają poparcia, wtedy sami Niemcy postanowili zmusić ludzi do przyjęcia „narodowości góralskiej". Motywacje były różne. Znaczna część ludzi przyjęła „narodowość góralską" ze strachu. Trzeba pamiętać, jaka była wtedy sytuacja. Wielu ludzi głodowało. Czuli się Polakami, ale trudno się dziwić, że w pierwszej kolejności chcieli zjeść, przetrwać. Przyjęcie kenkarty „G" ułatwiało czasem zaspokojenie podstawowych potrzeb. Do Goralenvolku wstępowało także wielu prawdziwych patriotów, aby pomagać ludziom lub pod tą przykrywką walczyć z okupantem. Nikt nie przypomina, ile osób w tym czasie zamordowano lub wywieziono z Podhala, bo nie przyjęli kenkarty „G" i walczyli z okupantem. Tymczasem ja znam przypadek, że do obozu koncentracyjnego został wywieziony człowiek tylko dlatego, że nie przyszedł na zebranie wyborcze Komitetu Góralskiego. Mimo takiego terroru Niemcom nie udało się wypełnić planów generalnego gubernatora Hansa Franka: wywieźli na roboty z Podhala jedenaście, a nie, jak planowano, dwadzieścia tysięcy mieszkańców.

To zdaniem Klimka rozgrzesza podhalańskich działaczy Goralenvolku, którzy zdecydowali się złożyć hołd hitlerowskim Niemcom.

– Akcję Goralenvolku stworzono, aby szybciej wynarodowić i zniszczyć Polaków. Okupant w całej swej perfidii chciał wykorzystać do niej najbardziej patriotyczną część narodu. W Generalnym Gubernatorstwie docelowo mieli zostać tylko Niemcy. Są okupacyjne instrukcje, które jasno mówią, że po Żydach, Cyganach, Polakach,

Ukraińcach i Łemkach mieli zginąć górale. Nikt o tym jednak w Polsce nie wspomina, tylko ciągle wraca się do Goralenvolku zamiast do ludobójczej akcji Goralenvolk. Niektórzy zapominają, z jakim poświęceniem górale walczyli o wolną Polskę podczas i po zakończeniu wojny. Zamiast tego na pierwszy plan wyciąga się kolaborację działaczy Goralenvolku. Mówi się i pisze, że górale stanowili największą kolaboracyjną grupę narodu polskiego. W takiej sytuacji nie można milczeć.

Rudolf Klimek uważał, że historycy nie mają prawa stawiać takiej tezy, bo nie wszyscy górale poszli na kolaborację. Ba – nawet nie wszyscy Krzeptowscy zdradzili, a jeden z nich został uznany za bohatera. A tak w ogóle to więcej zdrajców było na zachodzie Europy niż w Polsce i tym powinni się zająć badacze. A nie małym Podhalem.

– Wacław, Andrzej i Stefan Krzeptowscy to były jednostki! Nie wolno mówić o zdrajcach Krzeptowskich czy krzeptowszczyźnie jak o zjawiskach zbiorowych. Przecież najsłynniejszym kurierem tatrzańskim AK był Józef Krzeptowski. To dzięki takim jak on ludziom zdrajcy nie zdołali stworzyć efektywnej kolaboracji. Niemcy po jednej łapance rozstrzeliwali więcej ludzi, niż było czołowych działaczy Goralenvolku. Jak to się ma do setek tysięcy Francuzów, Belgów czy Holendrów, którzy rzeczywiście kolaborowali z Niemcami?! – pyta Klimek. – Cała rzecz polega na tym, że to nigdy nie była kolaboracja góralska, skoro na Podhalu było kilka tysięcy partyzantów i powołano nawet zbrojną Konfederację Tatrzańską przeciwko akcji Goralenvolk, unicestwiania narodu polskiego. Chodzi o to, aby przede wszystkim pokazać cały mechanizm zniewalania narodu. Po wojnie wiele osób z kenkartami „G” na Podhalu miało do wyboru albo zsyłkę, albo pogodzenie się z nową rzeczywistością. I niektórzy zachowywali się tak, jak im zagrano. Dlatego do dziś bronią pewnej idei. Przekonują, że inni też nie byli lepsi.

Zdaniem Rudolfa Klimka sprawę Goralenvolku przypominają ci, którym dobrze się wiodło na Podhalu za PRL-u, bo nie przeszkadzała im komuna. Żeby im teraz tego PRL-u za bardzo nie wypominano, na nowo rozdrapują rany z czasów okupacji hitlerowskiej, odwracając uwagę od swoich grzechów. Klimek żadnych ran nie zamierzał rozdrapywać i prosił, by do Goralenvolku podchodzić z umiarem. Bo przecież Podhale jest dziś patriotyczne jak trzeba, co potwierdzają najbardziej patriotyczni politycy, którzy chętnie zjeżdżają pod Tatry.

*

Wojciech Szatkowski nie wiedział, jak zostanie przyjęte na Podhalu jego pisanie o dziadku.

– Jestem już po pierwszym spotkaniu, które odbyło się w Dworcu Tatrzańskim przy Krupówkach. Sala była pełna. Przyszedł między innymi Wojciech Gąsienica-Byrcyn, były dyrektor Tatrzańskiego Parku Narodowego, u którego w rodzinie nikt nie wziął góralskiej kenkarty, tylko polskie. Opowiadano okupacyjne anegdoty, że gdy chłopakom kazano krzyczeć „*Heil Hitler*”, to krzyczały „Ch.j Hitler”. Spotkałem się ze zrozumieniem, że zabrałem się do tego tematu – mówił nam u progu lata 2012 roku.

Takich spotkań na Podhalu zorganizowano więcej. Nikt jawnie nie miał o nie pretensji. Choć opowiadano sobie, że w Kościelisku – rodzinnej wsi Wacława Krzeptowskiego – ktoś pozrywał plakaty zapraszające na spotkanie o Goralenvolku.

Sprawców nie wykryto, ale podejrzenie padło na kilkunastu działaczy podhalańskiego Obozu Narodowo-Radykalnego, którzy urzędują w sąsiednim Witowie. Kiedy ubierają się w swoje organizacyjne mundury, najstarszym góralom przypominają się obozy Hitlerjugend pod Giewontem. I zapatrywania na niektóre sprawy mają podobne, jak ich germańscy rówieśnicy z wojennych lat, choć przeważnie polski wymiar sprawiedliwości jest bezsilny wobec ich wybryków. W byłej harcówce ZHR przy Krupówkach wieszali symbole neofaszystowskie, maszerowali przez Myślenice, wychwalając największe przedwojenne zamieszki antyżydowskie w Polsce, zapraszali na obóz ze skandynawskim neofaszystą. A równocześnie delegacja ONR brała udział w oficjalnych obchodach rocznicowych w Zakopanem, choćby związanych z odzyskaniem niepodległości.

*

Jedyny oficjalny protest do Wojciecha Szatkowskiego wysłano z Łącka w powiecie nowosądeckim, położonego przy trasie Szczawnica–Stary Sącz. Geograficznie to już nie Podhale. Za okupacji Niemcy nie interesowali się zbytnio tą miejscowością.

Nikt w Łącku nie naciskał na przyjmowanie góralskich kenkart, więc i nie było okazji, by splamić się kolaboracją w ramach Goralenvolku. Historia okupacyjnej zdrady nie była pisana na łąckiej ziemi.

Dlatego mieszkańców miejscowości słynącej w kraju z mocnej śliwowicy oburzyła jedna z fotografii, które wnukowi twórcy Goralenvolku posłużyło do opowiedzenia historii swojego dziadka.

> My, niżej podpisani, stanowczo protestujemy przeciwko zamieszczeniu w książce przez Pana napisanej *Goralenvolk. Historia zdrady* fotografii pocztówki z lat 30. XX wieku,

przedstawiającej Górali Łąckich, na której jest m.in. Maria Chwalibóg z Łącka i Stanisław Sopata z Czerńca. Fotografia ta otwiera rozdział *Niemiecka teoria o germańskim pochodzeniu górali* i przedstawione na niej osoby mają być przykładem germańskiego pochodzenia górali. Autora nie tłumaczy fakt, że znalazł tę fotografię w zbiorach archiwalnych GG, ponieważ nie dochował staranności weryfikowania źródeł, wytworzonych przez hitlerowskiego okupanta, tym bardziej że dotyczyły tak drażliwego tematu. W czasie gdy Pana dziadek Henryk Szatkowski, główny ideolog i współtwórca Goralenvolk, zakładał tę organizację na terenie Podhala, a Wacław Krzeptowski składał hołd na Wawelu Hansowi Frankowi, Generalnemu Gubernatorowi, Maria Chwalibóg wraz z matką Józefą z Uhmów Chwalibogową uciekły przed Niemcami z Łącka do Lwowa, gdyż Maria, według żyjących jeszcze świadków, nie wyobrażała sobie „spotkania" z Niemcami. Po 17 września 1939 roku zostały przez Sowietów wywiezione na Sybir, gdzie Józefa Chwalibogowa zmarła z głodu i wycieńczenia. Maria Chwalibóg przeżyła dzięki przedostaniu się do Armii Andersa, z którą przeszła szlak bojowy, i po wojnie, nie mogąc pogodzić się z faktem utraty wolności przez Polskę, zmiany ustroju na socjalistyczny oraz utworzenia Polski Ludowej, zamieszkała w Anglii, gdzie zmarła w 1992 roku i tam jest pochowana.

Ziemia Łącka nigdy nie należała do Goralenvolk, nie znane są też fakty, by ktokolwiek z mieszkańców zgłosił akces do tej organizacji. Nie znane są nam motywy autora zamieszczenia tej właśnie fotografii w książce opisującej historię kolaboracji i zdrady podhalańskich górali, jakiekolwiek by nie były, nie usprawiedliwiają tego kłamliwego i skandalicznego faktu. Kategorycznie i stanowczo domagamy się sprostowania tego faktu w mediach, w których Pan, Wojciech Szatkowski, udzielał wywiadów i ukazywały się recenzje książki *Goralenvolk. Historia zdrady*, oraz w kolejnych nakładach tej książki.

Podpisani: mgr inż. Janusz Klag, wójt Gminy Łącko, mgr Zdzisław Warzecha, przewodniczący Rady Gminy Łącko, Jadwiga Jastrzębska, prezes Towarzystwa Miłośników Ziemi Łąckiej, mgr Tomasz Ćwikowski, prezes Związku Podhalan o/ Łącko, Zespół Regionalny „Górale Łączcy" im. Marii Chwalibóg w Łącku, Orkiestra Dęta im. Tadeusza Moryto w Łącku, Zespół Regionalny „Małe Łącko" przy Zespole Szkolno-Gimnazjalnym w Łącku.

Wojciech Szatkowski tłumaczył nam, że pocztówkę ze zdjęciem górali pochodzących z Łącka wydali w czasie okupacji Niemcy, opisując ją: „Typy góralskie w Generalnym Gubernatorstwie". Dlatego wydawca postanowił zamieścić ją w książce.

Ale w Łącku to nikogo nie przekonuje.

Pochówek

Wacek Krzeptowski wisiał na smreku przez całą noc i znaczną część następnego dnia. O egzekucji „góralskiego księcia” wnet wiedziało całe Podhale; 20 stycznia 1944 roku po mszy nawet dzieciaki biegły na Krzeptówki, żeby zobaczyć wisielca.

Józef Pitoń, gawędziarz Kościeliska, choreograf, przewodnik i ratownik tatrzański:

– Ostra zima była, ranek, no i po kościele – chodziliśmy na msze do Kościeliska na Wojdyłówkę – ktoś mówi: „Chodźmy popatrzeć, bo na Krzeptówkach jaki wisielec”. Poleciały wszystkie chłopaki, doszli my do drzewa i zobaczyliśmy: ubrany nie po góralsku, ręce z tyłu związane, do kurtki kartka przypięta jakąś agrafką, zapisana jakoś koślawo. Wszyscy wiedzieliśmy, kto to był. I jakoś rozległo się między chłopakami: „To Wacek, to Wacek wisi”.

*

Wacław Krzeptowski miał pogrzeb więcej niż skromny, świadków pochówku było zaś raptem kilku. Nie postawiono mu krzyża, nagrobnej płyty, nad mogiłą nie usypano nawet kopczyka. I tak samo jak w wypadku wykonania wyroku śmierci na Podhalu pojawiło się kilka wersji na temat tego, gdzie i jak spoczął przywódca Goralenvolku.

Utrzymywano więc, że Wacław Krzeptowski leży na zakopiańskim cmentarzu na Pęksowym Brzyzku, w „alejce zdrajców”. Tyle że takiej alejki tam nie ma.

Podobno pochowano go w rodzinnym grobowcu. Doczekał się na kamiennym pomniku wykutego imienia i nazwiska. Lecz najpewniej to tylko grób symboliczny.

Józef Krzeptowski-Jasinek, kronikarz rodów góralskich, wspominał:

– Po kościele dowiedziałem się, że powiesili Wacława. Poleciałem na Krzeptówki, widziałem wisielca, ale przyglądałem się krótko; straszne to było, przerażające dla chłopaka. Już nie pamiętam, czy w dzień, czy następnej nocy Krzeptowscy ciało ukradli. Powiedzieli, że jaki był, taki był, ale nie pozwolą poniewierać nikim z rodziny po śmierci, choćby był najgorszy. Nic się im nie dziwię. Byłem na cmentarzu w Kościelisku, gdy Wacka chowali. Przez mgłę widzę, że dookoła trumny stało może pięciu, może sześciu ludzi. Byłem najmłodszy, reprezentowałem ojca. Sami Krzeptowscy, rodzina, która wydała zdrajcę, ale też wojennych bohaterów. Ksiądz Tułowiecki pokropił trumnę, a może to była prosta drewniana skrzynia; miałem niewiele lat, przeraziłem się wisielcem, pogrzebem, tajemnicą. Miejsce mniej więcej zapamiętałem, choć cmentarz był wtedy o wiele mniejszy. W 1956 roku, podczas polskiego Października, zostałem przewodniczącym rady rewolucyjnej w Kościelisku.

W tym czasie przybył do mnie stryj; tak go nazywałem, choć nie był bratem mojego ojca. Mówi: „Chodź, Józiu, pogadamy sobie na podwórku”. Poprosił, żeby pójść z nim na cmentarz, w to miejsce, gdzie leży Wacław Krzeptowski. Zgodziłem się, ale nie byłem pewien, czy stryj żartuje; w mojej chłopięcej pamięci on był przecież na pogrzebie. „Wyście tam byli”, powiadam, a stryj, że nie on, tylko brat jego Jędrek. Może mi się wtedy przewidziało, ale chyba nie. Udziałem w takim pochówku nie można się było chwalić, nawet przed najbliższymi. Zaszliśmy więc na to miejsce i pierwszy raz w życiu widziałem, jak stryj na tym brzyzku zapłakał, nad tą trawą. Nie było tam nic, żadnego krzyża, pojedynczego znaku. Dlaczego stryj płakał, nie wiem. Może z żalu, a może nad losem Wacława, który przecież mógł być kimś innym, a wybrał, co wybrał. Wacław był zdrajcą niezaprzeczalnie. Lecz nie był zbrodniarzem. Większość by go wykopała i rozrzuciła na cztery wiatry, ale niektórym pomógł; nie było ich mało. Stryj poprosił, bym nikomu nie mówił, gdzie leży Wacuś. Niech nikt, kto był na pogrzebie, nie mówi o tym ani słowa. Zwłaszcza ludziom, którzy Wacka znali; wszystko jedno, czego doświadczyli. Zapytałem: „Dlaczego mam nie gadać?”, a stryj na to, że rozkopią ziemię, wyrzucą kości, gdzie się da, z nienawiści, bo nienawidzono go strasznie i strasznie się za jego postępki wstydzono. Długo po wojnie, w Chicago, ktoś z rodziny mnie zaczepił za Wacka, że niby jestem Krzeptowski, to za niego odpowiadam. Rzekłem: „Gdybyście nie nazywali się Złoza i nie byli ciotecznym bratem mojej babki Długopolskiej, byłbym was, ojce krzestny, w kufę zaciął”. Było i tak, że po kielichu ludzie bili się o Wacka. Jedni mówili, że podlec. Inni, że byli na Podhalu gorsi. Do dzisiaj miejsce spoczynku Wacława to tajemnica. Wiem, gdzie to jest, ale nie powiem. Trawka rośnie, obok inne groby. Może taki koniec Wacławowi się należał.

Anna Krzeptowska-Gocał, wnuczka Wacława Krzeptowskiego, opowiedziała Wojciechowi Szatkowskiemu o swoim dziadku:

– Po wojnie chodziliśmy z tatą na grób dziadka na Nowy Cmentarz w Zakopanem. Mój ojciec bardzo się nim opiekował. Tam napisano „Wacław Krzeptowski”, chociaż wielu twierdzi, że Wacek potajemnie został pochowany w Kościelisku, ale czy to prawda?

Bibliografia

Adamiecki Wojciech, *Taniec z nożami*, Warszawa 1976

Antoniewicz Włodzimierz, *Metalowe spinki góralskie*, Kraków 1928

Archiwa Biblioteki Polskiej Akademii Nauk w Krakowie

Archiwa Muzeum Tatrzańskiego w Zakopanem

Archiwum Instytutu Pamięci Narodowej, Oddział w Wieliczce

Archiwum Zofii i Witolda Paryskich w zbiorach Tatrzańskiego Parku Narodowego

Brzega Wojciech, *Żywot górala poczciwego*, Warszawa 1969

Cat-Mackiewicz Stanisław, *Historia Polski od 11 listopada 1918 do 17 września 1939*, Kraków 2012

Dereń Bolesław, *Józef Kuraś „Ogień”. Partyzant Podhala*, Warszawa 2004

Derezińska-Osiecka Magdalena, *Goralenvolk oczami świadków*, „Tatry” 2011, nr 2

Dzieje miasta Nowego Targu, praca zbiorowa pod redakcją Mieczysława Adamczyka, Nowy Targ 1991

Filar Alfons, *Opowieści tatrzańskich kurierów*, Warszawa 1977

Goetel Ferdynand, *Tatry*, Londyn 1953

Jost Henryk, *Zakopane czasu okupacji. Wspomnienia*, Warszawa 1989

Klimek Rudolf, *Ludobójcza Akcja Goralenvolk*, Zakopane 2006

„Konteksty. Polska Sztuka Ludowa” 2013, nr 1(300) (materiały sesji naukowej „Antropologia, Pamięć, Historia. Wokół projektu »Zakopiańczycy – w poszukiwaniu tożsamości«. Zakopane 2011”; tu zwłaszcza: Gondowicz Jan, *Demonizm Zakopanego – mit i fakt* oraz Krupa Maciej, *Zakopane jest szkołą tęsknoty*)

Korkuć Maciej, *Zbrodnia pod Krościenkiem 2/3 maja 1946 roku*, „Zeszyty Historyczne WiN-u” 2015, nr 42, grudzień

Krupa Maciej, *Od hołdu wawelskiego do procesów góralskich*, „Tatry” 2011, nr 1

Laucik Peter, Ładygin Zbigniew, *Niepotrzebna wojna*, „Tatry” 2008, nr 4

Machejek Władysław, *Rano przeszedł huragan*, Kraków 1985

Malczewski Rafał, *Pępek świata. Wspomnienia z Zakopanego*, Warszawa 2010

Mit Górala, opracowanie autorstwa Antoniego Kroha, Macieja Krupy, Katariny Laucikovej, Stanisławy Trebuni-Staszel, „Tatry” 2010, nr 2

Od Zaolzia po Jaworzynę – rewindykacje graniczne jesienią 1938 roku. Materiały z seminarium naukowego zorganizowanego w 60. rocznicę powrotu Zaolzia i Jaworzyny do Polski, Nowy Targ, 27 listopada 2003 r., „Prace Komisji Historii Wojskowości”, t. 3, pod redakcją Roberta Kowalskiego, Nowy Targ 2005

Paczyńska Irena, *Intelligenzaktion w listopadzie 1939 roku*, „Alma Mater. Miesięcznik Uniwersytetu Jagiellońskiego” 2015, nr 179

Panz Karolina, *„Dlaczego oni, którzy tyle przecierpieli i przetrzymali, musieli zginąć”. Żydowskie ofiary zbrojnej przemocy na Podhalu w latach 1945–1947*, Warszawa 2015

Pinkwart Maciej, Długołęcka-Pinkwart Lidia, *Zakopane. Przewodnik historyczny*, Warszawa 2003

Pługawko Danuta, *Listy Władysława hr. Zamoyskiego do Kazimierza Woźnickiego (1908–1923) ze zbiorów Biblioteki Polskiej w Paryżu*, „Scripta Minora” 1996, nr 1

Pollack Martin, *Cesarz Ameryki. Wielka Ucieczka z Galicji*, Wołowiec 2011

Radwańska-Paryska Zofia, Paryski Witold Henryk, *Wielka encyklopedia tatrzańska*, Poronin 2004

Statystyka wyborów do Sejmu i Senatu odbytych w dniu 4 i 11 marca 1928 r., „Statystyka Polski”, Warszawa 1930

Studziński Tadeusz, *Pięć mostów i inne akcje*, Warszawa 1958

Szatkowski Wojciech, *Goralenvolk. Historia zdrady*, Zakopane 2012

Szatkowski Wojciech, *Górale potomkami Gotów*, „Tatry” 2011, nr 1

Szatkowski Wojciech, *Korzenie zdrady*, „Tatry” 2011, nr 1

Trebunia-Staszel Stanisława, *O niemieckich badaniach antropologicznych w czasie II wojny światowej na terenie Podhala* [wersja niepublikowana referatu przygotowanego na konferencję „Antropologia, Pamięć, Historia. Wokół projektu »Zakopiańczycy – w poszukiwaniu tożsamości«. Zakopane 2011”]

Trebunia-Staszel Stanisława, *Zdrowe i twarde góralskie plemię*, „Tatry” 2011, nr 1

Witkiewicz Stanisław, *Pisma tatrzańskie*, Kraków 1963

Wnuk Włodzimierz, *Walka podziemna na szczytach*, Poznań 1948

Wójcik Jerzy, *Oddział. Między AK i UB – historia żołnierzy „Łazika”*, Warszawa 2016

Zieliński Stanisław, *W stronę Pysznej*, Poznań 2008

Źródła fotografii

Muzeum Tatrzańskie w Zakopanem – s. 11, 13, 38, 41, 73, 79, 86, 95, 100, 101, 107, 117, 138
Narodowe Archiwum Cyfrowe – s. 43, 48,
69
Archiwum Uniwersytetu Jagiellońskiego – s. 62, 63
Państwowe Muzeum Auschwitz-Birkenau w Oświęcimiu – s. 91

Przypisy

[1] W pojawiających się w książce cytatach zachowano pisownię oryginalną, natomiast interpunkcja została dostosowana do zasad współczesnych.

WYDAWNICTWO CZARNE sp. z o.o.
czarne.com.pl

Sekretariat: ul. Kołłątaja 14, III p., 38-300 Gorlice
tel. +48 18 353 58 93, fax +48 18 352 04 75
mateusz@czarne.com.pl, tomasz@czarne.com.pl
dominik@czarne.com.pl, ewa@czarne.com.pl
edyta@czarne.com.pl

Redakcja: Wołowiec 11, 38-307 Sękowa
redakcja@czarne.com.pl

Sekretarz redakcji: malgorzata@czarne.com.pl

Dział promocji: ul. Marszałkowska 43/1, 00-648 Warszawa,
tel./fax +48 22 621 10 48
agnieszka@czarne.com.pl, dorota@czarne.com.pl
zofia@czarne.com.pl, marcjanna@czarne.com.pl
magda.jobko@czarne.com.pl

Dział marketingu: honorata@czarne.com.pl

Dział sprzedaży: piotr.baginski@czarne.com.pl
agnieszka.wilczak@czarne.com.pl, urszula@czarne.com.pl

Audiobooki i e-booki: anna@czarne.com.pl

Skład: d2d.pl
ul. Sienkiewicza 9/14, 30-033 Kraków
tel. +48 12 432 08 52, info@d2d.pl

Wołowiec 2017
Wydanie I